

Tadeusz Konwicky

Bohín

1

Panna Helena Konwicka wstała tego dnia zaraz po wschodzie słońca, jak to zwykle czyniła w ciągu tygodnia. Cały dom jeszcze spał. To znaczy, spały jeszcze bielone ściany, mahoniowe szafy, firanki muślinowe w oknach i deski podłogi, które długo w noc zeszłego wieczora trzaskały, stękały, strzelając sucho od czasu do czasu. Spała także służba i spał ojciec zamknięty od wewnątrz na klucz w swoim gabinecie.

Wielka kropla rosy zwisała z liścia winogrodu, skrząc się jak kryształowa kula chiromantki. Panna Helena zapatrzyła się raptem w tę drobinę kolorowych igieł świetlnych, zapatrzyła się aż do bólu w oczach, a właściwie aż do załzawienia oczu, kiedy ta kropla wilgoci narodzona nocą zaczęła rozplýwać się w seledynowej nieostrości.

– Zaraz – powiedziała do siebie panna Helena – dlaczego drzę wewnątrz od wczoraj, czemu coś mnie budzi przez całą noc, dlaczego boję się, jak nigdy dotychczas nie bałam się. Tak, śniłam ząb, swój ząb złamany ukośnie i zakrwawiony, co wypadł z ust na stuloną dłoń.

Jęła ubierać się powoli w przygotowany jeszcze poprzedniego popołudnia odświętny strój. Ściągnęła z namysłem sznurówkę gorsetu, mierząc wolne końce długością serdecznego palca. Tak, znowu przytyła, choć tyle było ciężkiej pracy od ubiegłego roku.

I nie wiadomo czemu powiedziała szeptem na głos:

– A bo z Żydami obchodzę zawsze Nowy Rok.

Ale dom spał jeszcze. W drzewach ćwierkały już wróble i jaskółki wyleciały z glinianych gniazd pod okapem dworu i wracały stale ukośnym lotem do tych szarych ziarnistych worków, co wisiały pod dachem. Za parkiem, za tą resztką starych zaniedbanych drzew, zaryczała krowa jak parostatek rzeczny. I panna Helena, moja babka,

zatrzymała się przy oknie i jeszcze raz spojrziała na kroplę rosy z zamkniętym w sobie obrazem świateł świątecznego poranka i jeszcze raz pobiegła wzrokiem w tę zszarzałą, sierpniową zieleń, zieleń zmęczoną długim latem, skwarem i własną bujnością.

Na pewno słyhać było przybliżający się i oddalający szum Wilii, bo ta stara rzeka zataczała tuż za parkanem płytkie półkole i, żeby nadrobić stracony czas, przyśpieszała biegu i dlatego ludzie przyjeżdżali czasem z daleka, żeby posłuchać jej szumu, jej mruczenia, jej bełkotliwego gwaru.

– A niech będzie, co ma być – westchnęła panna Helena, choć dobrze wiedziała, że nic nie będzie i ta trzydziesta rocznica minie gnuśno jak wszystkie inne dotychczas.

A ja jestem jeszcze daleko od mojej babki, mojej młodej, ale już zbliżającej się pod starzenie babki, która wstaje razem z dniem, z dniem Matki Boskiej Zielnej, co był jej dniem urodzin, ale tego nikt nie jest pewien, bo w tamtych latach chrzczono dzieci, jak przyszła ochota, jak

pozwalalo zdrowie albo czas. A jeszcze jestem daleko w mroźnej nocy pod czujnym okiem kota, który czaruje moje życie i nie może nic wyczarować.

A ja przedzieram się przez zaułki czasu, przez drętwość wyobraźni, przez moją własną rzekę jakiegoś bólu i muszę się przedostać na tamten brzeg, do mojej babki, Heleny Konwickiej, starzejącej się powoli panny w smutnym czasie, w posępnej epoce, w beznadziejnej chwili beznamiętnej historii, co płynie jak powódź za nami, obok nas, przed nami.

I już jestem nad brzegiem Wili, ciemnozielonej rzeki z niebieskimi zmarszczkami na łagodnej toni. Już przedzieram się przez chaszczę jakichś roślin, traw i ziół, których imion nie pamiętam, bo nie musiałem zapamiętać. Poznają z trudem wielkie dzikie mięty, zaczynające już wonieć pod naporem słońca, omijam drzewa durnapianu, zwanego gdzie indziej blekotem, głaszczę krzaki porzeczek z pozasychanymi już owocami. Ale nie mam czasu, bo śpieszę do mojej babki, która dziś obchodzi swoje urodziny w niedużym rodzinnym folwarczku, zwanym chyba Korzyścią, skromnej sadybie szlacheckiej odległej o kilkanaście wiorst od kolei nie tak dawno zbudowanej.

Więc panna Helena Konwicka wstała tego dnia zaraz po wschodzie słońca. Cały dom jeszcze Spał. Ubierała się przed lustrem pałacowym w złoczonej ramie, ale o mętym, pełnym liszajów zwierciadle.

Oglądała siebie jak zjawę i wydawało się jej czasem, że ta daleka kobieta w płóciennej koszuli wykonuje trochę inne ruchy niż ona, że ją po prostu niedbale przedrzeźnia albo zdąża jej śladem z jakimś dziwnym i znaczącym opóźnieniem, i że raptem da tajemny znak, czy otworzy niewidoczne drzwi, które ukażą nieznaną, nierozpoznawalną, nieodgadniętą.

– Tak już będzie na zawsze – rzekła cicho, a jednocześnie powiedziała sobie w duchu, że nie, że przecież to niemożliwe, że prędzej się zabije którejś jesiennej albo zimowej godziny.

A ciało było jeszcze młode, piękne, kuszące, jakby obce, jakby nie jej, jakby z innego świata. I podniosła raptem ręce w oknie wypełnionym wschodzącym słońcem. Palce stały się gorąco różowe, widać było w nich ciemne pręgi kostek i stawów. Wtedy nagle błysnęło jak od małanki, bo nie odezwał się grzmot i ptaki spokojnie ćwierkały na dachu dworu i w drzewach parku.

– Pewnie się zdawało – powiedziała cicho i od razu pomyślała, że to mówienie do siebie jest jednak zapowiedzią staropanieństwa.

Znowu przeleciała jakaś jaskrawość przez podjazd, park i zarysy folwarcznych budynków. Panna Helena zmrzyła oczy. Czekwała na uderzenie piorunu albo na głuche dudnienie przewalającego się grzmotu. Ale ciągle trwała ta poranna cisza wypełniona jedynie wesołymi głosami ptaków.

– Wszyscy śpią. Nie ma świadków – szepnęła wciągając przez głowę szeleszczącą od krochmalu suknię. – Może to był znak. Znak tylko dla mnie. Ale od kogo?

I przeżegnała się raptem, i zaszeptwała spieszenie: „Zdrowaś Mario”. Za ścianą brzęknął sprężynami zegar, zaczął wybijać godzinę. Ale nie zdążyła policzyć tych uderzeń. Może było pięć, a może sześć.

Ruszyła przez amfiladę niskich pokoików w stronę sieni. Szła tak lekko, że nawet stare deski podłóg nie skrzypnęły ani razu. Panna Helena była niewysoka i szczupła, ale czuło się w niej jakąś siłę. Niosła dumnie niedużą głowę z ogromnymi włosami koloru kruszynowej suchej kory w błyskach czerwieni, z włosami, jakie miał mój ojciec, którego pamiętam z nieskończonej chwili śmierci. A twarzyczkę panna Helena posiadała drobną, ze zgrabnym noskiem ozdobionym lekkim garbkiem i garstką maleńkich ciemnych piegów, z ustami może troszkę za cienkimi i dlatego często wydymała odrobinę dolną wargę, żeby je powiększyć, i ta słabostka przeszła w końcu w przyzwyczajenie i panna Helena coraz częściej wydymała tę dolną wargę przy ludziach, a czasem nawet kiedy była sama, a raz i drugi zdarzyło się to jej nawet w czasie modlitwy. Oczy panny Heleny były ciemnoniebieskie, kiedy indziej szare, a niekiedy zdawały się zielonkawymi. I takie twarze, jak panny Heleny, nazywano dawniej słodkimi, bo rzeczywiście była w nich i słodycz, i dziecięca niewinność, i jakaś zaduma tych dawnych aniołów, co kiedyś zaludniały niebo i ziemię, a teraz przeniosły się nie wiadomo dokąd. Zajrzała z przyzwyczajenia do kuchni. Emilka podniosła się od drzwiczek ogromnej płyty u spodu chlebowego pieca omszałego głęboką czernią sadzy.

– Nie ma cugu – rzekła ziewając. – Ledwo słońce weszło, a już taki skwar.

– Konie zaprzęgnięte?

– Pewnie zaprzęgnięte – i przesłoniła dłonią szeroko otwarte usta pełne jeszcze zadziwiająco białych zębów.

Panna Helena wyszła na ganek, stanęła między drewnianymi kolumnkami, z których odpadały płaty wapna.

– Dokąd idę? – spytała znowu samą siebie. – Po co idę?

I nagle zdało się to jej wszystko bez sensu. Ten stary pokraczny park przysypany sierpniowym pyłem, co wstaje z wygrzanych polnych dróg, to szarawe niebo, ganek opleciony winoroślą i ona sama walcząca z ziewaniem, którym zaraziła się od Emilki.

Wtedy gdzieś od strony Wili, zza lasów po drugiej stronie rzeki, nadleciał dziwny, przejmujący dźwięk, jakby krzyku ogromnych stad ptasich albo dalekiego zawodzenia tłumu ludzkiego. Panna Helena знаła już ten niesamowity dźwięk albo się jej wydawało, że go skądś pamięta.

Spostrzegła raptem, że nie wzięła ani książeczki do nabożeństwa, ani różańca. Chciała w nagłym porywie wrócić do swojego pokoju, ale się rozmyśliła.

– Widać tak trzeba – szepnęła.

Poszła ścieżką pomiędzy wysokimi pokrzywami w stronę zabudowań folwarcznych. Minęła

nieduży stary sad, gdzie z głuchym łoskotem spadały jabłka, już nagrzane przez poranne słońce.

Przed wozownią o zapadających się ścianach furman Konstanty zaprzęgał konie nie do pary, z których jeden był bułany a drugi kary, oba chude, z okropną pralnicą żeber na zakłęsłych bokach, nie doczyszczone, osowiałe. Bryczka też nie przedstawiała się lepiej. Przechylona była na jeden bok, jakby pękł resor, a w zaśmieconym słomą wnętrzu gospodarzyła stara kura, która już nie nadawała się na rosół i czekała bez pośpiechu na śmierć naturalną.

– Niech będzie pochwalony – rzekł furman zapierając się kolanem o chomać, żeby je związać rzemieniem.

– Na wieki wieków.

– Tak ja już gotowy, panienko.

– No to nie ma co mitrzyć.

– Pośpiejem. Na siódmą będziem.

2

Potem jechali krótko przez pola z nie zżętym do końca zbożem i rychło zanurzyli się w las, z początku liściasty, a później sosnowy, przetykany często brzozą. Ogarnęła ich silna woń jałowców i mokrych od rosy mchów. Konstanty zacinał skapcianałym biczem po suchych zadach, konie zrywały się do niezdarnego kłusa, popierdując wesoło, a wtedy furman odwracał się z kozła i spoglądał na Helenę z jakimś odcieniem dumy z tego zaprzęgu, z tego kłusa i z tego świątecznego poranka.

– To ile Konstantemu lat wybiło tego roku? – zadawała mu to samo pytanie, które zawsze skracało podróż.

– A będzie musi sto osiemdziesiąt dwa.

– To znaczy, że Konstanty jest najstarszym człowiekiem na świecie? – pytała śmiejąc się Helena.

– A pewnie i najstarszy – godził się z powagą furman. – No, mówią ludzie, że w Aponii to jest jeden człowiek jeszcze starszy.

– A gdzie ta Aponia? – zaśmiała się ciszej, żeby nie urazić furmana.

– A tam – pokazał biczem gąszcz leśny, w którym pojawiły się jak białe płomyki pierwsze ślady słońca, co z wolna podnosiło się w stronę prószącego szarością zenitu.

Wjeżdżali raptem w płytkie jeziora jeszcze nocnego chłodu, potem wydobywali się na gorące już pagórki, gdzie spod popękanej pokrywy mchów wysypywał się jak z rozbitej klepsydry mialki piasek.

– To strach tak długo żyć – powiedziała cicho do siebie.

Ale stary był czujnie odwrócony, z wielką, sękatą dłonią przy włochatym uchu.

– A strach – zgodził się z westchnieniem. – Czasem to myślę, że mnie w ogóle śmierć nie sądzona.

Smagnął prawego konia resztką bicza i zamyślił się na moment. Gdzieś w głębi lasów ogromnych jak puszcza odezwał się daleki strzał. Konstanty przeżegnał się, potem obejrzał się ostrożnie na Helenę.

– On znowu pokazał się na wiosnę – rzekł szeptem spoglądając znacząco.

– Kto: on?

– No, wie panienka – odparł niechętnie. – Od miatieża, znaczy się, od powstania nie pokazywał się, a teraz wziął i pokazał się.

– Konstanty go widział?

– Pewnie, że widział.

– A jaki on?

– Ech, lepiej nie mówić – machnął biczyskiem stary. – On jeszcze za ostatniego króla ludzi i Moskalom, i Prusakom wydawał.

Na brzegu lasu stała sarna. Patrzyła wielkimi mokrymi oczami na zbliżającą się bryczkę. Od czasu do czasu zaczynała żuć, żeby po chwili zastygnąć bez ruchu.

– To nasza? – spytała Helena.

– Musi nasza – rzekł furman.

– Malwinko, ciał, ciał, ciał.

Sarna zawahała się, strzygąc uszami, a następnie postąpiła kilka kroków do przodu. Lewy koń, ten bułany, rzucił zadem spłoszony i zachrypiał.

– Musi nie nasza – stwierdził Konstanty ściągając lejce.

– Chodź, Malwinko, ciał, ciał – wabiła Helena.

Zwierzę przepuściło bryczkę, a potem weszło na drogę, w głęboki siwy piasek jak brzozy popiół, i patrzyło bez lęku za odjeżdżającymi.

Ja znam ten las, ten dwór w ruinie i tę rzekę, co niesie przed siebie smoliste tratwy. W tej chwili barwny motyl zawisł nad krzakiem jałowca, a jeszcze przed ułamkiem sekundy uderzał boleśnie o szybę mego okna pokrytą przezroczystym szronem. Słyszę jakiś wysoki brum, coś na kształt dzwonięcia drutów telefonicznych przed zmianą pogody, albo dalekiego rżenia motorów niemieckich wozów pancernych, czy tylko nocnego jęku starych murów warszawskiej kamienicy. Gdzie ja jestem. Stoję na progu. Zatrzymałem się w drzwiach. Tak słabo widzę. Jeśli przekroczę, nie będzie powrotu. Jakiś ból ęmi w głowie. O tym bólu już wspominałem kiedyś. Widzę ten las jak przez poranną mgłę. Koła bryczki miały popiół piasku.

3

Panna Helena ocknęła się z zamyślenia.

– No, niech Konstanty powie, mam ja iść za mąż?

Furman nie odwracając się długo milczał, aż wreszcie powiedział bez pośpiechu:

– Musi sama najlepiej wie.

– A pójdzie Konstanty ze mną do pana Platera? Stary znowu milczał jakiś czas.

– Ja by i poszedł. Ale nie uchodzi. Całe życie woził pana Michała, znaczy się dziedzica, to jakżeż teraz na starość mieniać konie. Nie uchodzi.

Panna Helena uśmiechnęła się z przykrością. W tej oględnej odpowiedzi stangreta kryła się dziwna niechęć do Platerów. Jakby pokrywając zmieszanie, zaczął okładać konie tym biczem ze szpagatu. Konie poderwały się do niezdarnego klusa.

– A może jeszcze poczekać – szepnęła do siebie Helena. – Ale na co już czekać.

Gdzieś bardzo daleko odezwał się cienki i spieszny głos sygnaturki. Helena podniosła głowę. W koronach sosen było już pełno słońca.

– Konstanty, zdążymy?

– Czemu nie, pośpiejem.

Rozpięła biały parasolik. I tak już ramiona nie wiadomo kiedy i gdzie pokryły się delikatną ogorzeliźną. Bryczka kolebała się na wszystkie strony, podskakując na ukrytych w piachu korzeniach drzew. Panna Helena westchnęła. Starzec czujnie odwrócił głowę, ale tylko tyle, jakby chciał spojrzeć w głąb lasu.

– Człowiek to stworzenie niewolne – rzekł niegłośno.

– A skąd to Konstantemu przyszło do głowy?

– Bo tak i jest. Wszędzie, po całym świecie, jedni nad drugimi panują. Jak nie tak, to siak. Wszystko wola Boża.

– Znaczy mam iść za mąż?

– Sama wie najlepiej.

A nią raptem wstrząsnął dreszcz. Zdało jej się nagle, że traci oddech. Szeroko otwartymi ustami zaczęła chwytać hausty wilgotnego powietrza pełnego żywicznych woni. Ale i to nie pomagało. Zerwała się z siedzenia, chwyciła zardzewiały pręt okalający kozioł. Furman nie widział tego raptownego ataku duszności, zajęty ściąganiem lejców, które opadły i wlokły się po ziemi. Helena zobaczyła kątem oka wielkiego brązowego borowika siedzącego na brzegu koleiny drogi. Na co mi tu grzyb, pomyślała. W takiej chwili. Trzeba się uspokoić. Należy zebrać myśli. Rozpierzchnięte myśli starzejącej się panny. Jak to przeszło, kiedy przeleciało. Dopiero co było powstanie, od którego miało się rozpocząć inne życie. Nocne rozmowy.

Wyjazdy o świcie. Rozstrojony fortepian. Dalekie strzały w lasach. Czasem gwałtowny tętent nad ranem. A ja miałam osiemnaście lat.

Niska gałąź sosnowa trzepnęła Konstantego po sukiennej czapce. Ale Helena zdążyła się uchylić. Spostrzegła, że zbiegły jej palce obejmujące kurczowo żelazny pręt otaczający kozioł. Powoli odczepiała palec po palcu przyklejony do rdzawej balustradki. Bryczka podskoczyła na niewidocznym kamieniu, a ona opadła krzywo na siedzenie wyłożone starą, sparciałą skórą, z której sterczały kłaki morskiej trawy.

– To nie może być tylko tyle – powiedziała niegłośnie.

– A? – nadstawił ucha stangret, co był i stangretem, i furmanem. Ale furmanem częściej, bo na co dzień.

– Nie może być w ogóle – rzekła. – Niech Konstanty powie. Naprawdę ma tyle lat?

– Ja pamiętam, pani, jeszcze króla Sasa.

– Słabo mi się zrobiło. Ledwo nie straciłam przytomności.

– Nawałnica idzie. Po obiedzie dojdzie.

Słup komarów albo jakichś drobnych muszek chwiał się nad drogą. Już od dłuższego czasu towarzyszył koniom, których uszy zdobiły ochraniacze ze zgrzebnego płótna, obszyte czerwoną wstążką, dla ochrony od kąśliwych owadów. Już mi lepiej. To chwilowy atak strachu. Ale strachu przed czym. Nadciąga z północy burza. Zwierzęta boją się piorunów i ludzie boją się niebieskiego a może piekielnego ognia, uspokajała siebie.

– A ot tak i szkoda pana Piotrusia – rzekł raptem w zamyśleniu Konstanty.

Helena zamarła na moment. Potem przeżegnała się ukradkiem.

– Co się Konstantemu przypomniało?

– Zawsze pamiętam, kiedy tędy jadę.

– Tyle lat minęło. Ja już sama nie wiem, czy to prawda, czy nieprawda.

– Żal Piotrusia. Urodził się do wielkiego życia.

Słuchali, jak koła leniwie miały popiół drogi. Las brzmiał głosami ptaków obudzonych przez słońce. Helena nagle osłoniła się parasolem. Wierzchem dłoni starła coś mokrego z powieki.

– Po co Konstanty o tym mówi? – szepnęła z rozpaczą.

– Ja ich wiozłem wtedy, bo wielkie były śniegi. Konie im popadały. A kozacy parli od Oszmiany. Szli wielką obławą. Trzeba było uciekać w nasze strony.

Milczał, obracając w palcach stare biczysko.

– Może on i myślał, że jak ma być śmierć, to niech będzie tu, blisko swoich.

Ja go już zapomniałam, pomyślała. Jaki on był, wysoki czy niski, blondyn albo brunet, wesoły a może raczej stateczny. Tyle lat, cały wiek. Ale to nieprawda. Pamiętam oczy, usta, uśmiech i tę wibrację idącą od jego dłoni, barków, muśnięcia kędzierzawych włosów. Znowu podniósł się z lasu ten dziwny dźwięk, który słyszała rano. Jakby ziemia w swoim locie ocierała

się o ściany nieba albo może piekła.

– Konstanty, słyszysz? – spytała.

– Pewnie myśli, że to ten Schickelgruber łyży leje nad swoimi grzechami? A to rojsty budzą się. W nocy zastygły, a teraz przy słońcu przeczchnęli się. Ot tobie i masz – stęknął na końcu z rozpaczą. – Prrr, ciebie wilcy...

Musztrował konie, dając komuś drogę z naprzeciwka. Biały, wściekły koń przeleciał obok zaprzężony do fantazyjnej linijki. Helena obejrzała się za tym końskim albinosem.

– Uszanowanie pani dziedzicze – odezwał się z rosyjska powożący linijką. A był to niski, ale szeroki jak szafa mężczyzna w mundurze isprawnika. Czarne, maleńkie oczka śmiały się dobrodusznie w ogromnej twarzy ozdobionej sutym wąsem, twarzy szarej i okrutnie dziobatej.

– Dzień dobry – powiedziała niechętnie Helena zasłaniając się parasolką.

Linijka pomknęła w tumanach kurzu. Jeszcze długą chwilę słyhać było jej dzwoneczek rosyjską modą zawieszony przy chomości. Konstanty przeżegnał się szeroko:

– Tfu, duch nieczysty. Patrzcie, jak on lata na tej swojej linijce. Rano tu, wieczorem już pod Bezdunami. Węszy jak pies gończy.

A – jej się wydało, że słyszy Wilię. W tym miejscu droga rzeczywiście zbliżała się do rzeki, do stromego urwiska, pod którym bełkotała woda w przewróconych pniach starych sosen. Skąd ja ten głos pamiętam, pomyślała. Skądś pamiętam, ale jakby nie ze swego życia. Co się ze mną dzieje. To nic. Jutro trzeba zacząć smażyć konfitur. Opuściłam się w pracy. Czekałam na ten dzień. Ale ten dzień taki sam jak wszystkie inne.

Lecz znowu przebiegł pod suknią wzdłuż stosu pacierzowego ten chłodny, nieprzyjemny dreszczyk. Tak, to już trzydzieści lat. Próg starości. Starość bez młodości i bez wieku dojrzałego. Bóg tak chciał. Bóg zrządził. Bóg pokierował.

I przeżegnała się ukradkiem, rozglądając się na boki, czy ktoś tego nie widzi.

– Wybacz, Panie Boże – szepnęła – i daj łaskę wiary.

4

Podniosła raptem głowę i zobaczyła przed sobą wypłowiałe oczy Konstantego. Patrzył na nią w milczeniu, nie dbając o konie, które szły noga za nogą z nisko opuszczonymi łbami. Teraz wolno odwrócił się, zasłonił plecami.

– Przecież to niemożliwe, żeby Konstanty miał sto osiemdziesiąt lat – powiedziała z jakimś nagłym gniewem.

– Sto osiemdziesiąt dwa – poprawił, nie odwracając się.

– Nikt nigdy nie słyszał o takim wieku. Po co Konstanty plecie podobne niedorzeczności.

– A w Piśmie Świętym nie piszą o takich latach? Tyle ludzi umarło za mego żywota. I polscy królowie, i Napolion, i dużo carów straciło życie, i Kościuszko, świeć Panie nad jego duszą, urodził się za mojej pamięci, nawojował się i tu, i w Ameryce, i gdzieś tam w jakimś zamorskim kraju oddał duszę Bogu.

– Konstanty, ile ja będę żyła?

On powoli odwrócił się, uśmiechnął ledwo dostrzegalnie pod wąsem, który kiedyś był siwy, a teraz stał się zielony jak rzeczny wodorost.

– Dla ciebie, panienko, jeszcze daleka droga. Ty dopiero na początku.

Znowu poczuła ten dziwny dreszcz i zarazem zrobiło jej się duszno. Zamknęła parasol, jakby ten biały krążek batystu tamował dopływ powietrza pachnącego tutaj niedaleką rzeką i rozgrzanymi na słońcu łąkami czernic. Już kiedyś było jej tak duszno, podobny chłód biegł wzdłuż kręgosłupa. Boże, kiedy to było. W niemowlęctwie, o którym opowiadała piastunka, w dzieciństwie wspominanym czasem przez ojca i domowników, w młodości, co ją już sama powoli zapomina. A może w trumnie, która ją kiedyś zamknęła na wieki.

Wtedy nagle zatrzymały się konie. Helena podniosła oczy i zobaczyła między głowami końskimi stojącego pośrodku drogi wyrostka, ubranego ni to jak wypędzony z gimnazjum student, ni to jak wędrowny rzemieślnik.

Skłonił się trochę może za nisko.

– Dopraszam się łaski wielmożnej pani, skaleczyłem nogę i nie mogę iść dalej.

– A dokąd się kawaler wybiera?

– Do Bujwidz tylko. Już niewiele zostało.

– To już bliźiutko – powiedział życzliwie Konstanty.

Panna Helena pomyślała raptem, że źle robi, ale na głos powiedziała:

– No to niech kawaler siada.

On ruszył do bryczki i postawił na stopniu nogę obutą, jak się teraz okazało, w przyzwoity but. Bryczka przechyliła się gwałtownie na bok. Panna Helena, chwytając się oparcia, krzyknęła

rozkazująco:

– Nie tu. Włóż na kozioł!

On uśmiechnął się jakoś dziwnie i po piaście koła wspiął się zręcznie na kozioł obok furmana. Dopiero teraz zauważyła, że był bez czapki. Wielkie, rude włosy opadły na wysokie czoło i przy gwałtownych ruchach zasłaniały suchą, niespokojną twarz, po której co chwila przebiegały jakieś raptowne i jakby sprzeczne uczucia. To chciał się śmiać, to się krzywił z bólu, a to mrugał porozumiewawczo okiem. Jeszcze raz pożałowała swego odruchu.

Konie ruszyły, skrzypnęła rozeschnięta bryczka, jakiś ciężki ptak poderwał się z jagodowiska i z czymś czarnym w dziobie poleciał niezdarnie w głąb lasu. Pasażer coś zagadał cicho do Konstantego, a ten odmrucał mu potakująco. Spostrzegła, że czamarka na tym wyrostku jakby za obszerna, jakby podarowana przez starszego brata.

A on wtedy odwrócił się i patrzył na nią dłuższą chwilę z beczelnym trochę uśmieszkiem. Mimo woli opuściła oczy i była zła na siebie, że umknęła wzrokiem.

– Ja przepraszam jaśnie panienkę, ale naprawdę skaleczyłem nogę. To znaczy obtarłem ją na pięcie, bo wędruję już tyle dni w taki upał. Ludzie niechętnie podwożą dzisiaj podróżnych. Każdy boi się obcych.

– A z daleka wędrujesz? – spytała, żeby pokryć to jakieś dziwne zmieszanie. Niedobry dzień. Duchota i dreszcze. Idzie skądś im naprzeciw siarczysty burza.

– O, z daleka – powiedział i znowu uśmiechnął się beczelnie. Tak się przynajmniej wydawało pannie Helenie. Mówił śmiało i zachowywał się swobodnie jak nietutejszy. – Obszedłem pół świata. A resztę opłynąłem statkiem.

– A do kogo ty idziesz?

– Ja wracam. Do swoich.

Spostrzegła teraz, że nie był już młodzieniaszkiem. To tylko jego szczupłość sprawiała, że wydawał się młodszy. Na tej drobnej twarzy leżał jakiś cień nieodgadnionych doświadczeń. Po co to wszystko. Dlaczego pozwoliła mu wsiąść do bryczki. Znowu po plecach przeleciał dreszcz.

– Konstanty, popędź konie. Nie dojedziemy nawet do południa.

– A ot, już zaraz będziem – cmoknął na konie stangret, lecz one nie zwróciły na niego uwagi.

Droga zaczęła opadać w dół, ku strumieniowi, z obu stron pojawiły się czarniawe olchy i konie chcąc nie chcąc przyśpieszyły kroku.

Rudy pasażer odwrócił się z uśmiechem, który raptem zmieniał się w grymas cierpienia.

– Mnie też boli głowa od rana. To znaczy właściwie od świtu. Obudziłem się, patrzę, słońce wstaje w jakichś dziwnych ciemnych chmurach, podłużnych jak nie bielone ręczniki. Bo ja spałem, proszę jaśnie pani, w kopie zboża. Straszna niewygodna. Pełno żytnich ości nasypało się za mój kołnierz.

Dopiero teraz zobaczyła, że trzyma on na kolanach węzełek w zgrzebnym płótnie, jak wiejska baba wybierająca się na targ. Chciała zapytać, skąd wraca, ale przypomniała sobie, że już o tym mówił. Co mnie to obchodzi, pomyślała. Chociaż to jakiś zły znak. Boże, jaki on rudy. Tak pewnie wyglądał Judasz. Kończę trzydzieści lat. Więcej niż połowę życia. Koronkowy czepiec i staropanieństwo do końca życia. Czy to jest ta wolność, o którą mi zawsze szło. Jeszcze raz gdzieś daleko, jakby z końca świata, odezwał się ten dziwny niezidentyfikowany dźwięk. Przypomina zamykanie ogromnych żeliwnych wierzei, pomyślała.

– Ja też słyszę – odezwał się podróżny. – Zbliży się Sądny Dzień.

– Jaki sądny dzień?

– Po prostu żydowski Sądny Dzień.

– A co mnie to obchodzi?

– Już pani dziedziczka to mówiła.

– Ja mówiłam?

– Tak, mówiła do siebie. Ja też czasem z sobą rozmawiam. Gadać z sobą to jakby początek snu.

5

Kiedy przejechali strumień, pełen wijących się jak piskorze wodorostów, droga znowu wspięła się na piaszczysty pagór, las rozstał się, ukazując tuż przed sobą zaczajone miasteczko Bujwidze. Zobaczyli kościół wśród drzew na wzgórzu okolony murkiem z kamieni polnych, pochyły plac przed kościołem, na którym stały bryczki, powoziki i zwykłe chłopskie wozy, parę kramów z obwarzankami i piernikami, a to wszystko otoczone kilkoma domami, co stanowiły sedno tego zagubionego w borach miasteczka.

Nadleciał w ciepłym powietrzu podniosły głos organów. Zapachniało końskim potem i miodową wonią pierników.

Bryczka stanęła koło domu, w którym był sklepik „Złote jabłko” Żyda Goldapfla. Helena podniosła wzrok, zdziwiona samowolą Konstantego. Ale nie zdążyła go skarcić, bo rudy pasażer zjawił się niespodziewanie przy stopieńku bryczki. Stał blisko niej, prawie dotykał łokciem jej dłoni na opuszczonej budzie bryki, patrzył natrętnie oczami, które były to piwne, to zielone, a najprędzej szare jak sierpniowe niebo w owych czasach nad Wilią. Chciał się uśmiechnąć, ale pewnie mu zabrakło śmiałości, bo raptem otworzył usta, zamierzał chyba przeprosić, lecz zrezygnował. Tak, nie był to już gimnazjalista, choć nie miał jeszcze jej lat. Nagle Helenie zrobiło się przykro, pożałowała nie wiadomo czego. W koronach żółkłych lip wokół kościoła buszowały krzykliwe wrony. Je też podniecało to dzisiejsze święto.

– Ja tu wróciłem do jaśnie panienki – powiedział cicho podróżny.

– Co ty mówisz? – ocknęła się z zamyślenia, chcąc zarazem odwlec konieczność zareagowania na tę niespodzianą bezczelność.

– Jaśnie panienka mnie nie pamięta. Ale ja pamiętam.

– Skąd ty mnie pamiętasz?

– Z dawnych lat.

– Co to wszystko znaczy?

Stał przed nią osłonięty głębokim cieniem, bo słońce było za jego głową, nieforemne, rozpełzłe na boki sierpniowe słońce jak topiące się masło. Po jego rudych włosach wspinała się ufnie boża krówka. Co to wszystko znaczy, powtórzyła w duchu. Boża krówka to szczęście czy katastrofa. Jaki dziwny dzień. Pierwszy taki dzień urodzin, którego nie zapomni.

On nagle położył gorącą dłoń na jej palce.

– Precz! – szarpnęła się do tyłu. Parasolka wypadła z ręki i potoczyła się pod jego nogi w wysokich butach, jakie noszą rosyjscy oficerowie. Pochylił się, podniósł parasolkę, a ona odwróciła się gwałtownie jak przed nieczystym duchem.

– Konstanty, co tak stoimy? – zawołała. – Ruszaj!

– Ten lewy, musi, ochwacony – furman trącił biczem zad bułanka.

Bryczka zakotłusała się, z rżeniem rozsychającej się konstrukcji potoczyła się w stronę tego dyrwanu prostokątnego przed kościołem. Nie trzeba się odwracać, bo ten włóczęga Bóg wie jeszcze co sobie pomyśli. Ale ku swemu przerażeniu nagle zerknęła za siebie, niby to otwierając zupełnie bez potrzeby ten odzyskany parasolik. A on stał w tym samym miejscu bez ruchu z węzełkiem w opuszczonej dłoni. Nie uklonił się i nie podniósł ręki na pożegnanie. Stał jak wrośnięty w ten piach niczym gryczana mąka, stał i w tym jego staniu było coś w rodzaju rozterki, jakiś żal, że niepotrzebnie tu wrócił, jakaś nagła rozpacz i determinacja, żeby ruszyć z powrotem tam, skąd tu przyszedł tej sierpniowej nocy.

Moja babka Helena Konwicka, moja babka, której nigdy w życiu nie widziałem i nie wiem, gdzie i kiedy umarła, moja babka Helena gospodarzyła wtedy, jak się zdaje, z ojcem Michałem w folwarku Bohiń puszczonej w dzierżawę przez uczynnego sąsiada. A ich własny mająteczek, niedalekie Miłowidy, został skonfiskowany po upadku powstania 1863 roku, gdyż pan Michał był cywilnym naczelnikiem powiatu i ta jego godność została ujawniona przed specjalną komisją śledczą, która badała w kilka miesięcy po zdławieniu rebelii miejscowych ziemian, ale nie tylko ziemian, bo i chłopów, leśników, niektórych mieszczan, a nawet Żydów.

To dziwne powstanie, co jak letnia burza szło przez środek Europy, nagle wybuchając i milczkiem, nieznacznie ucichając, to dziwne powstanie zaważyło ogromnie na życiu tych ludzi, którym błysnęło nad ranem zorzą i zgasło, zanim zerwali się na równe nogi, to niezapomniane powstanie wisiało w powietrzu nad Wilią, wyło po nocach na rojstach, dusiło zimą w ciemnych alkierzach dworów zasypanych śniegiem po kominy.

Moja babka była sierotą tak jak ja. Jej matka, Maria Konwicka, umarła przy porodzie. Raz tylko rodziła i to był jej ostatni połóg. Pochowano ją koło drogi na Daugiele, w zwykłym darnistym grobie z żeliwnym krzyżem u wezłowia. Dlaczego ją tak biednie pogrzebano, choć powinna leżeć w Bujwidzach albo nawet może w Niemenczynie, tego nie wiem i nigdy już wiedzieć nie będę. Ale myślę, że taka musiała być jej wola i to przedśmiertne rozporządzenie uszanował osierocony mąż, pan Michał Konwicki, mój pradziad.

A teraz Helena siedziała w ławach kolatorskich bujwidzkiego kościoła. W wysokich oknach pełno było słońca, ukośnego słońca, co bokiem wślizguje się do wnętrza i kładzie się na ścianach, skromnych barokowych ścianach wiejskiego kościoła w tym miejscu, gdzie już się kończy barok. W tych oknach pełno też było ptaków, to znaczy przede wszystkim gołębi, które wygrzewały się w promieniach sierpniowego słońca, a wyżej, pod stropami naw, uganiały się wróble tak dźwięcznie i tak donośnie świergocąc, że ich głosy niewinne przebijały potok dźwięków starych organów, na których rzępolił organista – samouk. W tym kościele pachniało woskiem, więdącymi kwiatami i oczywiście kadzidłem, i te wszystkie szczegóły, tak banalne, tak powszechne, tak oczywiste teraz, w tej chwili, przypominały pannie Helenie coś strasznie

odległego, a właściwie może nawet bliskiego, tylko oddzielonego jakąś potwornie grubą ścianą, ścianą nicości, ścianą niebytu.

Znowu zatrzęsł nią jakiś dziwny dreszcz, ni to zimny, ni to gorący.

– Ja to wszystko znam – szepnęła sama do siebie. – Ale skąd ja to znam, bo przecież nie z dzieciństwa i nie z codzienności. Straszny upał. Lud mówi, że nadchodzi koniec świata. Nie wiadomo skąd nadciąga dzień Sądu Ostatecznego. Przeziębłam się wczoraj w rzece. Nie wolno kąpać się po zachodzie słońca. Kto tak mówił. Może matka. Przecież ja nigdy nie miałam matki. Jak duszno. Chyba zacznę krzyczeć.

Kulawy kościelny usługiwał księdzu Siemaszce, któremu spod alby wyglądały stare wyłysiałe chłopskie buty. Od dłuższego czasu czuła na sobie czyjś wzrok. Ale ona wiedziała, kto na nią patrzy z uporem, chcąc ukłonić się i dać dyskretny znak swojej obecności.

Helena czekała. Z jakąś bezsensowną mściwością odwlekała ten moment, kiedy zwróci głowę w prawą stronę, gdzie pod białą kolumną siedzi on z tym swoim nieodstępnym strzelcem.

Ksiądz Siemaszko, odwracając się od ołtarza, jak dobry gospodarz taksował wzrokiem wnętrze kościoła i widać było, że nie jest zadowolony z frekwencji, ale gdy napotykał oczy panny Heleny, coś w rodzaju uśmiechu pojawiało się na jego niezbyt starannie ogolonej twarzy.

Po podniesieniu zwróciła głowę w prawo, powoli, z namysłem, jakby od niechcienia. Wtedy pan Aleksander Broel-Plater pochylił z uszanowaniem głowę o lekko już siwiejących skroniach. Był to pan niemłody, ale jeszcze nie stary, leciutko przytyty, lecz można się było domyślać, że w młodości musiał zwracać na siebie uwagę nieprzeciętną, prawie dziewczęcą urodą. Teraz te delikatne rysy zgrubiały od upływu czasu i może zbyt obfitego jedzenia, ale ciągle jeszcze był uderzająco pięknym mężczyzną, choć z jakimś rysem stałego niezadowolenia, obrazy czy wręcz pychy. Obok niego siedział strzelec Udek, czarny, suchy, przystojny chłopak o chmurnym spojrzeniu. On też się ukłonił, lecz jakoś niedbale, byle jak, nawet może trochę impertynencko.

Po skończonej mszy ksiądz, przeprowadzany przez zamiatającego lewą nogą kościelnego, z kielichem i pateną w dłoniach, nie krępując się, rzekł ciężkim basem w stronę Heleny: -

– A nie zapomnij, dziecka, o śniadaniu. Czemu ojca nie widzę? Panna Helena zamachała tylko bezradnie rękami. Ale ksiądz nie czekał na odpowiedź. Szedł w stronę zakrystii, egzaminując kościelnego.

– Dużo było na tacy, a? Kościelny zamruczał niepewnie.

– Co nie pamiętasz? Ja tobie dam na pamięć, czort kosołapy. Spojrzała na zegar na ścianie bielonej wapnem. Do południa, pory śniadaniowej u księdza Siemaszki, było jeszcze sporo czasu. Wyszła niezdecydowanie na schody przed kościołem. Tu czekał już Plater, a za nim jak czarny cień stał strzelec Udek.

– Witam pannę Helenę – pochylił się niby to niedbale do jej ręki Plater. Ale czuła w nim pewne napięcie i to było więcej niż szacunek. – Nie odrzuci pani zaproszenia księdza

dobrodzieja?

– Gdzieżbym śmiała, choć czuję się dziś nie najlepiej.

– Idzie zmiana pogody. Nawet zwierzęta to czują. Proszę spojrzeć na ptaki.

Rzeczywiście, jaskółki, a może po prostu gżegżółki cięży upalne powietrze nisko nad ziemią. Stado wron albo gawronów krążyło niespokojnie nad dachem kościoła.

Wtedy zbliżył się nie wiadomo skąd pan Korsakow, który teraz był właścicielem Miłowidów. Siwy, czarno ubrany, schludny, niósł ze sobą jakąś nerwowość, jakiś sztuczny wigor, nieprzyjemną poufałość.

– Czy mogę się przywitać? – spytał żywo.

Plater bez słowa odwrócił się bokiem. Panna Helena w milczeniu skłoniła głowę, chowając rękę z parasolką za siebie.

– Ale żar, umrzeć można – rzekł pan Korsakow z silnym akcentem rosyjskim. – No i tak. Wobec tego nie przeszkadzam.

I równie żwawo oddalił się w stronę powoziku, przy którym czekał lokaj.

– Ten ma tupet – skonstatował Plater. – Chyba setny raz nie odpowiadam na jego powitanie, a on nic, a on stale chętny i serdeczny.

– A nas na każde święta zaprasza do Miłowid.

– Tak, w moskiewskiej służbie stwardniała skóra. Czy mogę pani towarzyszyć?

– Ach nie, dziękuję – przestraszyła się. – Mam tu jeszcze coś do załatwienia dla papy.

– Zatem do zobaczenia, panno Heleno.

– Do zobaczenia.

Zbiegła ze schodów, a on chwilę patrzył za nią, jakby taksował jej ubiór i lekkość ruchów, a potem spojrzął w czarne oczy strzelca, który stał za nim bez ruchu.

Rozpięła parasol i poszła w dół placu porośniętego gęstym jak wełna podróżnikiem. Zobaczyła kątem oka, że Konstanty w cieniu lipy z batem w ręku plotkuje leniwie z innymi stangretami.

Weszła na drogę wiodącą do majątku Bujwidze, ale się rychło rozmyśliła, skręcając na ścieżkę prowadzącą przez pola do rzeki. Obok stał nieruchomy las, z którego sączył się leciutki chłód, a właściwie nieśmiała zapowiedź leśnego chłodu. Skądś idą baby na sumę, którą odprawi jakiś przyjezdny ksiądz. Niosą pęki ziół, żeby je poświęcić. Poświęcone zioła leczą skuteczniej i służą przez cały rok aż do następnego święta Matki Boskiej Zielnej.

– Chyba mu zrobię awans – powiedziała cicho panna Helena i szybko się odwróciła, ale nikt za nią nie szedł. Wszędzie była dziwna, przejmująca cisza. I wszystko szarzało, stawało się popielate, traciło kolor.

Wtedy zobaczyła w oddali wysoką, szczupłą postać mężczyzny, który stał między krzakami tarniny, na szerokiej miedzy wśród żytnich ściernisk, i patrzył w stronę nadchodzącej Heleny.

A jej się wydało, że ten mężczyzna o chłopięcej sylwetce ma rude włosy, które rozpala leniwie stygnące w jakichś szarych mgłach słońce. Zatrzymała się, patrzyła niezdecydowanie przed siebie. On osłonił dłonią oczy i przyglądał się, jeśli ją w ogóle rozpoznał z takiej odległości. Potem bez pośpiechu ruszył w bok, w stronę lasu zastygłego w nieruchomości. Tylko rzadkie głosy ptaków ożywiały ten spieczony sierpniowy świat.

Zeszła nad rzekę, co bezgłośnie płynęła na zachód, a właściwie w tym miejscu na południowy zachód. Rzeka też poszarzała i tylko przy brzegach miała głęboki odcień zielonkawych brązów. W górze rzeki widać było przycumowany do brzegu stary prom, cały w mchach i wodorostach. W dole, koło łagodnego zakrętu, leżały przy brzegu tratwy związane z bierwion okorowanych i broczących żywicą.

Siadła na kamieniu wygrzanym jak w łaźni. Nagle zapragnęła się pomodlić. Uczyniła na piersiach mały znak krzyża i zawstydzila się w tym samym momencie. Ale nikogo nie było nad tą milczącą rzeką. Jakieś motylki miały się nad przybrzeżnym zielskiem, jakaś rybitwa ze złą albo dobrą nowiną śpieszyła wysoko nad tonią wody w stronę dalekich kęp albo łąch. Znowu usłyszała ów daleki, głęboki dźwięk, jakby idący spod powierzchni ziemi.

6

Siedziała przy stole między księdzem i panem Platerem. Jedli w milczeniu chłodnik, a z kuchni dobiegały odgłosy niespiesznej rozmowy kościelnego ze strzelcem Ildefonsem. Kościelny był życzliwy, zagadywał strzelca, wypytywał dobrodusznie, pewnie podsuwał mu smaczne kąski, a on odpowiadał skąpo i w głosie jego słyszało się źle skrywane dąsy. Obok w saloniku zgrzytliwy zegar odmierzał godzinę, ale jak zwykle nikt nie zdążył policzyć uderzeń. Jedli więc ten chłodnik i milczenie przedłużało się kłopotliwie. Ksiądz Siemaszko, żeby poprawić nastrój, siorbał zawzięcie, pan Aleksander spoglądał na niego z politowaniem, a Helena po prostu nie podnosiła głowy znad talerza.

Za oknem plebanii rozległ się gwałtowny turkot kół. Spojrzeli mimo woli w otwarte okna ze wzdętymi muślinowymi firankami nie najpierwszej czystości. Przez gałęzie starych lip widać było za murem kościelnym spadzisty placyk, po którym na ukos toczyła się linijka z isprawnikiem w rozpiętym mundurze. Kramarze i chłopci z odświętnymi biczami w rękach oglądali się w milczeniu za tym śpieszącym się dokądś policyjnym dygnitarzem.

Węszy – rzekł ksiądz ocierając brodę. – Jak pies gończy lata z kąta w kąt przez cały powiat. Ludzie mówią, że pokazali się gdzieś rewolucjoniści, cudzoziemcy albo studenci.

– On, dobrodzieju – odezwał się pan Plater – nie lubi tych nowoczesnych zabaw z ludem. I Petersburg kwaśny na te białoruskie mody.

– Praudu każe – westchnął ksiądz. – Wiem, o czym myśli. Ale przecież, panie hrabio, mój ród stary białoruski i nie wstyd przypomnieć tradycje jeszcze od wielkich książąt idące.

– Mnie ksiądz nie musi przekonywać. Ja nie mam nic przeciwko Białorusom czy Litwinom. Ale tak w ogóle to lepiej ostrożnie.

– Praudu każe – znów westchnął stary proboszcz, a to „praudu każe” to było jego białoruskie porzekadło, oznaczające aprobatę dla wypowiedzi przedmówcy. Więc westchnął ciężko i pogładził gęstą, szpakowatą szczecinę na wielkiej głowie.

Patrzyli z namysłem na ten placyk za oknem, gdzie znowu rozpoczął się leniwy ruch jarmarczny. Niektórzy chłopci poili konie piwem z grubych butelek. Bose dzieci biegały z drewnianymi motylami na kółkach, co składały i rozkładały jaskrawe skrzydła. Ktoś podpity zaczął tęsknie śpiewać gdzieś za płotem. Po zaprzęgu isprawnika zostało trochę tylko przeźroczyстого kurzu, który wolno opadał na dyrwan placu.

Pociągając kulawą nogą wszedł kościelny. Niósł w obu rękach wielki wiklinowy kosz ociekający wodą.

– Pan Korsakow przysłał pełny kosz miętusów – zachrypiał odkaszlnąwszy przedtem kilka razy.

– Masz tobie – zmartwił się ksiądz. – Znowu pcha się z gościńcem. Nachalny człowiek.

– Nu, raz trzeba wziąć – rzekł kościelny. – Nie uchodzi odprawiać i odprawiać.

– Jak weźmiesz raz, ty głupia żywiołko, to on tu pokaże się z całą kompanią. Wynieś i powiedz, że nie potrzeba.

– Ach, jaka nieprzyjemność – zmartwił się kościelny i jeszcze mocniej niż przedtem kulejąc, powlókł kosz do kuchni.

Ksiądz odsunął talerz z impetem.

– Ot bezwstydnym, bezwstydnym. Jak on śmie. I to jeszcze przy panie Helenie.

Helena uśmiechnęła się z przykrością. – Jeśli nie on, to Małowidy wzięłyby jakiś rodowity Moskal. A tak to chociaż trochę swój. Przecież oni, te Korsaki, to gdzieś spod Wornian, prawda?

– Nie, droga panno Heleno – wtrącił się pan Aleksander. -

Nasi Korsakowie poczciwi. Wszyscy jak jeden mąż poszli z partią do powstania. Pamiętam ich z Puszczy Nalibockiej i z Puszczy Ruskiej. A ten renegat wywodzi się gdzieś spod Dukszt albo jeszcze dalej.

– On, mówią, posłem carskim do Stambułu jeździł – rzekł proboszcz.

– Tak, odznaczył się na wojnie tureckiej, a potem wysługiwał się w ministerium stosunków zagranicznych. Dla kariery, sprzedawczyk, nawet nazwisko zruszczył.

– Ach, bieda, co za czasy. Mikołaj, a co z kołdunami? – krzyknął ksiądz Siemaszko.

– Zara, zara, pośpiejem – warknął z kuchni kościelny.

Do kołdunów, których wniesiono trzy półmiski, dobrodziej wyjął z piwniczki swojej roboty nalewkę ziołową, ze starych recept jeszcze z pogańskich czasów.

– Po jednym nie zaszkodzi – westchnął, napełniając kieliszki. Helenę ogarnęło nagle zniechęcenie. Gdzieś za murem ktoś śpiewał rzewnie po białorusku, obok tykał zegar, łaty słońca wypęły powoli na stare ściany ze złuszczonego wapnem. Co ja tu robię, pomyślała. W którym momencie rozpoczął się ten czwarty dziesiątek lat. Dlaczego ten pan Aleksander tak poczerwieniał. Nie do twarzy mu w tych kolorach. Przecież czuję w nim na wiorstę coś babskiego, choć taki zły i wzgardliwy. Dlaczegoż ja się nie urodziłam mężczyzną. Może życie byłoby łatwiejsze.

– Po jednym nie zaszkodzi – znieczulał słodkim tonem ksiądz proboszcz swoje sumienie. – A co to, nie piją? Do kołdunów nie wypić to grzech.

Plater podniósł kieliszek z zielonkawą nalewką. Zasalutował nim Helenę.

– Za pomyślność. Daj Bóg, żeby za naszą wspólną pomyślność.

– O to, to – zawołał mocno już spocony proboszcz. – Najwyższa pora. Nie możemy dać się wygubić Moskałom. Ja ich, panie święty, w czterdziestym ósmym... Cśśś, co ja mówię... ani słowa...

I przełknął haust nalewki, aż wielka jak jajo grdyka z siwymi kosmykami włosów poszła

ciężko w dół, a potem wróciła na swoje miejsce. Pan Aleksander chwilę się wahał, a później z pewną dystynkcją przysunął swoje ciężkie dębowe krzesło w stronę panny Heleny.

– Proszę się nie obawiać – rzekł cicho.

– Ja się niczego nie boję.

– I mnie się pani nie obawia?

Popatrzyła na niego z nagłą uwagą. Tak, był kiedyś piękny Ukochany jedynak zwariowanej hrabiny, choć zdaje się należeli do tej gałęzi wielkiej rodziny, która poprzestała na klejnocie szlacheckim. Rozpieszczony w nadmiarze i kochany histerycznie zaniedbał nauki, nie dokończył edukacji, gdzieś wyjechał, może za granicę, a potem wrócił, jakby zhańbiony, jakby ze złą sławą albo może tylko w aurze niedobrych plotek. Waha się, porusza ustami, przymyka powieki, chce coś powiedzieć, ale już mu się odechciewa. Wyglądał jakby pragnął porzucić na chwilę tę wyniosłą i szyderczą pozę, ale coś mu nie pozwala, jakiś nawyk każe mu znowu odąć trochę zbyt pełne, miękkie, bardzo czerwone usta. Mamo droga, jak ja wytrzymam do końca życia, westchnęła w duchu Helena.

Tak spędza ten dzień moja babka na wsi litewskiej, ale bardziej jeszcze białoruskiej. Dzień świąteczny na strasznej prowincji, o której nikt nigdy nie słyszał na świecie. Gdzie minuty wloką się jak godziny, a godziny jak tygodnie. Gdzie kobieta rodzi się i żyje w tym samym kącie do śmierci, wydana przez rodziców wbrew swojej woli za sąsiada, i zanim umrze, marzy i śni o wielkich uczuciach, które jej podsuwają raz na miesiąc przywożone czasopisma z dalekiej Warszawy albo raz na rok przychodzące książki z Francji, która nie wiadomo, czy naprawdę istnieje. Suma niedzielna w kościele parafialnym, huczne imieniny od czasu do czasu, nieśmiały flirt na odległość z kimś, kto przypadkiem przejeżdżał przez te strony, ciężka choroba w końcu zimy i modlitwa za ojczyznę, i wspomnienie tych powstań, co ciągle jeszcze żyją, choć dawno umarły. Ubóstwo banału i banał ubóstwa. Cieniutkie ściegi istnienia jak wyblakły obraz święty ze śladami po nieśmiertelnych muchach.

Siedzieli na ganku plebanii, oczywiście spowitym festonami żółknącego już winogrodu. Tak wyglądały wówczas wszystkie plebanie w tej okolicy i taka sama winorośl oplatała białe kolumnienki ganków, czepiała się ścian z łuszczącym się często sinawym wapnem. Ksiądz Siemaszko palił fajkę, którą rzecz jasna nazywało się lulką, i sączył miód z koślawej szklanki. Pan Aleksander zaciągał się cienkim zagranicznym papierosem, puszczał kółka dymu na obłoczki komarów, co wyplątały się ze stygnącego ogrodu albo może z cmentarza zwróconego w stronę wsi Bujwidze, gdzie czerwone słońce szykowało się do snu. Helena objawszy dłońmi kolana patrzyła przed siebie, w stronę miasteczka, to znaczy tego placyku i kilku żydowskich domów dookoła. A placyk już był prawie pusty. Zostało tylko parę bryczek i powozów. Żydzi wyszli przed ogrodzenia, przyglądali się zaprzęgom, kościołowi i plebanii. Komentowali dzisiejsze skromne wydarzenia, obficie gestykulując i stale osłaniając oczy przed niskim

słońcem.

Ksiądz przymknął powieki, oparł głowę o splekaną kolumnienkę, dogasająca lulka leżała na podółku sutanny. Nadchodziła noc, wczesnojesienna, już długa noc pełna okropnej, dzwoniącej w uszach ciszy. Panna Helena westchnęła. Trzeba jechać, żeby przed nocą pokonać większą część drogi. Poczula jego wzrok na sobie. Uśmiechnął się przyjaźnie, gniotąc w palcach nie dopalonego papierosa.

– Chciałbym usłyszeć od pani wiążące słowo, szanowna sąsiadko.

– Mamy czas, panie Aleksandrze. Mamy dużo czasu. U nas nie ma pośpiechu. Pośpiejem, jak mówi Konstanty.

– Wszakże trzeba się decydować. Oboje już nie jesteśmy najmłodszy.

– Tak, nie jesteśmy najmłodszy – powtórzyła Helena i przykry chłód objął raptem jej plecy. Wzdrygnęła się nieprzyjemnie. – Robi się zimno. Na mnie już czas. I z burzy pewnie nic nie będzie. Widzę rosę na kwiatach.

– Pani mnie zwodzi.

– Ach, panie Aleksandrze, sama już nie wiem. Może nie powinnam ojca opuszczać.

– Dlaczego opuszczać? Będziemy wszyscy blisko. Zza ciemniejących pni drzew wyłonił się strzelec.

– Wielmożny panie – rzekł do Platera – stangret się upił i dokazuje.

– Dobrze, zaraz będziemy jechać. No idź już, wracaj do powozu.

– Ja przecież idę, na pewno tu nie zostanę – odparł chmurnie Ildefons i poszedł między drzewa.

Milczeli chwilę, słuchając pochrapywania księdza Siemaszki.

– Zaczekajmy, panie Aleksandrze. Zdecydujemy się po żniwach. Jakiś zły czas na mnie przyszedł.

On otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz ona go uprzedziła:

– Ale wszystko będzie dobrze.

– Daj Boże. No to ruszamy w drogę.

– Ja jeszcze zostanę chwilę. Wstąpię na cmentarz.

On wstał, zagniótł papierosa w kamiennej popielniczce i z jakimś sztucznym opóźnieniem rzekł, patrząc gdzieś w bok:

– Ach, tak. Na cmentarz. Za dużo tych cmentarzy. Ale tak musi być. No to żegnam. Do przyszłej niedzieli.

Wziął jej rękę w swoją bardzo zimną dłoń i ucałował ceremonialnie. Kiedy odszedł, Helena spojrzała bezradnie na proboszcza, na jego wielką głowę z włosami strzyżonymi na jeża, na straszne brwi, kulfoniasty nos i obwisłe policzki, popatrzyła na tę śmieszna i pocziwą zarazem twarz starego księdza, spostrzegła jakąś zapóźnioną muchę, która wędrowała po nosie od brwi

ku ustom, zobaczyła komary szykujące się do usadowienia na pofałdowanym, mokrym od potu czole i powiedziała cicho:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

A wtedy nieoczekiwanie ksiądz Siemaszko uniósł powieki, dziwnie przytomnym głosem zapytał niegłośnie:

– A ty wierzysz, dziecino?

– Czy ja wierzę? – powtórzyła wstrząśnięta Helena.

– Tak, czy ty wierzysz?

Zbierała długą chwilę myśli. I pierwszy raz w życiu bała się nie wiadomo czemu odpowiedzieć. Ale on znowu przykrył wielkie wyłupiaste oczy ciężkimi powiekami.

– Wierzę, jak umiem. Choć jestem grzeszna.

– Co ty tam wiesz o grzechu, dziecino. No, jedź, wracaj, bo jeszcze Schickelgruber napadnie na was po nocy.

– A ksiądz go widział kiedyś w życiu?

– On spalił w Mirze bóżnicę pełną Żydów. To ludojad. Belzebub, co zre ludzkie mięso.

Wtedy ona nagle zapytała, choć nie chciała zapytać:

– A jak ksiądz wierzy?

– Szto ty każesz? – odezwał się po białorusku, nie otwierając powiek. – Kłaniaj się nisko ode mnie panu Michałowi. Idź, idź, ja tu jeszcze podrzemię.

Minęła sad, weszła na cmentarzyk, co po drugiej stronie wzgórza kościelnego zsuwał się w stronę wsi. Zewsząd wychodziły jej naprzeciw chłodne i ciepłe zapachy. Wonie stygnących kwiatów i gorących jeszcze ziół, oddech bliskich drzew i dalekich pól z kopami zboża.

Zobaczyła ze ściśniętym jak zwykle sercem tę mogiłę i kamień już dobrze omszały z wietrzejącym napisem „Piotr Pieślak”. Podeszła, uklękła z westchnieniem. Który to już raz. Nawyk jak nawyk pacierza wieczornego. Kiedyś przychodziła z rozpaczą, chciała się zabić na tym świeżym grobie, potem klękała jak przed przydrożną kapliczką, a teraz odczuwa jakiś strach, a może przykrość. Przeżegnała się, ale wydało się jej, że opuściła fragment zamasyztego krzyża, więc powtórzyła pobożny gest. Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie, ale czy pamiętam jeszcze jego rysy, pomyślała. Jęła rozpaczliwie przypominać sobie sylwetkę młodego powstańca i z wielkim trudem zaczęła rozróżniać w ciemnościach pamięci jego czarne, bujne włosy, smagłą twarz z rumieńcami, jakie mają tutejsi chłopcy, i energiczną brodę z dołkiem. Uśmiecha się do niej z mroku już tyle lat, zaraz, ile ich będzie, chyba dziesięć, a może nawet więcej.

– Nie bój się – powiedziała cicho do siebie i do niego pod tą zrudziałą darnią. – Nie opuszczę ciebie. Zostanę ci wierna aż do końca.

Ale szepcząc to, myślała, że ta wierność chyba jest niepotrzebna umarłym. Lecz się zaraz skarciła w duchu, bo panna Helena często miewała takie dziwne myśli, których się wstydziła i których nie mogła zawierzyć nikomu.

– Trzeba więcej pracować – rzekła cicho i natychmiast pomyślała, po co pracować, dla kogo pracować. – Czekają na nas wszystkich obowiązki. – Ale jakiś zły duch znowu podsuwał złe myśli, jakie obowiązki, wobec kogo obowiązki. – A ojczyzna? – szepnęła panna Helena.

I wydało się jej, że ktoś obok śmieje się ukradkiem. Ale to tylko dziki gołąb mościł się do snu w gałęziach starego klonu, co pochylał się troskliwie nad starymi mogiłami tego cmentarza.

Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków amen. Piotrusiu, Piotrusiu mój kochany, jestem już od ciebie starsza o dziesięć lat.

I nagle przypomniała sobie, jak go Plater z fernalami przywiózł wtedy na początku lata. Nie dali jej spojrzeć, ale przecież zobaczyła zżarte przez dzikie zwierzęta zwłoki, co leżały przez całą wiosnę w lesie. Musiał dostać kulę, ale nie stracił od razu życia, czołgał się chcąc uniknąć kozackiej pogoni, i wpełził pod gęste gałęzie młodego świerka, i tam został.

Wzdrygnęła się, przeżegnała zamasyzcie, jakby pragnąc odpędzić złe duchy albo niedobre wspomnienia.

– Trzeba wracać – westchnęła. – Ale do czego wracać. Gdzie jest to prawdziwe moje

miejsce.

Potem w lesie spytała niewidocznego w nocy Konstantego:

– Wierzysz w tego Schickelgrubera? Możesz się pobożyć, że wierzysz?

Furman trzepnął lejcam i o końskie boki. Słońce już zaszło za niewidoczny horyzont i tylko gdzieś gdzieś leżały wśród drzew suche łachy pozachodniej łuny.

– Ja jego kiedyś spotkałem, ale nie poznałem, że to on. Niczego sobie, Taki z czarnym wąsikiem. Mówią, że przyszedł z Kurlandii, a może nawet z Prus. Zawsze musi taki być, co naród morduje.

– A dlaczego to?

– A żeby ludzi za dużo nie było.

Gdzieś bardzo daleko rozległ się gwizd parowozu. Oboje zwrócili głowę w tę stronę.

– Pociąg. Ale dziś głos niesie.

– Jaki tam pociąg. Ziemia wzdycha. Nie lubi nocy.

Jechali chwilę w milczeniu. Pokazały się już pierwsze gwiazdy na niebie, słabe i ginące w mgłach. Jak światła odległej wsi ukrytej w rojstach. I co z tą burzą. Gdzież te gromy, co miały oczyścić powietrze, pomyślała.

Ale wtedy nagle zatrzymała się bryczka. Któryś z koni zaczął prychnąć.

– Nu, na zdrowie – powiedział łagodnie stangret.

– Co się stało? – ocknęła się Helena.

– A niech patrzy – pokazał coś biczem.

Spojrzała w tym kierunku i zobaczyła stojącego na poboczu drogi siedmio – albo ośmioletniego chłopca, z którym zrównała się bryczka. Ubrany był w beżowe ubranko, na głowie miał też beżową czapkę. Widząc Helenę, zdjął nakrycie głowy i uklonił się grzecznie.

– A dokąd to kawaler wędruje? – spytała.

– Do Bujwidz, proszę pani.

– To idziesz w odwrotną stronę.

– W odwrotną? – spieszył się chłopiec. – Ja myślałem, że idę dobrze.

– A kto ty jesteś?

– Ziuk – powiedział zażenowany.

– Dobrze. A czyj? Jak nazywają się rodzice?

– Piłsudski. Z tatusiem przyjechaliśmy do Bujwidz na festyn. Tatusz pojechał grać w karty.

Do majątku – dodał widząc zdziwienie Heleny.

– A ty co tu robisz?

– Chciałem zobaczyć w lesie Powstańczą Górę.

– I zobaczyłeś?

– Zobaczyłem. Tam krzyż stoi.

Panna Helena dopiero teraz spostrzegła, że ten niepotrzebny parasol leży rozłożony

w nogach bryczki. Podniosła go, strzepnęła suche igliwie, co czepiało się białego batystu, z namysłem złożyła. Potem zeszła na drogę.

– Konstanty, trzeba chłopca odwieźć do Bujwidz.

– Dziękuję. Ja sam trafię.

– Siadaj i bądź grzeczny. Konstanty, ja tu zostanę i poczekam. Konstanty, jak to furman, poskrobał się w siwą głowę.

– Pani, toż obojętnie zostać tak samej w lesie.

– Nic mi się nie stanie. Siadaj, chłopcze, i ruszajcie jak najszybciej. Ja tu czekam.

Podsadziła chłopca, ale on wyrwał się zręcznie z jej rąk i wskoczył na kozioł koło stangreta, akurat w to miejsce, gdzie przedtem siedział ten rudowłosy młodzieniec. Konstanty nic nie mówiąc, nawrócił konie, chciał jeszcze rzec jakąś przestrożę, ale tylko cmoknął na konie, poprawił batem i bryczka żywo potoczyła się z powrotem w stronę Bujwidz.

Helena została sama. Co ja robię, pomyślała z raptownym popłochem. Gdzieś z głębi tych nie kończących się borów idzie noc, a w jej ciemnościach źli ludzie i złe duchy. Tak chciało przeznaczenie. Spojrzała w ciemniejące niebo. Gwiazd było więcej. Właśnie w tym momencie jedna z nich poleciała ukośnie do ziemi. Ale panna Helena nie wiedziała, że to spadają meteoryty, i nie wiedziała też, że gdzieś tam w mroźnej przestrzeni nad nami leciała wtedy pewna kometa, która zginęła kiedyś później w nieskończonych koleinach Drogi Mlecznej. Zapomniałam pomyśleć życzenie. Ale czegoż sobie dziś życzyć. Czy długiego życia. Czy pana Platera. Czy może wielkiej miłości.

– Ach, głupstwa – trzepnęła się parasolką po spódnicy. – Na cóż miłość. Jakież głupstwa przychodzą mi do głowy. Taki dziwny dzień. Ale dlaczego właściwie dziwny.

Zatrzymała się przy krzaku jałowca. Od piaszczystej drogi szło jeszcze delikatne ciepło jak od stygnącego pieca chlebowego. Wydało się jej, że o kilkadziesiąt kroków stąd zbiegają się dwie leśne drogi.

Znowu wstrząsnął nią dreszcz.

– To tu. Niedaleko stąd znaleźli Piotrusia. Co się z nim działo w tych ostatnich godzinach życia. I ile było tych strasznych godzin? A gdyby przeżył – szepnęła powstrzymując dygot. – Zimno. Spadła rosa. Nie przyjdzie nawałnica. A gdyby przeżył i żylibyśmy razem Dziesięć lat. Dziesięć niewiadomych lat. Ale może to nie tu. Las do siebie wszędzie podobny.

Wreszcie w którymś momencie, a było już ciemno, że oko wykol, wreszcie usłyszała za sobą turkot głuchy bryczki i pochrapywanie koni. Zamachała złożoną parasolką jakby w obawie, że zostanie nie zauważona.

– Konstanty, to ty?

– Prr, skaciny – usłyszała ochryply głos starego furmana. Bryczka zatrzymała się przy krzaku jałowca.

Wskoczyła do zimnego i mokrego od rosy wnętrza.

– A on nie straszyl? – zapytał dobrodusznie z ciemności Konstanty.

– Dobrze, jedź szybciej, bo strasznie dziś zamarudziliśmy, chłopca oddałeś ojcu?

– Hoho, dali nawet pół rubelka – pochwalił się stary. Cmoknął na konie, bryczka potoczyła się w stronę Bohinia. Plecy starego mętnie rysowały się na tle nieba. Helenie wydało się, że furman żegna się raz po raz. A może po prostu drzemał, bo była pora, kiedy starców morzy pierwszy sen.

W którymś momencie zobaczyli przed sobą kołyszące się miarowo światelko. Kiedy podjechali bliżej, okazało się, że to pan Mic Konwicki wyszedł im na spotkanie.

Bez słowa wszedł do bryczki i postawił zapalony fanar w nogach.

– Papo, przepraszam – pochyliła się i pocałowała jego ciepłą, suchą rękę. – Mieliśmy różne przygody.

Konstanty odwrócił się na koźle i wątłe światło fanara zamajaczyło na jego twarzy.

– Chłopiec zgubił się w lesie. Trzeba było odwozić do majątku.

On z Piłsudskich, tych, co tą maszynę na parę aż z Warszawy sprowadzili.

Pan Michał pokiwał głową. Siedział sztywno, jak zawsze wyprostowany i słuchał lasu.

– A u mamy wszystko dobrze? – spytała cicho Helena.

Znowu w milczeniu skinął głową.

– Cały dzień nie jadłeś? Podniósł brwi.

– Jak tylko przyjedziemy, zaraz coś zrobię do przekąszenia. Jechali długą chwilę, słuchając przesypywania się jeszcze ciepłego piasku w kołach bryczki. Gdzieś już niedaleko naszcze kiwał pies. W tej ciszy zdawało się, że jego głos leci ponad lasami i wodami aż do Ameryki.

Wzięła raptem ojca pod ramię.

– Papo – odezwała się cicho. – Ja chyba pójdę za pana Platera.

8

Pan Michał Konwicki przestał mówić pewnego dnia po upadku powstania. Rzekł raptem przy kolacji: nie ma o czym więcej gadać. Przemówię, jak ojczyzna będzie wolna. I rzeczywiście od tej pory nie powiedział słowa, ale to właściwie nieprawda, bo od czasu do czasu, przy ważniejszych okolicznościach życiowych, musiał się jednak odezwać. Lecz tak na co dzień, w zwykłej codzienności, milczał zawzięcie i to postanowienie przeszło w nałóg. Później zjawily się inne jeszcze narowy, jak na przykład posty, których dochowywał podczas wielu różnych dni w ciągu roku, a szczególnie suszył – jak to się mówiło w tamtych stronach – tego dnia w połowie sierpnia, kiedy nieoczekiwanie zmarła pani Maria, wydając na świat Helenę.

Dlaczego ją pochowano w lesie po drodze do Daugiel, tego już nikt nie pamiętał, a pytać pana Michała nikt się nie ośmielał, respektując jego dziwactwa. I ja też nie znam powodów takiej niezwyklej decyzji, decyzji i woli chyba jednak pani Marii, tak jak nie wiem nic i nigdy nie będę nic wiedział o jej pochodzeniu, życiu, charakterze. Skądś pojawiła się pewnego dnia w Miłowidach, pożyła tam niedługo i umarła, pozostawiając niemowlę osieroconemu i zrozpaczonemu mężowi.

Jak wyglądał pan Michał i czy ważny jest jego wygląd. Lecz gdy natężam wszystkie swoje wewnętrzne siły, zaczynam dostrzegać w burym mroku niezbyt wysoką, silną postać szlachciury litewskiego o niedużej siwawej głowie z orlim nosem, krzaczastymi brwiami i podkreślonym wąsem. Widzę pod tymi brwiami sinawe, wyblakłe oczy patrzące beznamiętnie, a właściwie z jakąś chłodną surowością na ten świat jemu współczesny, świat o krok od dwudziestego wieku który miał dać ludziom loty w kosmos i piece krematoryjne.

Właśnie pani Helena wracała z folwarku, otrzepując po drodze starą suknię z miękiny i grubego kurzu, kiedy z sadu za dworem wybiegła Emilka.

– Panienko, jakiś człowiek przyszedł i czeka.

– A kto on?

– Mówi, że panienska zna jego.

– Gdzie czeka?

– W sieni. Dalej nie puścili, bo wygląd ma lichy.

– Poczekaj, wejdę od kuchni.

Ruszyły spiesznie ścieżką wydeptaną w wysokich dzikich szczawiach i wybujałych bardzo tego roku pokrzywach. Minęły zdziczały sad z rozpadającym się ogrodzeniem, przebiegły skraj starego parku, wpadły do dworu pachnącego starym wapniem i świeżymi ziołami.

Panna Helena szybko przebrała się w lepszą suknię, poprawiła włosy przed tym pałacowym

lustrem pełnym okropnych liszajów jak twarz starego człowieka poznaczona ospą. Potem ruszyła ciekawie w stronę sieni wielkiej i mrocznej, największego pomieszczenia tego cudzego dworu.

On stał na tle rozwartych szeroko drzwi i Helena nie mogła rozpoznać jego rysów skrytych w głębokim cieniu. Ale on skłonił się jak wtedy z dziwną niedbałością i Helenę ogarnęło raptowne zniecierpliwienie.

– Słucham. O co chodzi?

– Dzień dobry panience – uklonił się jeszcze raz, zamiótł nogą w buty, który wyglądał jak wojskowy. – Proszę wybaczyć śmiałość. – Czego chcesz? Robotników już nie potrzebujemy, bo kończą się żniwa.

Na tle rozjaśnionego podwórza jego głowa płonęła żółtym, zimnym światłem. Nie widziała jego twarzy, ale gotowa była przysięgnąć, że uśmiechnął się beczelnie.

– Chciałem prosić jaśnie panienkę, żeby nauczyła mnie pisać i czytać. Może dostałbym robotę w akcyzie niemenczyńskiej.

– ja uczę wiejskie dzieci. Kto ciebie tu przysłał?

– Nikt nie przysłał, proszę łaski wielmożnej panienki, tylko dobrzy ludzie doradzili.

– A cóż ty jesteś taki uniżony?

– Ludziom wyższym trzeba okazywać szacunek.

Cały czas męczyło ją podejrzenie, że ten młokos odrobinę z niej drwi. Zawahała się chwilę.

– Chodź, wejdz do pokoju.

Postąpił za nią i znaleźli się w niskim saloniku o wybrzuszonym suficie, podtrzymywanym przez spękane modrzewiowe belki, pełne czarnych sęków. Stała tu kanapa skryta pod pokrowcem ze zgrzebnego płótna i krzesła tak samo zabezpieczone troskliwie.

– Zupełnie jak te nauszniki końskie – powiedział wesoło do siebie.

Ale ona nie zapytała, co mówi. Widać było, że obawiała się niewczesnej poufałości tego rudzielca w wypłowiałej czapce, jakie kiedyś nosili młodzi powstańcy wywodzący się z ubogich zaścianków. Wielkie prostokątne łaty gorącego słońca leżały na wywoskowanej podłodze.

– Straszny upał, okropna duchota. A może ja przeszkadzam? Przyjdę kiedy indziej, choć to kawał drogi – odezwał się znowu tym samym tonem niby grzecznym, ale jakoś dziwnie lekkim, tak irytującym Helenę.

– A jak ty się nazywasz?

– Eliasz.

– Eliasz? Cóż to za dziwne imię.

– Chciałem nazywać się Tadeusz, ale rodzice dali inaczej. Wtedy za oknem rozległy się jakieś głosy i nierówne stapania kopyt końskich. Helena spojrzała w szybę, przemknęło jej przez głowę, że szyby w pajęczynie, dawno nie myte i spostrzegła przed gankiem dwa konie, a z tego lepszego, o białych pęcinach, Konstany z Ildefonsem zdejmowali pana Aleksandra

Broel-Platera, który krzywił się i chyba jęczał cicho. Panna Helena rzuciła się do sieni, a stamtąd na ganek, pełen bzykotu pszczół, które obsiadły zapomnianą cukiernicę porąbanym drobno niebieskawym cukrem.

– Co się stało? – krzyknęła.

Ale oni już w milczeniu nieśli po niskich schodkach pana Aleksandra na ganek. On chciał się uklonić, lecz tylko syknął z bólu.

– Ostrożnie, nie ruszaj, Udek, nogi.

– A żesz i nie ruszam.

Panna Helena zakręciła się po ganeczku.

– Prosimy dalej. Może najlepiej do saloniku. Tylko co się stało na miłość boską?

– A nic, nic. Drobiazg – stęknął przez zaciśnięte pobielające usta pan Aleksander.

– Ładny drobiazg – odezwał się ponuro strzelec. – Dwa razy zemdłał po drodze.

– Co ty pleciesz, łajdaku. Uważajcie tylko w drzwiach! – zawołał Plater, kiedy zanurzali się w duszny mrok sieni.

Wnieśli go do salonu i położyli na tej otomanie w zgrzebnym pokrowcu. Pan Aleksander otarł pot z czoła.

– Chyba złamałem nogę – powiedział uśmiechając się z wysiłkiem.

Wtedy znalazł się nie wiadomo skąd ten rudzielec. Podszedł do kanapki i podniósł prawą nogę chorego do góry.

– Uważaj, łajdaku! – krzyknął Plater.

Ale ten, nie zważając na protesty hrabiego, przysunął krzesło i ułożył na niej nogę, już podpuchniętą, w drogim chromowy bucie.

– Zaraz będzie mniej boleć. Plater westchnął i zarazem odetchnął.

– Rzeczywiście mniej boli.

– Może podać wody, hrabio? – spytała Helena.

– Woda później. Teraz poproszę nóż – wtrącił się kategorycznie ten rudy Eliaz.

– A na cóż tu nóż? – odezwał się strzelec.

– Nie pytaj, tylko dawaj – rozkazał Eliaz.

– Więcej poufałości niż znajomości – burknął strzelec, ale odpiął od pasa kordelasik i podał skwapliwie.

Eliaz energicznym ruchem rozpruł cholewę buta.

– Matko Boska Ostrobramska! – jęknął Konstanty. – Zdurniawszy czy co?

Rudzielec ściągnął skarpetkę, mruknawszy z uznaniem: – oho, angielska – i zaczął delikatnie obmacywać stopę oraz okolice kostki. Plater syczał i pojękiwał, ale nie bronił się przed tym badaniem samozwańczego lekarza.

– Proszę dać miednicę zimnej wody, płócienne bandaże i dwie nieduże deseczki –

zakomenderował Eliasza. Emilka, która pojawiła się na progu, skoczyła w ciemność sieni, ruszył za nią i Konstanty.

– Bandaże są w tym alkierzyku, wiesz gdzie, Emilka!

– Wiem, wiem – odkrzyknięto z głębi domu. – Jeszcze od tamtych czasów leżą w skrzyni.

A wszyscy obecni wiedzieli, o jakich czasach myśli Emilka. I w tym momencie rozległ się turkot bryczki. To pan Michał Konwicki wracał z pola na drugie śniadanie. Był w płaszczu płóciennym, który chronił od sierpniowego kurzu, co podnosił się z puściejących pól. Szedł zmęczonym krokiem w stronę ganku.

– A co się naprawdę stało? – zapytała szeptem panna Helena, bo i w saloniku nie wiadomo czemu zrobiło się raptem cicho. Tylko muchy brzęczały sennie pod sufitem, zapowiadając burzę, która nie mogła jakoś nadejść z północy.

Pan Aleksander odetchnął jeszcze głębiej. Słaby rumieniec powracał wolno na jego policzki.

– Koń poniósł, panno Heleno. Spłoszył się leśnego zwierzęcia. Może jelenia, a może dzika. No i zrzucił na pasiece. Trzeba trafu, że wleciałem w dół po karczu sosnowym. No i noga z miejsca jak kłoda, ani podnieść, ani ruszyć z miejsca.

Strzelec Ildelfons chrząknął niechętnie.

– Jaki tam zwierz. Po prawdzie powiedziawszy to ten Schickel-gruber, żeby go piorun wreszcie trzasnął. Wyleciał goły z rojstów i konia przestraszył, no i nie dojechaliśmy do naszych kaczuszek.

– Niech go nie słucha dobrodziejka – rzekł weselej pan Plater – – Jaki tam Schickelgruber. Ja w ogóle w niego nie wierzę. To płochliwe bydlę ten Ozyrys. Już kiedyś poniósł masztalerza. Omal go nie zabił, bo trafił na gęsty sośniak.

– A ja mówię, panie hrabio, że on był goły. Wyleciał z rojstów buchnął ogniem z pyska i zaraz przepadł – jeszcze raz powtórzył z uporem strzelec.

Z głębi domu biegła coś wołając Emilka, Konstanty już postukiwał złocistymi deseczkami, a oni spostrzegli, że w progu stoi pan Michał.

– Dzień dobry, sąsiedzie – odezwał się trochę obolałym głosem Plater. – Przepraszam za najście, ale spotkała mnie zła przygoda. Koń zrzucił spłoszony przez zwierza.

– Przez gołego diabła – burknął uparty strzelec.

Pan Michał skinął głową i postąpił parę kroków w stronę okaleczonego, bo już Emilka klękała z miednicą i taśmami płótna u nóg Platera.

– Zostaw – rzekł zdecydowanie Eliasza i zabrał się do roboty. A oni patrzyli z podziwem, jak namoczył bandaże w lodowatej wodzie, jak spowijał nimi chorą nogę, jak usztywnił potem deszczułkami.

– To nic groźnego, panie hrabio – powiedział w końcu wycierając mokre dłonie w hrabiowskie spodnie a la Gallifet, które zaczynały wchodzić w modę. – Zerwana torebka

stawowa. Trzy tygodnie trzeba poleżeć. I najważniejsze, trzymać wysoko nogę Najlepiej na poduszce.

– A skąd ty to wiesz? – zapytał już normalnym głosem Plater, któremu ten zimny kompres przyniósł wyraźną ulgę.

– Ja wszystko wiem.

– A jak się nazywasz?

– Szyra.

– Szyra. A nie mieliście młyna pod Wornianami?

– Nie mieliśmy.

– A to może i lepiej – uśmiechnął się pan Aleksander. – Przyjdź do mnie do Wołoków, to cię wynagrodzę.

– Dzięki, jaśnie panie.

Helenie wydało się, że znowu słyszy ten nieprzyjemny ton w głosie rudzielca, ton jakiejś niepojętej wyższości.

– To wszystko dobrze, ale należy sprowadzić chirurga z Wilna. My na razie służymy gościna, prawda, papo?

Ojciec kiwnął w milczeniu głową, a pan Plater roześmiał się jeszcze weselej.

– I za radę, i za gościnę dziękuję z wdzięcznością. Ty, Ildefons, skocz do Wołoków i powiedz ochmistrzowi, co się stało.

– Ale ja wrócę – rzekł z pogrózką strzelec.

– Znajdzie się miejsce na sianie. U nas wszyscy śpią na sianie.

Tak lubią. Ale proszę się nie bać. Pan, sąsiedzie, dostanie łóżko.

– Ach, może waszmościanki? – zaśmiał się Plater, lecz od razu też krzyknął boleśnie, bo Eliasz zaczął poprawiać łupki na jego nodze.

Stała tak i patrzyła na niego myśląc, co to znaczy, co to wszystko znaczy. Jakiś niepokój rósł powoli w piersiach, w gardle, we włosach. Znad stawów przykrytych zielonym aksamitem rzęsy nadchodziła niespiesznie sarna Malwinka. Wąchała po drodze jakieś zioła, szczypała listki z krzaków, demonstrując wszystkim, że na tym folwarku ona jest panią. Strasznie duszno, musi być w końcu burza, pomyślała z rozpaczą Helena.

On stał niedbale przed nią, jak zwykle pod słońce, i to było dziwne, że zawsze instynktownie skrywał twarz. Ale włosy płonęły na jego głowie jak chrust i coś w oczach, jakiś rodzaj przenikliwości lub niespokojnej inteligencji, błyskało gwałtownie i gasło. Jemu też było duszno. Widziała niespokojny puls u nasady opalonej szyi.

– To jak będzie ze mną, pani dziedziczko?

Panna Helena zmieszała się, odczuwając znowu dziwną przykrość, a może po prostu niepokój.

– Ty coś kręcisz, prawda?

– Nie, przyszedłem prosić o łaskę wielmożną panienkę. Chcę nauczyć się pisać i czytać.

– A od kiedy myślałeś zacząć?

– Choćby od jutra.

Patrzyła na niego z wahaniem. Po co ja to wszystko robię, myślała.

– Ja nawet ciebie nie znam, chłopcze.

– Przypomnę się panience. Mnie tu ludzie pamiętają. Nie z własnej woli stąd wyjechałem.

– A kiedy wyjechałeś?

– Pod koniec tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego.

– Aha – przytaknęła machinalnie. Malwinka podeszła do niego od tyłu i zaczęła go bóść przyjacielsko w krzyże. Jakby chciała popchnąć w stronę panny Heleny.

– A kysz, kysz – zamachnęła się na nią młoda dziedziczka.

– Widzi panienka, zwierzę wstawia się za mną – zaświecił, jaskrawo białymi zębami.

Z dworu wyszedł strzelec pana Platera i kiedy ich mijali, panna Helena pomyślała raptem, że ten człowiek jest dziwnie i nienaturalnie urodziwy i tę urodę nosi na sobie jak znoszony łań. Z całkowitą abnegacją i obojętnością. W rozpiętej kurtce podchodził leniwie do koni przywiązanych do żerdki. Kędzierzawą głowę o gęstych brązowych włosach miał odkrytą, spode łba rzucał fiołkowym spojrzeniem, bo kolor jego oczu był naprawdę fiołkowy, intensywny, z jakimś niesamowitym połyskiem, a nie dogołone policzki dodawały mu jeszcze nonszalanckiej elegancji.

Wskoczył lekko na swego konia i dopiero teraz spostrzegli, że spodnie, dość modne,

z pewnością po panu Platerze, że te spodnie niechlujnie rozprute na kolanie.

– Jutro w południe przyślemy powóz po pana – rzekł niedbale salutując szpicrutą.

– A któż tak zdecydował? – spytała z nagłym gniewem panna Helena.

– Ja z panem – i odwrócił nagle konia, kolnął go ostrogami i pomknął starą aleją w stronę bramy, to znaczy w stronę tego miejsca, gdzie kiedyś za lepszych czasów była brama. Koń Platera pobiegł posłusznie za nim jak pies. Wielkie czerwone słońce wisiało nad horyzontem.

– Tak – rzekła cicho Helena. – Co to ja chciałam powiedzieć? Aha, przynieś ze sobą jutro tabliczkę i rysik. Możesz u kogoś pożyczyć?

– Ja wszystko mogę – uśmiechnął się znowu poczciwie.

– No to bywaj.

Uklonił się nisko i poszedł w tę stronę, gdzie zniknął już Ildefons. Krok miał też charakterystyczny, szedł jak człowiek, któremu w życiu przyszło wiele chodzić, i to właśnie chodzić, a nie maszerować. Potem nagle odwrócił się i zaskoczył tym Helene, która ciągle jeszcze stała na tym samym miejscu, w zamyśleniu skrobiąc sarenkę za uchem.

Kiedy wracała na ganek dworu, znowu rozległ się ten natrętny, głęboki, jakby idący ze środka ziemi dźwięk, który budził nie wiadomo czemu raptowny łomot serca. Mam pewnie omamy, pomyślała. To z gorąca. A burze przeszły bokiem. Wszystko przeszło bokiem. Przystanąła na moment między kolumnkami. Nie wolno tak mówić. To grzech. Ale wobec kogo grzech.

– Papo, można wejść do pana Aleksandra? – spytała ojca, który z różańcem w ręku siedział pod baldachimem winorośli. Skądś już szły zapachy kwiatów, a może dojrzewających dzikich jabłek.

Ojciec skinął głową. Bocian nadlatywał od strony stawów, zachybotał skrzydłami nad gazonem, jakby witając domowników, i osiadł w swoim gnieździe na dachu.

Helena westchnęła i weszła do domu. W saloniku na otomanie leżał przykryty derką mimo gorąca pan Aleksander.

– Miałem dreszcze – powiedział. – To z emocji.

– Ja to miałam wczoraj. Takie dni jak przed końcem świata.

– Dlaczego przed końcem świata? – spytał otwierając kopertę zegarka.

– Taki dziwny rok. Od początku nienormalny.

– Od pewnego czasu każdy rok jest dziwny. Czy może pani spocząć? Proszę tu, koło mnie, jeśli to pani nie krępuje.

Siadła na krzeselku koło wezglowia otomany, to znaczy tam, gdzie spoczywał półleżąc Plater. Noga jak szara kukła z konopi drzemała na poduszce.

– To znak Boży ta moja przygoda – rzekł cicho.

– Dlaczego pan tak mówi? – zarumieniła się raptem Helena.

On nagle położył rękę na jej dłoni. Chciała wyrwać, ale przytrzymał delikatnymi, miękkimi palcami. Tamten wczoraj chwycił jak sobaka kość, pomyślała.

– Panno Heleno, przepraszam, że powtórzę. Nie jesteśmy już pierwszej młodości, i chwała Bogu. Czas wariacji za nami. Proponuję pani wiele spokojnych, pogodnych dni. Przynajmniej ja zrobię wszystko, żeby pani była szczęśliwa. Milczał chwilę, a potem dodał:

– Jeśli w ogóle można być szczęśliwym.

I cofnął swoją rękę, żeby zatrzaskać wieczko zegarka. Wróble wrzeszczały pod okapem dachu, a tu w saloniku jakiś obudzony komar monotonicznie brzęczał, nie wiadomo w jakim kącie. Czasem strzeliła sucho stygnąca podłoga.

– Tak. I ja chcę spokoju. Taka czuję się zmęczona.

A w duchu pomyślała, co mnie zmęczyło, dlaczego brakuje mi ochoty do życia, co to wszystko znaczy, dokąd to prowadzi. Ja siedzę i plotę. A tu następny rok niepotrzebnego życia. Plater przymknął powieki. Lewy policzek pod okiem drgał ledwo dostrzegalnie.

– Tyle panu zawdzięczamy. Gdyby nie pana pomoc w momencie konfiskaty naszych Miłowid...

– Ach, nie wspominajmy tego, co było i minęło – powiedział cicho Plater. – Ja się czuję winny. Może powinienem był wcześniej poprosić panią o rękę. Ale czasy były niespokojne i po świecie jeździłem nie wiadomo po co, i w ogóle nie wiedziałem, co ze sobą zrobić.

Gdzieś daleko porykiwały krowy wracające z pastwisk. Za stawami narastał gwar ptactwa, jakiś wysoki metaliczny klangor, bo tam zbierały się co wieczór wielkie stada sejmujące przed odlotem na południe.

– Więc jak będzie, droga panno Heleno? Czy mogę liczyć na pani zgodę?

Pochyliła głowę, zbierając rozpierzchnięte myśli.

– Przepraszam, że nie używam pięknych słów – szepnęła cicho pan Aleksander. – Ale obawiam się, że zabrzmiałoby to sztucznie. Pani chyba wyczuwa moją szczerą i najlepsze intencje?

W milczeniu kiwnęła głową nie podnosząc oczu.

– Dziękuję, moja droga narzeczono.

I wydało się jej, że słyszy w jego głosie szczerą wzruszenie, więc zerwała się z krzesła, pobiegła w stronę kuchni, ale zatrzymał ją turkot kół i jakieś głosy na podjeździe. Wyjrzała zatem na ganek. Między kolumnkami stał milcząc pan Michał, a za nim widać było siedzących w powoziku pana Korsakowa i isprawnika.

– Przepraszam za najazd – odezwał się pan Korsakow z silnym rosyjskim akcentem. – Ale zaschło w gardłach i ośmieliliśmy się zajechać z panem Dżugaszwilim do sąsiada. Może znajdzie się troszeczka zimnego mleka. Niech będzie nawet kwaśne, byle tylko zimne.

Siedzieli w bogatym powoziku, przykryci skórzanym fartuchem chroniącym przed pyłem.

Nikt ich nie zapraszał na ganek, więc w tym eleganckim pojeździe zaczęli się częstować papierosami.

– Emilka, przynieś dzbanek mleka i szklanki – zawołała panna Helena. Ojciec stał obok i bez słowa przebierał palcami ziarnka różańca.

– Szumny dzień – rzekł ze sztucznym ożywieniem Korsakow. – Mówią, że pan Plater nogę zwichnął, a tu panu Dżugaszwilemu kałamaszka złamała się na wybojach i mnie przychodzi odwiedzić go do domu, bo z władzą policyjną trzeba żyć w zgodzie.

I zaśmiał się hałaśliwie, ale nikt nie podjął jego wesołości. Isprawnik spoglądał posepnie na mieszkańców dworu w Bohini, ważąc coś w duchu.

Szczęściem nadbiegła Emilka i zaczęła częstować mlekiem najpierw gości, a potem pana Michała i Helenę.

– Ot, co za mleko – rozkoszował się trochę sztucznie Korsakow. – Tylko na Litwie tak smakuje. A ja tak dumam czasem, panie Michale, dlaczego pan nie wpadnie kiedy do Miłowidów na karty.

Zrobił pauzę i przypatrywał się natrętnie domownikom.

– No, bo ja przecież niewinny. Kupiłem majątek, nie widząc go na oczy.

Dostałeś w prezencie, łajdaku, pomyślała Helena. Ale na głos rzekła uprzejmie:

– Ojciec nie gra w karty. Od śmierci mamy nie bywa, a tym bardziej unika hazardu.

– A jakież to hazard? Na kopiejki gramy, ot, żeby była jakaś zachęta. Ale ludzie mnie mówili, że pan Michał bywa tylko u zaufanych, u swoich.

I zaśmiał się jakoś nieprzyjemnie.

– Ja przepraszam kochanych sąsiadów, czasem lubię pożartować. Ach, jakie mleko, prosto małmazja. Cóż, podziękuję i pojedziem dalej.

Isprawnik ściągnął jednak lejce.

– Przy sposobności chcę prosić – rzekł przykrym chrapliwym głosem po rosyjsku – korzystając z okazji upraszam państwa, żeby dawali baczenie na obcych. W naszej guberni mogą być niepokoje. Od nas tylko zależy, jak potoczą się sprawy.

Patrzyli bez ruchu na jego szarą, jakby zakurzoną twarz, pełną dziobów po ospie.

– Rozumiecie państwo, o co prosi pan Dżugaszwili? – spytał Korsakow i na wszelki wypadek przetłumaczył: – Prosi, żeby zwracać uwagę na nieznajomych, przejezdnych i podejrzanych.

Potem odjeżdżali pod słońce, w krwawej łunie, a moja babka Helena stała na banalnym ganku banalnego dworku, uwikłana w banalne sytuacje i okoliczności, w te zwykłe wydarzenia i konflikty w owe pospolite dni i noce, co były banalnym życiem owych czasów tyle razy aż do znudzenia opowiadany, opisywany, malowany.

Po drugiej stronie rzeki czerwieniły się wysokie sosny zwieńczone ciemnozielonymi wiechciami koron. Te majestatyczne drzewa stały dziś nieruchomo, jakby zbierając myśli przed jakimś szaleńczym postępkim. I w powietrzu było szaleństwo, w zastygłym, popielatym, nabrzmiałym skwarem. Tylko jastrząb poruszał się wolno w tej powszechnej nieruchomości. Zataczał wielkie koła nad skrajem starego lasu i pokornej, cichej rzeki.

Jak daleko sięgam pamięcią ja, a także moi poprzednicy, Wilia zawsze była schludną rzeką. Nigdy nie płynęły w jej nurcie topiele albo zabłąkane zwierzęta, nie niosła ona nigdy plam krwi ani zwłoki poległych powstańców czy kozaków. Tylko czasem na wiosnę zmaciła na krótko swoją toń powodziową falą i przez kilka dni spęczniała, wzdęta, okryta pianą niosła wodę mulistą, mętną, pełną kory, traw i połamanych gałęzi jak rzeka południowoamerykańska. Przez resztę roku, a szczególnie latem, a specjalnie pod koniec lata stawała się po wierzchu szarobłękitna, a u spodu ciemnozielona jak stare szkło. I przejrzysta była niczym szkło. Można było w niej podziwiać lilipucie lasy, zagajniki i zacienione aleje wodorostów. Można było przyglądać się rytmicznym wydmom złocistego piasku na dnie i rzadkim, tajemniczym kamieniom obczepionym muszelkami. Ludzie mówili, że przed laty w tym miejscu, gdzie wpadała do Wilii rzeczka Uzła, że tu, w tej jaśniejszej toni znalazł grób powstańczy tabor ze skarbem Rządu Narodowego. Wielu chłopców tam nurkowało i nikt nigdy niczego nie znalazł. Kiedyś tylko jakiś włóczęga wydobył srebrzystą podkowę i razem z tą podkową przepadł na amen.

Panna Helena dawała się unosić powolnemu prądowi. Płynęła na wznak, a właściwie leżała na wznak na tej aksamitno-zielonej wodzie, poruszając leciutko dłońmi, prąd ją niemocno obracał, a ona przyglądała się melancholijnie swojemu ciału okrytemu cieniutką i przejrzystą tkaniną rzecznej wody. Zawsze jak wszystkie dziewczęta i kobiety kąpała się w koszuli, ale dzisiejszego poranka nie wiedzieć czemu rozebrała się do naga i tak bezwstydnie weszła do rzeki, choć ktoś mógł ją podglądać z drugiego brzegu, z tego brzegu, którego panna Helena bała się od dziecka i nigdy na nim nie była, choć leżał nie dalej niż sto metrów.

Patrzyła w niebo szare, gęste, z wypłowiałym słońcem, zwiastujące uparcie burzę, która nie mogła trafić nad te lasy nieskończone i nad tę rzekę przedzierającą się cichcem przez leśne ostępy w stronę Wilna.

– A może dać się ponieść wodzie – szepnęła sama do siebie. Przestała poruszać dłońmi, stopy zaczęły opadać w kierunku mrocznego dna, jakiś niedostrzegalny wir obrócił ją łagodnie wokół osi. Zobaczyła przez moment swój brzeg, dużo wyższy, porośnięty krzakami i zielskiem, i pasącą się spokojnie Malwinę, która od czasu do czasu podnosiła łeb i patrzyła na rzekę.

Czy ja będę wolna, pomyślała panna Helena. Ale czy ja dotychczas byłam wolna. Na czym polega wolność zwykłego człowieka. Jaka jest ta moja niepodległość. Trzeba pracować. I ufać Bogu. A mego ciała nikt jeszcze nigdy nie widział, przyszło jej raptem do głowy. Chciała się przeżegnać ze zgrozy, ale tylko się napiła chłodnej, gorzkawej wody.

Potem wracała okrężną drogą, żeby zobaczyć folwarczne pola. Baby już żęły kiepski, rzadki owies wyłożony tu i ówdzie przez lipcowe deszcze albo przez dzikie zwierzęta. Ich płaczliwy, przeciągły śpiew podnosił się i opadał, zacichając na długą chwilę.

Wtedy zobaczyła nadjeżdżającą bez pośpiechu kałamaszkę z drzemiącym księdzem Siemaszką. Kościelny na widok panny Heleny zatrzymał konia. Ksiądz z komżą zwiniętą na kolanach gibnął się raptownie i obudził, mrugając oczami.

– A skąd to Bóg prowadzi? – spytała.

– Od umierającego. Daleką miałem drogę, dziecino. Całą noc kręcimy się tam i nazad.

– Może ksiądz zajedzie do nas na śniadanie?

– Nie odmówiłbym kiedy indziej. Ale dziś nie mogę. Trzeba wracać. Tyle godzin w drodze.

Kościelny cmoknął na konia, spasionego i leniwego. Wałach ruszył niechętnie, pochrapując z nisko zwieszoną głową. Helena poszła z nimi, chwyciwszy się zrolowanej budy kałamaszki.

– Patrzaj, jak już słońce wysoko – zdziwił się proboszcz. A mnie całą noc dręczyły zmy.

– Pewnie z głodu.

– Nie. To taki czas na mnie przychodzi. Bo ja też, dziecko, Żydami rok kończę i nowy zaczynam. Ja we wrześniu swoje rachunki podliczam.

– Ja bym też porachowała, tylko nie mam co – westchnęła Helena.

– Może i lepiej nie mieć.

– A cóż ksiądz, taka święta osoba...

– Szto ty breszysz – jęknął i chciał się przeżegnać, ale zrezygnował czemuś i zwiesił głowę.

Znowu smagnęła ją w oczy ta biel jak nagła błyskawica. Co to się ze mną dzieje, pomyślała. Co to się dzieje z nami wszystkimi.

Szła przy tej księżej kałamaszce i na coś czekała. Ale proboszcz zamyślił się znowu, skrył oczy pod ciemnymi powiekami. Zapomniał po nocy zdjąć okulary w drucianej oprawie. Używał ich pewnie czytając modlitwy za konających. Teraz srebrzyły się na czole okrutnie pofałdowanym.

Baby w owsie prostowały krzyże, patrzyły chciwie na księdza. Będzie temat do rozmów na cały dzień. Dokąd to jeździł dobrodziej, kogo wyprawiał na tamten świat. Osłaniając dłońmi oczy stały tak pośrodku pola i chłonęły sensacyjne wydarzenie.

– To ja już zostanę, proszę księdza – rzekła Helena, puszczając brzeg kałamaszki.

Ksiądz odjechał już dobry kawałek drogi, kiedy raptem ocknął się i zatrzymał pojazd.

– Chodź tu, dziecko, chodź! – zawołał.

Helena podbiegła, grzęznąc w gorącym piachu, który dostawał się do prunelowych pantofelków.

– Ksiądz chciał coś powiedzieć? – spytała.

On przyglądał się, jakby ją pierwszy raz w życiu widział.

– Ty wierzysz w Boga?

– Jak wszyscy – odparła zmieszana. – Ale przecież ksiądz chciał co innego powiedzieć.

Dopiero teraz spostrzegł się, że ma na czole niepotrzebne okulary. Zdjął je, złożył starannie i schował do kieszeni wyświeconej sutanny.

– To nie ta pora – westchnął. – Ot, jaka duchota. A kłaniaj się ode mnie panu Michałowi.

Kościelny cmoknął na konia i potoczyli się w skąpych kłębach kurzu w stronę lasu. Dopiero co wyprawili człowieka na tamten świat, pomyślała. Straszny obowiązek.

I z jakąś dziwną energią ruszyła do dworu, co majaczył między starymi drzewami. A wśród tych drzew stał wysoki, smukły modrzew, co zaczynał już od dołu żółknąć, zwiastując zbliżającą się jesień. Bocian, zwany przez fernali Maciejem, zataczał z namysłem koła nad dachem dworu, gdzie było jego gniazdo.

Na przegniłej, zielonej od pleśni ławeczce na skraju dawnego parku siedział ojciec, wspierając się na dubeltówce, której od dawna nie użył. Zadowalał się tropieniem zwierzyny i obserwowaniem jej dzikiego życia. Teraz dyszał ciężko, patrzył zmrużonymi oczami na pola Bohini wysuszone do cna przez sierpniowe słońce.

Panna Helena zatrzymała się koło pnia starego klonu.

– Ksiądz wracał od umierającego – powiedziała.

Ojciec skinął głową. Spoglądali teraz oboje na te zszarzałe pola, na których nic nie było.

– Papo, ja pójdę za pana Aleksandra.

Nie patrząc na nią skinął głową, że rozumie.

– Jesteś zadowolony?

Pstryknął bezpiecznikiem fuzji i rozłożył ręce. Zza krzaka ukazała się Malwinka. Stała nie opodal i spoglądała mądrym, rozumnym wzrokiem na ludzi.

Panna Helena westchnęła, ruszyła w kierunku dworu zapadającego się w krzaki bzu, w kępy zdziczałych kwiatów i w wielkie jak drzewa pokrzywy. Nagle jej się zdało, że już kiedyś, jakby na tamtym świecie, szła tak pomiędzy drzewami wśród gorących woni kończącego się lata ku jakiemuś straszному przeznaczeniu. I zabiło jej raptem serce, i zaczęła uspokajać siebie szeptem.

Już nic. Już wszystko minęło. Już zostało daleko za mną. A przede mną obowiązek. Ale wobec kogo i wobec czego obowiązek. Wszyscy mamy obowiązki. Matka miała, ojciec miał i ma, Piotruś też miał obowiązek i spełnił go. Przyjdzie straszna burza, jakiej świat nie widział.

Potem ogarnęła się trochę, weszła do saloniku. Pan Aleksander siedział na otomanie

w rozpiętej kurtce i z odrzuconą na oparcie głową rozmyślał lub może drzemał przymknawszy powieki. Podłoga skrzypnęła pod jej stopą, on przebudził się i zawstydzony, jął spieszenie zapinać kurtkę na piersiach. Noga jak szary bałwan leżała wygodnie na krześle.

– Proszę spać, sen to najlepszy lekarz – powiedziała. On uśmiechnął się i popatrzył na nią z uwagą.

– Myślałem sobie, żeby skrócić czas, bo konie przyjdą po mnie jeszcze przed południem.

– Może pan zostać u nas choćby cały tydzień.

– Dziękuję najuprzejmiej, ale czekają na mnie obowiązki.

On ma też obowiązki, pomyślała. Jakież on ładny, z tą siwizną na skroniach, może nawet ładniejszy niż dawniej. Tak, z wiekiem przystojnieje ten człowiek, ten obcy, dziwny człowiek. Boże, co ja plotę. Przecież to mój narzeczony.

– Myślę o nas, panno Heleno – zaczął szukać po kieszeniach papierośnicy.

– To dobrze czy źle?

Ale on nie zwrócił uwagi na jej pytanie. Zaciągnął się papierosem i długo wypuszczał z tych czerwonych i miękkich ust strugi siniego dymu.

– Myślałem, że matka dożyje, ale nie dożyła.

Trzeba się było pośpieszyć, chciała powiedzieć, ale nie powiedziała. Przecież on będzie moim mężem. I nagły strach ściął ją raptownym chłodem. Zatrzymała się w pół kroku.

– Wie pani, ja bardzo kochałem moją matkę. Dla niej zdobyłem się na wiele wyrzeczeń. Tyranizowała mnie przez całe życie. Bezradna, przykuta do łóżka kobieta.

– A może pan żałuje swojej wczorajszej oferty? – spytała raptem.

– Panno Heleno, na miłość Boską, co pani mówi – rzucił się na otomanie Plater. Dopiero teraz spostrzegła, że brzegi tego mebla są ozdobione wyrzeźbionymi w czarnym drzewie liśćmi dębu i żółędziami. Uśmiechnęła się łagodnie.

– Przepraszam, jeśli pana uraziłam. Ale chyba powinniśmy być ze sobą szczerzy.

– I będziemy na pewno zawsze ze sobą otwarci, jaka szkoda, że nie mogę wstać i ucałować pani rączki.

– A jak się pan czuje? Jak przeszła noc?

Pan Aleksander ożywił się, zgasił papierosa w kamiennej popielniczce.

– Z początku rwało w nodze, ale później się uspokoiło. Nawet trochę spałem nad ranem. Śniło mi się, że panią widzę wchodzącą do pokoju.

– A bo i rzeczywiście zajrzałam do pana po wschodzie słońca. On zaśmiał się raptem, spojrzął na nią wesoło.

– Sam nie wiem, co mówić. Nigdy nie byłem jeszcze narzeczonym.

Odwróciła się zarumieniona.

– I ja nie mam wielkiej praktyki.

- Panno Heleno, na pewno będzie dobrze. Nie trzeba zważać na to, co ludzie mówią.
 - A co ludzie mówią?
 - Co ludzie mówią o mnie.
 - Ja nic nie słyszałam.
 - I proszę nie słuchać. Przyrzeka pani?
- Popatrzyła gdzieś w bok, na ścianę z jakimś okropnym zaciekiem.
- Przyrzekam.
 - No to teraz z łżejszym sercem mogę jechać dawać na zapowiedzi.
 - Może poczekajmy do jesieni?
 - Jesień już blisko. To ostatni skwar. Przyjdzie straszna burza i za nią już będzie jesień.
 - Po co się spieszyć?
 - Jesień nadchodzi. Pani i moja. Nasza jesień.

Widziała, że nadrabia miną, że sili się na wesołość. I raptem ogarnął ją strach. Co to znaczy miłość małżeńska. Co to jest znaleźć się z kimś aż do końca życia w jednym łóżku. Ale on też się boi. Bez przyczyny podbiegła do okna, za którym był duszny, nieruchomy dzień, taki sam jak wczoraj. Z Piotrusiem całowali się wszystkiego trzy razy i on poprosił o rękę. Potem zginął. Właściwie nie całowali się a uczyli się całować. Ona uciekała przed nim, on ją ścigał. Tak nakazywały dobre obyczaje. O czym ja myślę. Czy do końca życia będę wspominać to, co się nie stało.

Wtedy skrzypnęły drzwi. Pokazała się Emilka. Spojrzała na Platera, zakryła dłońmi zbyt odsłonięte piersi. Widać było, że wybiegła z kuchni, gdzie mimo lata jak co dzień palił się ogień w piecu chlebowym.

- Proszę panienki – rzekła poufnie ściszoneg głosem – przyszedł ten Żydek.
- Helenie zrobiło się jeszcze goręcej. Puściła brzeg muślinowej firanki.
- Jaki Żydek?
 - No ten z Bujwidz.

Już nie wypytywała więcej. Wyszła prędko do sieni, gdzie stał rudy Elias z tabliczką i rysikiem w rękach. Ukłonił się niezbyt gorliwie, i właściwie trochę wyzywająco, choć spoglądał szczerze i wesoło.

- Moje uszanowanie pani dziedzicze.

Zakręciła się z pewnym zażenowaniem. W smugach słońca płynęły z podłogi do góry brunatne pyły jak ziarna traw. Emilka już śpiewała za drzwiami kuchni.

- Pilny jesteś. Nie dałeś mi czasu przygotować się do lekcji – powiedziała, ciągle jeszcze czemuś zmieszana.
- Panienka przecież kazała przyjść rano.
- No tak, ale nie spodziewałam się, że tak od razu. No trudno. On milczał nie przychodząc

jej w sukurs. Znowu zakręciła się bezradnie po sieni.

– Gdzie by tu urządzić lekcję – pytała samą siebie. – Na werandzie nie można, bo papa będzie odpoczywać. W saloniku pan Aleksander. No i gdzież ja ciebie przyjmę?

Eliasz czekał bez słowa. Tylko mu ta ruda głowa płonęła jak żar w palenisku kuźni.

– No, trudno – szepnęła z rezygnacją. – Pójdziemy do mego pokoju.

I poprowadziła go przez sień, przez jakiś korytarzyk zastawiony workami nie wiadomo z czym, do pokoju, który był niepodobny do wszystkich innych. Eliasz rozejrzył się z zaciekawieniem po mrocznym wnętrzu, bo okna wychodziły na drugą stronę dworu, tam gdzie był ten stary, cienisty park.

– Jak tu pięknie – powiedział szczerze. – Wszystko co przyniosła pani do tego pokoju.

Helena znowu zaczerwieniła się trochę i z gniewem jąła przysuwać stare krzeselko do okrągłego stolika z nicianą serwetką, na którym stała wspaniała nowoczesna lampa naftowa.

Rzeczywiście w tym dość obszernym wnętrzu pełno było żywych i uschniętych kwiatów, pęczków ziół, dziwnych kolorowych kamieni, porzuconych książek i zaczepionych do zardzewiałych gwoździ barwnych wstążek, i rozpoczętych i nie dokończonych rysuneków, przylepionych do byle czego obrazków świętych z festynów w Bujwidzach, nieżywych gałązek jarzębiny, a koło łóżka, a na stoliku koło łóżka z resztką jedwabnego baldachimu, a na tym stoliku stało oparte o nikłowy krucyfiks serce z piernika, wielkie serce z lukrowanym napisem: kochaj mnie na zawsze.

Panna Helena podeszła i nie wiadomo czemu obróciła to serce napisem do krucyfiks, choć gość przecież nie umiał nie tylko pisać, ale także czytać.

– Siadaj przy stole – rozkazała.

Odsunął posłusznie wyściełane krzeselko, z którego sterczała trawa morska, i zajął miejsce naprzeciwko lampy. Helena chciała sięść na łóżku, ale wydało jej się to niestosowne, więc podeszła do okna. Ogromne, ale za to lękliwe gawrony z wielkimi popękanyimi dziobami podskakiwały jakby kulejąc na łysej przestrzeni między drzewami.

– Ile ty masz lat? – spytała zaczepnie.

– Dwadzieścia osiem. Pani mnie nie pamięta?

– Nie pamiętam. I jesteś Żydem z Bujwidz?

– Jestem Żydkiem z Bujwidz, jeśli łaska.

– I naprawdę nie umiesz czytać i pisać?

On chwilę przyglądał się jej spod oka. Jego wielkie włosy przygasty w tym ciemnym pokoju i coraz bardziej dogasały. A co mnie ten Żyd obchodzi, pomyślała, rozsuwając na szybie zazdrostkę. Trzeba szyby umyć, zakurzyły się przez ten suchy miesiąc.

– Umieję po żydowsku. A teraz chciałbym po polsku. Dlaczego mnie upatrzyłeś sobie na nauczycielkę?

Bo ja przez wielmożną panienkę do powstania poszedłem.

– Co to znaczy? O czym ty mówisz?

Byłem w partii powstańczej na Białorusi. Aż do końca. Aż do zimy sześćdziesiątego czwartego.

Cśś, cicho. Co ty pleciesz? Kto ciebie tu nasłał?

Proszę się nie bać.

Ty wiesz, co się tu działo przez te lata?

On zamilkł, spuścił głowę i patrzył na podłogę albo na swoje buty nie pasujące do jego żydowskiej kondycji.

– Proszę mi ufać. Może jeszcze udowodnię, że wart jestem zaufania pani – powiedział cicho.

Helena westchnęła, podeszła do stolika. Nie wiadomo po co przestawiła lampę, w której zakołysał się złocisty płyn.

– Jak ci na imię?

– Eliasz. Już mówiłem, ale pani zapomniała. Uśmiechnęła się raptem.

– Ach, tak, prawda. A chciałeś się nazywać Tadeusz. Jak Kościuszko.

– Ja wtedy nic nie wiedziałem o Kościuszcze.

– Jakieś przeczucie mi podpowiada, że nie powinnam ciebie uczyć.

– Tak chciało przeznaczenie. Jeśli ja wróciłem po tylu latach, to znaczy, że trzeba, żeby mnie pani nauczyła czytać i pisać.

– No połóż tę tabliczkę przed sobą. Weź rysik. Nie opieraj łokci na stole. Zaczniemy od litery a.

Ale w tym momencie rozległ się w korytarzyku tupot, bosych nóg i do pokoju wpadła jak kulisty piorun rozczzerwieniona Emilka.

– Pani, pani, trzeba wyjść. Pan hrabia odjeżdża.

Helena ruszyła przez sień pełną zapachu świeżego chleba z nowej mąki na ganek, gdzie już pan Michał zegnał się z Platerem. Hrabia opierał się na kulach, starych i poczerniałych, ale wyłożonych aksamitem, pewnie dziedziczonych po jakichś stryjach albo wujach. Na podjeździe czekał strzelec przy wolanciku, odczyszczonym, szykownym, naprawdę pańskim.

Helena czuła za sobą obecność Eliasza i nie była z tego zadowolona. Ale już nie miała możliwości odprawić młodego Żyda. Zresztą Plater albo udawał, że go nie widzi, albo rzeczywiście go nie dojrzał.

– Panie Michale – rzekł trochę zbyt uroczyście – pozwól, że od tej chwili będę cię traktował jak swego ojca.

Pan Michał skinął głową i trochę zmieszany podkręcił wąsa. Plater pochylił się nad ręką Heleny, ucałował ją ceremonialnie.

-Moja droga panno Heleno. Dziękuję ja z całego serca za gościnę.

– Przecież był pan w swoim własnym domu.

– Teraz to dom pani i pana Michała, zanim Wołoki nie staną się waszym prawdziwym domem.

Eliasz zaczął kaszłać, bo kurz zewsząd pylił i płynął w powietrzu i z wiatrem, i pod wiatr, ale wiatru właściwie nie było, tylko nagrzane powietrze przemieszczało się leniwie w tym zastygłym świetle.

Mimo woli spojrzeli w stronę alejki wysadzonej starymi lipami, która wiodła na gościniec. U jej wylotu stanął jakiś jeździec. Trzymał konia mocno w cuglach, ale ciemny wierzchowiec z białą łatą na piersiach drobił niespokojnie cienkimi nogami.

Plater zmrużył oczy i patrzył chwilę pod światło.

– Isprawnik. Jak zły duch krąży po całym powiecie – odezwał się strzelec Ildefons.

– Ze zwykłego żandarma Murawio-Wieszatela wysadził go na takie stanowisko – dodał Plater. – Węszy jak wyżeł. No, czas w drogę. Dziękuję i żegnam na krótko. Pani pozwoli przesłać choćby raz dziennie liścik?

– Ależ naturalnie – rzekła sztucznie Helena. – Zawsze będzie pan sam mile widzianym gościem.

Michał Konwicki potakiwał w milczeniu głową i trudno było z jego surowej twarzy wyczytać, czy cieszy się, czy martwi. Od strony wozowni nadszedł Konstanty w płóciennym płaszczu chroniącym od kurzu. Zatrzymał się z szacunkiem na brzegu dawno wymarłego gazonu i spoglądał raz na wstrzymującego wierzchowca isprawnika, raz na zebranych przed dworem domowników, żegnających kulejącego hrabiego.

– Do zobaczenia.

– Do miłego.

– Jeszcze raz dziękuję.

– I my dziękujemy.

Pokuśtykał do wolantu, odstawił kule i na samych rękach, odtrącając pomoc strzelca, wciągnął się do wnętrza pojazdu. Ildefons wskoczył za nim, trzasnął na konie pięknym biczem z buraczkowym pomponem.

– Czy on się pani dziedzicznie oświadczył? – usłyszała za sobą niegłośne pytanie Eliasza.

– A cóż to ciebie, Żydku z Bujwidz, obchodzi – warknęła, nie odwracając się i patrząc ciągle jeszcze na zanurzający się w cienie alei elegancki wolancik.

– Duże A wypadło bardzo dobrze. Spróbuj teraz narysować małe. Widzisz, tak jak ja to zrobiłam – podała mu rysik, a on wziął ostrożnie w palce sztyft i przyglądał się uważnie, jakby szukając na nim ciepła jej ręki albo magicznego śladu linii papilarnych.

Podeszła do okna i znowu patrzyła na te czarne drzewa starego parku, powykęcane, na wpół żywe pnie z marną, łysiejącą grzywą zieleni w koronie. Między drzewami widać dalekie pola i wozy pełne zboża płynące w złocistości słonecznego południa. Uświadomiła sobie raptem, że nigdy przedtem nie patrzyła w okno. To znaczy zerknęła czasem bezmyślnie na te małe szybki i rozmazaną zieleń za nimi, ale nigdy nie przyglądała się temu nieznanemu skąpemu życiu w zapomnianym parku.

Ocknęła się raptem, wróciła do stolika z tą piękną lampą sprowadzoną z Wilna. On wyprostował się, odsłonił tabliczkę.

– A cóż tu narysowałeś? – spytała zaskoczona.

– Proszę zobaczyć.

Z czarnego obramowania wyjrzała biała twarz kobieca z włosami ciasno ściągniętymi do tyłu przez niewidoczny kok.

– Kto to ma być?

– O Boże, nie poznała pani? – zmartwił się.

– A to ktoś znajomy?

Zaczął wokół tej kobiecej głowy jak aureolę rysować drobniutkie literki a. Potem westchnął.

– To przecież pani.

– Ja – i prawie odskoczyła od stołu. Jakieś złe przeczucie, może nie złe, ale dziwnie dojmujące, bolesne, zapierające dech w piersiach, jakieś raptowne przeczucie zmroziło ją w tej chwili.

– Nie umiesz pisać i czytać, ale potrafisz rysować?

– Nie umiem czytać i pisać po polsku. A rysować nauczyłem się u litografa w Paryżu.

– Co ty, chłopcze, opowiadasz? Po co tu przyszedłeś do Bohini? Czy ktoś ciebie przysłał? – powiedziała to z jakąś męką w głosie.

On patrzył na nią szeroko otwartymi, bardzo niebieskimi oczami. Ma coś szlachetnego w twarzy, pomyślała rozpaczliwie. Niech sobie idzie i nigdy więcej nie przychodzi.

– Mówiłem już, że przez panią poszedłem do powstania.

– Cóż to znowu za fantazje. Przecież wtedy miałeś ledwo szesnaście lat.

– Tak, miałem szesnaście lat ukończonych. I poszedłem do lasu na pani intencję. Najpierw byłem w partii pułkownika Mineyki, ale zaraz nas rozbili Moskale. Potem służyłem pod panem

Kalinowskim, a na koniec sam założyłem partię.

– Słuchaj, ty jesteś szalony – podbiegła nagle do stołu, ale nie wiedziała, co dalej zrobić. – Ja od razu pomyślałam, że musisz być chory. Kto ci opowiadał o powstaniu?

– Mógłbym się pobożyć, ale i tak mi pani nie uwierzy. Na koniec wróciłem do Puszczy Nalibockiej, gdzie nas, to znaczy oddział pułkownika Borowego, rozbiła przedtem rosyjska piechota, i powyciągałem broń, którą wtedy, po potyczce, schowałem dobrze w wykrotach nad brzegiem rojstów. Zebrałem trochę ludzi, różnych rozbitków, jakichś smolarzy, leśników, zbiegłych chłopów i chodziliśmy aż do przedwiośnia sześćdziesiątego czwartego. Wtedy nas dopadli kozacy i nie było gdzie uciekać. Mnie żołdat przybił sztykiem do zmarzniętej ziemi. Sztyk się złamał, został we mnie i to mnie uratowało. Tkwiące we mnie żelazo zapobiegło wewnętrznemu krwotokowi. A potem, w lecie, pieszo na Sybir. Panowie szlachta jechali podwodami, a ja, Żydek, razem z chłopami na piechotę, choć miałem przecież rangę podoficera.

Gdzieś daleko, może w polu albo w zabudowaniach folwarcznych, jakaś kobieta śpiewała żałośliwie. Mało tu było rzeczy, zdarzeń i ludzi, mało tu było tych wszystkich imponderabiliów losu ludzkiego godnych zastanowienia i utrwalenia w pamięci człowieczej, mało tu było wszystkiego w tym odludziu na północ od Niemna, gdzie zaczynają się lasy i trzęsawiska, które nigdzie się nie kończą, bo nie mają końca. I ja nie mogę ostrzec mojej babki, Heleny Konwickiej, nie jestem w stanie powstrzymać biegu wypadków i nie potrafię zapobiec finałowi, o którym myślę teraz, skryty w strasznym osamotnieniu, nękany lękami starości, dręczony przecuciem, co budzi raptowny dreszcz i pędzi człowieka na oślep w czarną otchłań niewiadomego.

– Słuchaj – powiedziała moja babka, Helena Konwicka. – Idź i nigdy już tu nie przychodź.

– A czemu, wielmożna pani dziedziczko? – spytał Eliasza. – Czy ja powiedziałem coś złego?

– Tak będzie lepiej. Niech cię ksiądz Siemaszko uczy albo ktoś z Bujwidz.

– Przecież pani mnie pytała o powstanie, więc powiedziałem. To wszystko prawda. Wszyscy chłopcy szli do oddziałów, więc i ja poszedłem, żeby pani nie było przykro.

– Nie chwal się przed ludźmi, trzymaj język za zębami. Isprawnik ujeżdża po całym powiecie, szuka obcych, węszy za podejrzanymi. Wracaj do Bujwidz i zapomnij, że tu byłeś.

Patrzył długo na nią i coś w nim z wolna gasło. Włosy straciły blask, twarz jego zszarzała, nawet jakby się trochę skurczył. W głębi domu słyhać było jakieś głosy, zwykle codzienne rozmowy, może w kuchni albo na schodkach ganku. Helena stała zasłonięta plecami, patrzyła ciągle w to odkryte nagle dzisiaj okno, które trzeba koniecznie umyć.

Podniósł się z krzesła z westchnieniem. Zebrał ze stołu tabliczkę i rysik przywiązany sznurkiem do deseczki, wyrównał trochę zmiętą nicianą serwetę. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, zastygł na moment, a potem widać zdecydował się, bo bez słowa ruszył do drzwi.

Helena stała nieporuszona, patrząc w okno i niczego nie widząc. Ale kiedy usłyszała

przeciągły jęk zeschniętych drzwi, odezwała się niegłośnie:

– Zaczekaj.

On zatrzymał się posłusznie na progu.

– Czy ty naprawdę chcesz się nauczyć czytać i pisać?

– Jak Boga kocham, naprawdę.

Ona uśmiechnęła się z jakąś raptowną ulgą.

– Żydowskim przysięgom nie ma co wierzyć.

– A dlaczegóż to, proszę wielmożnej panienki?

– Bo Żydów obowiązuje ich własna moralność i z naszej to się tylko śmieją w kułak.

Teraz on odwrócił się i uśmiechnął jak przedtem.

– Czy ja coś powiedziałam głupiego? – spytała Helena i od razu była na siebie zła za to pytanie.

– Przecież ja się tylko nauczę czytać i pisać, i pójdę w świat, gdzie mnie oczy poniosą.

– A mówiłeś o akcyzie w Niemenczynie.

Znowu się uśmiechnął, i tym razem już chyba bezczelnie. Na jego zwichrzonych włosach ponownie zapaliło się przeźroczyście żółte światło.

– Ach, panienka to pamięta.

Wróciła do stolika, przestawiła bez potrzeby lampę. Dłuższą chwilę namyślała się zmarszczywszy czoło i ściągawszy brwi nad oczami, z których jedno było bardziej niebieskie, a drugie bardziej zielone.

– No dobrze – powiedziała na koniec. – Nauczę ciebie pisać i czytać, bo widzę, że nauka przychodzi ci łatwo. Myślę, że dwa, trzy tygodnie wystarczą. Ale uważaj, bądź ostrożny, bo wszystko możesz zepsuć w jednej chwili.

A w duchu pomyślała, Boże, co ja mówię i po co to mówię. Zrobiło się jej nagle przykro, że mówi mu po imieniu, że w jakiś sposób poniża tego mężczyznę i że on znosi to cierpliwie, i że już nie można zmienić tego układu, i że to będzie się toczyć kulawo do końca, ale do jakiego końca.

– Dziękuję. Rozumiem – powiedział cicho. I to ją rozdrażniło ni z tego, ni z owego.

– Co znowu rozumie? – spytała bezosobowo.

– Ja za każdą cenę będę tu przychodził.

– Słuchaj, ty pewnie wyższą akademię talmudyczną w Mirze ukończyłeś?

Zrobił jakiś nieokreślony ruch ręką.

– Po całym świecie się uczyłem.

– No to już idź, bo mamy dużo pracy.

– A kiedy mogę przyjść? Zawahała się na moment.

– Przychodź jutro, pojutrze. Im szybciej skończymy, tym lepiej. Patrzył na nią bez słowa.

Ona unikała jego spojrzenia. Jakież to wszystko męczące, pomyślała. Jaka ja jestem zmęczona.

Wtedy on nagle odwrócił się i wyszedł, nie zamykając drzwi za sobą. Odczekała długą chwilę i ostrożnie bez pośpiechu wyszła na ganek. Ale po Eliaszu już nie było śladu. Zapadł się pod ziemię.

Stanął przy kolumnie, objęła ją jak kogoś bliskiego, przytuliła policzek do chropawej powierzchni pachnącej starym wapnem. Usłyszała obok chrząknięcie. Pan Michał siedział na drewnianej ławie z kubkiem kwaśnego mleka w ręce.

– To nic, to nic – powiedziała. – Wie papa, zgodziłam się uczyć tego Żydka z Bujwidz. Chce starać się o posadę w akcyzie.

Ojciec chrząknął jeszcze raz, spoglądając z uwagą we wnętrze kubka.

– On pomagał powstańcom – dodała ciszej.

Jedli kolację w jadalnym, zagraconym, dawno nie odnawianym pokoju. W kątach stały jakieś nie do końca napełnione worki, między litografiami na ścianach wisiały przetaki, a na kredensie, posypanym przez nieuwagę ciemną mąką, widać było ślady kurzych albo ptasich stóp. Za to w gąsiorach stojących na parapetach krzywych okienek czerwieniły się soczyście fermentujące z energią jagody leśne oraz ogrodowe.

Zachodziło słońce i cały sufit obłany był rumianą łuną. Ojciec jadł bez pośpiechu, z umiarem. Czasem chrząknął, spoglądając nieznacznie na córkę. Od strony gumien folwarcznych niesło się łomotanie cepów. Młócono na próbę przejrzałe już żyto.

– Strasznie duszno, papo – odezwała się Helena. – Może herbatę wypijemy na ganku, nie zapalając lampy?

Ojciec skinął głową z przyzwoleniem, więc zawołała na Emilkę, żeby niosła samowar na dwór. Przeszli na ganek, ojciec siadł na starej wyslizganej ławie, a Helena zanurzyła się w kulejącym foteliku. Samowar szumiał, mruczał, a czasami parsknął jak przez zęby garścią czerwonych iskier. Śród drzew i nad gazonem latały już nietoperze. Gdzieś w głębi tych niezmiernych, monotonnych, jednostajnych borów buchnął daleki, stłumiony strzał.

Już wokół nich krążyły komary i to ich dzwonienie przypominało Helenie, że potem zapadnie przejmująca letnia cisza, w której żyć będą tylko natrętne głosy komarów. Jak ja się boję nocy, pomyślała. Boję się letnich, a później zimowych. Ja się boję wszystkich nocy.

W alejce rozległ się łoskot kopyt końskich, ktoś coś mówił podniesionym głosem, ktoś krzyczał na konie „prrr...”, zamajaczył fanar z równym żółtym światłem i ją zbliżyć się do ganku, szerokim półkolem obchodząc gazon.

Wreszcie zobaczyli przed sobą starego człowieka w białej alpakowej marynarce, spod której wyglądała na modę rosyjską noszona rubaszka, z rozpiętą niechlujnie kosworotką, czyli asymetrycznym stojącym kołnierzem. Obok niego stał lokaj trzymając w jednej ręce kosz przykryty białym ręcznikiem, a w drugiej zakopcony fanar.

Niedbale porozpinany starzec zdjął z głowy wygniecioną panamę i ukłonił się nią po chłopsku aż do ziemi.

– Dobry wieczór kochanym sąsiadom.

Panna Helena wpatrywała się pilnie w ten pierwszy zmrok.

– Dobry wieczór. A kogóż to Bóg sprowadza?

– Jak to, nie poznaje pani sąsiada? Helenę tknęło złe przeczucie.

– Czyżby to pan Korsakow? A czemu mamy przypisać ten zaszczyt?

On rozejrzał się trochę niepewnie, włożył kapelusz z powrotem na głowę.

– A nie poprosi pani spocząć, że tak powiem, w cieniu ganeczka. Spojrzała na ojca, który głośno siorbał herbatę ze szklanki.

– Nie wypada – szepnęła. A głośno rzekła ze sztuczną uprzejmością: – Bardzo proszę zachodzić.

Wstała, przysunęła z kąta jeszcze jedno stare krzeselko, które zagrało zardzewiałymi sprężynkami. A pan Korsakow już wstępował na schody ganku odprowadzany przez lokaja. Pojawił się też mocny zapach jakichś spirytualiów.

– Postaw na stole – rozkazał Korsakow pokazując wzrokiem lokajowi biało przykryty kosz.
– Co tak ciemno u państwa? Nafty zabrakło?

– Boimy się ciem – powiedziała panna Helena. – U nas nad rzeką wilgoć. Wyhodowały się wielkie jak wróble.

Korsakow znowu zadyrygował lokajem.

– Odstaw fanar na gazon, a tu dawaj kosz. Ja z gościńcem do miłych sąsiadów. Zbierałem się, zbierałem przez tyle lat, ale wreszcie jestem.

Lokaj postawił wiklinowy kosz na stole i natychmiast z jego wnętrza pociekły grube strugi wody.

– Nie szkodzi, to nic złego – uspokajał Korsakow stropionych gospodarzy. – Fokus-pokus – zdjął szybko biały ręcznik z kosza. – Proszę bardzo. Prosto z Paryża.

Gdzieś z tej nocy, jeszcze przejrzystej jak suchy dym, wyszedł Konstanty i ustawił się na gazonie przy fanarze i przy nieruchomym lokaju.

– Co to wszystko znaczy, panie Korsakow? – spytała niepewnie Helena.

– Korsakow, pani mówi Korsakow? Chce mnie pani obrazić? – nachmurzył się raptem gość.

– Przecież tak wszyscy mówią do pana.

– Ale pani i pani szlachetny ojciec mówcie do mnie Korsak. Ja przyjechałem przeprosić, pokłonić się do samej ziemi. Co ja mówię. Dlaczego kłaniać się, to nie po naszymu. Wypijemy szampańskiego, ot co.

I wyciągnął z mokrego wnętrza kosza wysokie kieliszki, a później grzechocząc w resztkach lodu wydobyl smukłą butelkę.

– Błagam pana, sąsiedzie, może innym razem. My dziś zmęczeni, żniwny czas – broniła się Helena.

– A ja co, nie gospodarz? U mnie też żniwa. To najlepsze lekarstwo i na żniwa, i na zmartwienia, i na duchotę – pokazał flaszkę, usiadł ciężko na krześle, aż zajęczały sprężyny.

Oszołomiony pan Michał chrząkał, raz po raz przyglądając wąsy. Za ich plecami rozległ się cichutki chichot Emilki. Któraś z dziewczuch wyjrzała przez okno kuchni.

– U nas się nie pije – powiedziała bezradnie Helena.

On puścił korek, przy którym manipulował, i spojrzał bystro na gospodynię.

– Pewnie ślubowaliście, co? Obserwujecie jeszcze żałobę? Po powstaniu, po miatieżu?

Zrobiło się raptem cicho. Wszyscy milczeli, jakby dotknął ich lodowaty powiew otwartego grobu. Nietoperze przelatywały zygzakami nad gazonem, widocznie zwabione mdłym światłem fanaru.

Pan Korsakow pochylił się nad butelką, zaczął pracowicie odkręcać drut oplatający wielki korek. Nie podnosząc głowy powiedział raptem rzeczowym tonem:

– A ja właśnie w tej sprawie.

I znowu zamilkł, majstrując przy butelce. Helenie skoczyło serce w piersi. Przełknęła z trudem ślinę, a on wyraźnie czekał na ich reakcję.

– Nie rozumiemy, co pan ma na myśli.

– Proszę się nie obawiać – uśmiechnął się chytrze starzec, który po prawdzie nie był takim znowu starcem. – Całe szczęście, że trafiło to na swojego, to znaczy na mnie.

Syknął raptem ukłuwszy się w palec. Oblizał go niechlujnie i znowu zapachniało jakimiś wyziewami alkoholowymi. Helena zacisnęła palce na łyżeczce.

– Kazałem wykopać nową piwniczkę, bo stara za mała – podjął Korsak, przyglądając się butelce pod wątle światło bijące z sapiącego sennie samowara. Później z napięciem na nie dogolonej twarzy zaczął podwładać kciukiem główkę korka.

– No i ludzie moi wykopali niespodziankę.

Tu nagle strzelił korek, buchnął gdzieś za ich plecami w szybę okna. Poleciała biała struga szampana i Korsakow z niezwykłą zręcznością napełnił kieliszki.

– Zdrowie miłych sąsiadów, za pomyślność tego domu – wznosił kieliszek.

Oni swoje trzymali niezdecydowanie w mokrych palcach.

– Proszę pić, bo cała moc tego cudownego trunku ucieka. To napój królów.

– Co pan chciał powiedzieć? – spytała nieswoim głosem Helena. Korsakow upił trochę wina i oblizał poczerńiałe, jakby spalone gorączką wargi..

– A nic ważnego, choć to sprawa poufna. Otóż moi fonałe wykopali w Miłowidach kuferek z dokumentami. Jakieś, że tak powiem, kwity, rachunki, spisy. Z nazwiskami obywatelstwa tutejszego. Ktoś, że tak powiem, zakopał dokumenty Rządu Narodowego, kiedy powstanie uśmierzone.

Panna Helena z trudem przełknęła ślinę.

– A dlaczego pan nam to mówi?

– No bo przecież Miłowidy do kochanych państwa należały.

– Ale zakopać kuferek mógł ktoś później, kiedy już nas tam nie było.

– No, oczywiście – zaśmiał się wesoło Korsakow. – Można by było zrobić, że tak powiem, badanie, ale czy warto? Ja tak na wszelki wypadek otworzyłem drzwiczki pieca i buch papiery w ogień. Prawda, że dobrze zrobiłem, szanowna panno Heleno?

– To jest pańska sprawa.

– Moja, wasza, nasza wspólna. Mnie się nie trzeba obawiać.

Nazwisko przyjąłem rosyjskie, ale serce zostało polskie – uderzył się pięścią w wyłogi alpakowej marynarki, a potem żywo nalał znowu do kieliszków. – A la vótre! Bo ja z Paryża jeszcze przez rok kierowałem powstaniem. Gdyby nie moje starania, o dziesięć miesięcy wcześniej byłoby po wszystkim. Ja ekspediowałem z Anglii na angielskich i niemieckich statkach broń, amunicję i pieniądze, i to jakie pieniądze, w złocie. Pani mi nie wierzy? Mógłbym przysiąc, ale czy warto. Mam świadków i we Francji, i we Włoszech, i w Anglii. Książę Adam, świeć Panie nad jego duszą, generał Mierosławski, z Garibaldim korespondowałem, socjalistom, że tak powiem, dawałem pieniądze na drukarnie. Tak, zaparłem się swoich w młodości, służyłem gorliwie Moskałom, wyrzekłem się uczciwego nazwiska, bo moje nazwisko nieskalane. Korsaków, że tak powiem, dużo, lecz każdy prostą drogą do nieba idzie... Ale na czym to ja stanąłem...

Zwiesił głowę i siorbiąc ciężko popijał szampana.

Gdzieś za parkiem śpiewano na dwa głosy. Jakiś ptak wodny trzepotał się na stawie. Helena machinalnie podniosła kieliszek do ust. Poczowała raptowną oskomeń na zębach.

– Wielmożny panie, późna pora robi się – rzekł nieśmiało lokaj majaczący przy dogasającym fanarze.

– Milcz, chamie. Oni mnie nie szanują, bo myślą, że ja siłą odebrałem państwu Miłowidy. Ale niech pani powie, niech pan Michał powie, jak było naprawdę. Skąd ja mogłem wiedzieć, jak było naprawdę. Pan Najmiłościwszy dał, to wziąłem. Mało się to nacierpiałem na Kaukazie i na wojnie tureckiej. Czy nie lepiej, że majątek poszedł w polskie ręce... Cśś, ani słowa, ale tu sami swoi i ja swój, Korsak, szlachcic litewski. Nazwisko zmieniłem, ale wiary nie zmieniłem. Te dwie literki mogę zawsze stracić, wie pani, te na końcu, moje dzieci mogą odrzucić także, choć oni w Petersburgu i nie lekko im między obcymi, panie Michale, panie Konwicki, przebac mi, odpuść mnie, marnemu robakowi, zgrzeszyłem, ciężko zawiniłem, ale przecie chcę odkupić, przyjechałem prosić o przebaczenie, zmiłuj się nade mną – i nagle runął na klęczki, chwycił po omacku w ciemności rękę pana Michała i zaczął ją obsypywać pocałunkami. Gospodarz zerwał się na równe nogi, jął wyrywać dłoń z uścisku Korsakowa, potrącili przy tym stół, aż z samowara sypnęły się iskry i poleciały płatki szarej sadzy.

– Cicho, spokojnie, po co widowisko robić przy służbie. Emilka, zobacz, czy dziewczyny pozmywały wszystko.

Emilka przestąpiła z nogi na nogę i swoim zwyczajem przykryła dłonią zbyt obnażone piersi.

– Wszystko zrobiłem. Dziewki spać poszły. A ja na powietrzu postoję. Cały dzień przy piecu i przy piecu.

Pan Korsakow tymczasem płakał rzewnie zakrywając oczy kapeluszem panama. Klęczał przed stołem i od czasu do czasu próbował uderzać czołem w krawędź blatu.

– A czemu nikt nie zapyta, dlaczego ja zgrzeszyłem, dlaczego duszę diabłu zaprzedałem? To wy wszyscy mnie odtrąciliście.

Nagle wstał z podłogi, zataczając się, i wytarł kapeluszem oczy.

– Zostałem znieważony przez swoich. A tam mnie szanowali. Tak, prawdę mówię, Moskale mnie poważali i wysoką rangę od Najjaśniejszego Pana otrzymałem. Z wielkimi książętami w karty grałem. I do Francji mnie z tajną misją wysłali. Co ja mówię... – otrzeźwiał nagle. – Na burzę czekamy, który to dzień. Panie Michale, nie bocz się tak na mnie, radzę ci po dobroci.

– Ojciec zmęczony, cały dzień przebył na polu – rzekła znużonym głosem Helena. – My nie przyzwyczajeni.

– Ze mną nie przyzwyczajeni? Mną gardzicie, z łaski herbatkę warzycie w samowarku Platera. A wy wiecie, kto na mnie czeka w powozie? – bódł palcem ciemność nad gazonem. – Ja zaraz zawołam i on tu przyjdzie, bo on mój przyjaciel.

– Sąsiedzie drogi, proszę się nie gniewać – persadowała Helena. – My już odwykliśmy od ludzi.

– To ja wam pokażę, kto ze mną pije i jeździ w gości. Poproś pana Puszkina! – krzyknął do lokaja, który kopnął się w stronę alejki. – Zaraz zobaczycie żywego Puszkina.

Emilka chichotała oparta o framugę drzwi. Na niebie było pełno gwiazd jak zwykle w sierpniu, a właściwie pod koniec sierpnia. W tej ogromnej ciszy gdzieś słychać było brzęczenie cymbałów.

– Boże, niech on już pojedzie – szepnęła sama do siebie Helena. Korsakow odwrócił się nagle w jej stronę, przykładając kapelusz panamę do trochę wyszmelcowanej piersi.

– Coś pani mówiła? Ja za przeproszeniem głuchawy.

– Nie, nic takiego. Wzdycham, bo jesteśmy zmęczeni. Korsakow przypatrywał jej się dłuższą chwilę.

– A może te papiery potrzebne? Może nie trzeba było palić? – powiedział z namysłem.

– Któż to może wiedzieć. Tylko ten, kto to zakopał – rzekła Helena. – Każdy mógł to zrobić. Nawet przejezdny. Mówią, że nawet czasem policja umie to zrobić.

– Pani, znaczy się, że tak powiem, gotowa jest podejrzewać monsieur Dżugaszwilego?

Helena wykonała jakiś gest zaprzeczenia, ale Korsakow zaśmiał się raptem i lekko zatoczył pod ścianę dworu.

– Nie, nie, to żart. Ja lubię pośmiać się od czasu do czasu w miłej kompanii. Kiedyś przegrałem duże pieniądze do wielkiego księcia. I tak poszedł jednej nocy cały mająteczek, moja ojcowizna. Trzeba było szukać posady państwowej.

Pan Michał dopił herbaty ze swojej szklaneczki i chrząknął znacząco. Wtedy Korsakow

pochylił się raptem i dźgnął go palcem w grdykę.

– A cóż ty tu chrząkasz i chrząkasz, sąsiedzie? Cóż wy się tu wszyscy wynosicie nad innych, zadzieracie nosa, udajecie męczenników?

Chwilę chwiał się, coś sobie przypominając. Konstanty przy fanarze oganiał się od komarów, Emilka nie mogła opanować swojego chorobliwego chichotu.

– A mnie, że tak powiem, w Paryżu powiadają franty, takie bałaguly, żuliki zwykłe, że ja, panie, zdrajca jestem i agent carski. I co, zebrał się sąd obywatelski, i księżę Adam, i różni generałowie, cała, że tak powiem, emigracja i wydali rezolucję, że Korsakow niewinny.

Zaczął zbliżać się do Heleny, która lekliwie odstąpiła pół kroku.

– Ja przez rok powstanie utrzymywałem – mówił zduszonym głosem. – Nie wierzysz, no, powiedz, że nie wierzysz, co ci szkodzi.

– Szanowny sąsiedzie, my nic nie wiemy, o niczym nie słyszeliśmy – mówiła pośpiesznie Helena, ale usta jej już zaczęły drżeć. A jeśli dam mu w pysk, pomyślała. Boże, użycz ciepłości.

A wtedy z mroku wynurzył się Puszkina prowadzony przez lokaja. Widać rozbudził się przed chwilą w ukrytym w ciemnościach powozie, bo ziewnął nieznacznie i zasłonił usta dłonią, na której w skąym świetle błysnął sygnet.

Wydał się Helenie wyższy i tęższy od tego z rycin. Ale włosy miał tak samo kędzierzawe i negroidalne usta.

– Mam honor przedstawić państwu Puszkina. Mój przyjaciel i powiernik, a nas wszystkich miły sąsiad na przyszłość.

– Witamy pana w naszym domu – rzekła Helena.

Nie miał wiele więcej niż czterdzieści lat i nosił się z jakąś natrętną elegancją. Skłonił teraz wytwornie głowę.

– Dziękuję za zaszczyt, ale może innym razem – odezwał się ni to po polsku, ni to po rosyjsku.

– Koło Wilna osiada, żeby tu znaleźć spokój po intrygach petersburskich i moskiewskich – dodał Korsakow.

– Tak, z tym miastem wiąże mnie cieniutka nić sentymentu – uśmiechnął się Puszkina i pokazał wcale jeszcze białe zęby. – Mój prapradziad, ten słynny później Murzyn Piotra Wielkiego, mój protoplasta był w Wilnie chrzczony.

– Jak Boga kocham, dlaczego mi przedtem nie powiedziałaś! – krzyknął Korsakow. – Trzeba wypić za taką ekstraordynaryjną okazję. Dobrze mówię? – zwrócił się do Heleny. – To każ pani podać coś do picia.

– Uspokój się, Korsakow – powiedział łagodnie Puszkina. – Nie widzisz, że państwo ledwo na nogach stoją. Ja najuprzejmiej przepraszam za przyjaciela, który jak wypije pucharek trunku,

to cały świat przycisnąłby do piersi. Chodź, Korsakow, pojedziemy do ciebie, tak jak obiecałeś, chodź, mam ci coś do powiedzenia, chodź, bo już późna pora, no, chodź, chodź, kochasiu.

I tak go wabił, i tak przyzywał okrągłymi gestami rąk, i tak sugestywnie przemawiał, że pan Korsakow nałożył panamę i zaczął schodzić ze stopni ganku. Ale już na dole rozmyślił się raptem.

– A gdzież będziem jeździć po nocy! Tu dom miły, sąsiedzki, i panna na wydaniu, i szlachetny gospodarz, co to, że tak powiem, z patriotyzmu słynie. Chodź tu do nas, Puszkina.

Widać było, że sprawia mu przyjemność wymawianie nazwiska wielkiego poety rosyjskiego. Szczęściem jednak potknął się w ciemnościach, przysiadł na mokrej od rosy trawie. Puszkina z lokajem rzucili się pomagać starcowi we wstawaniu. Gdzieś daleko w lasach znowu odezwał się głuchy, stłumiony odległością wystrzał.

– Jedźmy, bracie, do domu – wołał Puszkina, wlokąc pod ramię starca w ciemność – a to jeszcze ten wasz Schickelgruber po drodze na nas napadnie.

– A ty wiesz, że ja go spotkałem siedem lat temu, zaraz na początku, jak tylko tu się przenieśliem.

– No i jak on wygląda – śmiał się Puszkina. – Zieje ogniem z pyska?

– To stary basior. Ludojad. Sto lat ma, a wielki, a żywy, a jurny. Pewną jejmościankę spod Oszmiany...

– Daj spokój, Korsakow, tu panna nas słucha.

Lokaj wziął fanar z gazonu i ruszył za nimi. Kiedy oddalili się już o kilkanaście kroków, Puszkina, ledwo widoczny w ciemnościach, odwrócił się i zawołał po polsku z silnym akcentem moskiewskim:

– Przepraszamy za najazd i dziękujemy za gościnę! Do zobaczenia. Albo w Bohini, albo u mnie w Markucjach.

– Jedźcie na złamanie karku – szepnęła panna Helena i zaczęła sprzątać stół zalany wodą, herbatą i szampanem.

Później, klękawszy przy łóżku, przeżegnała się szybko, zaczęła szeptać słowa pacierza:

– Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje...

I wtedy raptem pomyślała, a może zło jest Bogiem, a szatan jest tylko jego dobrym bratem.

Po wszystkich porannych zajęciach panna Helena usiadła na zacienionym ganeczku, popijając doskonałą, zimną wodę ze strumyczka, co bił spod kamienia w starym parku, a potem szybciutko i skwapliwie płynął do rzeczki Uzły i z nią już miał blisko do Wilii. Więc panna Helena, już przebrana w lepszą sukienkę, drobnymi łykami piła tę wodę godną zagranicznych kurortów, zresztą słynną tutaj w całej okolicy, piła ją niewielkimi haustami, spoglądając jakby od niechcienia w stronę tej lipowej, czy raczej klonowej alei, co prowadziła do gościńca. Ale nikt się w tym cienistym korytarzyku nie pokazywał.

Słońce już było wysoko, dziewczyny folwarczne szły na pobliskie łąki doić krowy. Gdzieś w tej jakby nieżywej, jakby spieczonej na amen dali słychać było rytmiczny brzęk kos ostrzonych oselkami.

Czasem zastukał młotek na babce wyrównujący krawędź skaleczonej kosi. To były jedyne odgłosy sennego życia w tym folwarczku tak oddalonym od siedzib ludzkich, które tu zresztą dość rzadko porozrzucał Pan Bóg wzdłuż kapryśnie płynącej rzeki.

Panna Helena wypijała wodę, posiedziała chwilę, a potem zawołała w głąb domu: – Pójdę na grób mamy! – Nikt nie odpowiedział, więc wolno, ociągając się, zstąpiła z ganeczku i nie wiadomo czemu weszła w żółkniejące krzaki kwiatów posadzonych wzdłuż ścian dworu, a te krzaki mocno już były zagłuszone przez rozplenione zuchwale pokrzywy.

I wtedy zobaczyła przez zamknięte okno pokój ojca, do którego nigdy nie wchodziła, choć pan Michał nie zabraniał. W małych szybkach zobaczyła fragment ścian, kawałek blatu kantorka z rachunkami i świecznikiem, co przyciskał jakieś papiery do zielonego sukna, oraz klęcznik, surowy, niczym nie wyłożony dla wygody kolan, mocno wyslizgany od częstego używania. Do ścian z pociemniałą tapetą przypinane były jakieś kartki z wysokim pismem ojca, kartki być może z dyspozycjami gospodarskimi albo jakimiś fragmentami ważnych listów czy dokumentów. Nigdy do nich nie zajrzała, szanując to umyślne osamotnienie, które ojciec sobie wybrał.

W tym momencie spostrzegła, że w mroku owego pokoju zwanego gabinetem, że w cieniu klęczał ojciec. Teraz podniósł się od tej południowej modlitwy, modlitwy na Anioł Pański, za zmarłych bliskich i dalekich, powstał z klęcznika i jał zdejmować koszulę. Ukazało się żółtawe, chude ciało, dramatycznie pozebrowane i Helena chciała uciec, bo wiedziała, co nastąpi. Ale pozostała przez moment na tym samym miejscu między krzaczkami georginii, powstrzymując gwałtowne wilgotnienie oczu. Pan Michał tymczasem zdjął ze ściany dyscyplinę i schyliwszy posiwiłał głowę zaczął się miarowo, systematycznie biczować, jakby wykonywał codzienną, gospodarską pracę. Panna Helena zacisnęła usta i pobiegła w stronę alei. Wiedziała o tych

dziwnych praktykach ojca, ale nigdy na ten temat nie rozmawiali i nigdy nie była świadkiem tej ojcowskiej pokuty za nieznanne grzechy.

Wyszła na gościniec i skręciła w lewo, do Daugiel, w przeciwną stronę niż do Bujwidz. Z zarośli wybiegła Malwinka, ruszyła jak pies śladami pani. Czasem skubnęła po drodze jakiś kwiatek albo smakowity listek.

Las stał nieruchomo i przez to wydawał się straszny. Ale gdzieś za nią wyrastał powoli hałas, jakby stłumiony odgłos pogoni. Helena zatrzymała się, odwróciła, spoglądała spod zmrużonych powiek na tę piaszczystą drogę, obsypaną czarnymi szyszkami.

Zza zakrętu wytoczyła się linijka. Siedział na niej w rozpiętym mundurze, z przekrzywioną czapką na szorstkowskich włosach isprawnik Dżugaszwili. Kiedy zrównał się z młodą kobietą, ściągnął lejce i zatrzymał spoconego konika.

– Pani nie boi się lasu? – spytał po rosyjsku z silnym gruzińskim akcentem.

– A czego się bać? Ten las to nasz dom – odpowiedziała po polsku.

– Ja wiem, do czego wam potrzebne lasy – zaśmiał się dwuznacznie isprawnik i w tym grymasie jego szara, okropnie dziobata twarz stała się jeszcze bardziej ponura. – Ale można pomylić się i spotkać kogo nie trzeba. Świat robi się coraz bardziej niebezpieczny. Gdzie te czasy, kiedy człowiek mógł siedzieć sobie w mieście i spokojnie urzędować.

– Świat daleko. Świat o nas nie pamięta.

– Ale pokazują się i u nas nie znani nikomu ludzie. Tu kraj zachodnich guberni cesarstwa. Najwyższym ukazem mamy polecone śledzić obcych i nie dopuszczać do niepokoju.

Helena ruszyła przed siebie bez słowa. Zastukotało nagle serce pod żebrami, aż mimowolnie przycisnęła dłoń do piersi. Strasznie gorąco, zupełnie nie ma przewiewu, pomyślała. Okazuje się, że i ja mam serce.

Dżugaszwili cmoknął na konia, dogonił ją i spytał:

– Może podwieźć, pani Helena? – To pani Helena powiedział po polsku.

– Nie, dziękuję panu za uprzejmość. Ale ja niedaleko, na grób mamy – rzekła, żeby się odczepić.

– Nu, tak szkoda, że nie mogę zasłużyć się panience. Do widzenia. Proszę kłaniać się ojcu.

I zaciął raptem konia, i pomknął przed siebie tą linijką już zreperowaną przez niemeczyńskiego kowala.

– Przecież ja nie idę do mamy – powiedziała z rozpaczą. – Co się ze mną dzieje. Tyle pracy w domu i na polach. I to serce jeszcze. Chwała Bogu, że mam serce. Może to serce skróci kiedyś mękę.

Sarenka pobiegła za isprawnikiem, ale przy zakręcie, obok wielkiego głazu oplecionego olbrzymim mrowiskiem zatrzymała się i czekała na swoją panią czy raczej przyjaciółkę.

– Co się ze mną dzieje – powtórzyła Helena. – Zawsze chciałam być wolna”. Jestem wolna

i co z tego. A słowo dane Platerowi – zabrakło jej raptem powietrza. Przysiadła na tym głazie, wokół którego krzątała się niezliczona ilość wielkich leśnych mrówek. A jeżeli mnie zagryzą, pomyślała. Niech zagryzą...

– Jestem starą kobietą – szepnęła, wstając z kamienia. Strząsnęła ze spódnicy igliwie, a także szybkie, niespokojne mrówki.

Zobaczyła w oddali biały brzozy krzyż – a jednak drewniany – u wezglowia mogiły obłożonej kiedyś darnią. Rosły teraz na niej Jakieś leśne kwiatki, zdarzyła się nawet kępka niedojrzałych jeszcze borówek. Dlaczego mama leży przy drodze jak włóczega, pomyślała nie wiadomo który raz w życiu. Co to za tajemnica. Jakiż to kaprys. A może ślubowanie. Matko moja nieznaną. Przyjaciółko, która śledzisz moje kroki z nieba i ochraniasz mnie, i bronisz przed złą przygodą.

Uklękła, przeżegnała się, chciała odmówić pacierz, ale słowa modlitwy ciągle się plątały. Zaczynała od nowa i stale się gubiła albo w tym, albo w innym miejscu mechanicznie powtarzanego tekstu. Podniosła z rozpaczą głowę, chciała spojrzeć w niebo między koronami wyniosłych sosen i zobaczyła jego. I ze zgrozą stwierdziła, że nie dziwi się, że widzi go przed sobą opartego bokiem o drzewo, w rozpiętej czamarce, z wiecznie żywym płomieniem we włosach.

Podniosła się z klęczek. On stał nieruchomo przy czerwonym pniu sosny.

– A skądże to idzie? – spytała.

– Z Bujwidz.

– Z Bujwidz przez Daugiele?

– Nadłożyłem trochę drogi.

– A dlaczego nie przyszedł Szyra na lekcję?

Patrzył na nią dłuższą chwilę w milczeniu. Wreszcie rzekł cicho:

– Mówi panienka do mnie jak do arendarza.

Opuściła głowę, odsunęła stopą wielką świerkową szyszkę, która zagradzała drogę.

– A jak mam mówić? Sama nie wiem.

– Nie przyszedłem na lekcję, bo nie wiem, czy warto przychodzić.

– Rozmyślił się tak szybko?

– Przecież panienka wie, co ja myślę.

– Nic nie wiem – rzekła w popłochu. – Jeśli chce się uczyć, to wracajmy. A ma tabliczkę i rysik?

– Mam wszystko – powiedział i, ociągając się, wy dobył zza pazuchy przybory do pisania.

Ona w milczeniu zawróciła w stronę domu. On poszedł za nią. Przed nimi brykała już sarenka, spłoszona pewnie przez jakiś nieśmiały, pojedynczy powiew, przez jakieś łagodne tąpnięcie powietrza.

– Już lepiej proszę mówić do mnie po imieniu – odezwał się wreszcie Eliasz.

– Straciłeś ochotę do nauki?

– Tak – rzekł z wahaniem. – Zniechęciłem się.

– A dlaczego to?

– Sam nie wiem. Może ja narzucam się swoją osobą.

– Dlaczego? Mam trochę czasu. Jeszcze nie zaczęłam nauki z dziećmi wiejskimi.

Nagle Eliasz poweselał. Dogonił Helenę, wydawało się przez chwilę, że weźmie ją pod rękę, ale się opanował i zrównał tylko krok z jej krokiem.

– Jesteś śmiały. Jeszcze ciebie życie nie nauczyło pokory.

– Życie nie jest takie straszne, jak je malują – zaśmiał się po swojemu, trochę niefrasobliwie, a trochę bezczelnie.

– I naprawdę byłeś w powstaniu?

– A potem pięć lat na Syberii. I w czasie któregoś buntu katorżników nad Jeziorem Bajkalskim uciekłem i dobrałem się aż do Wołgi. Mnie jednemu udało się ucieczka. Może dlatego, że byłem taki młody. Młodemu morze do kolan, jak powiadają Moskale.

– Ty naprawdę jesteś Żydem?

– Najprawdziwszym.

Szła długą chwilę w milczeniu. On zabiegł jej raptem drogę.

– A czy to bardzo niedobrze?

Wzruszyła ramionami i ominęła go, schodząc na brzeg lasu wymoszczonego suchym, srebrzystym mchem, który szeleścił jak pergamin. Znowu gdzieś bardzo daleko, najpewniej w głębi szarego i puszystego nieboskłonu odezwał się ten dziwny, głęboki, wszechogarniający odgłos jakby ocierających się o siebie planet. Nikt tego nie słyszy, pomyślała. Nikt tego nie słyszy oprócz mnie.

I tę drogę skądś znała, ale nie z tych codziennych spacerów ani z dzieciństwa. Tylko wtedy była ta droga jakby biedniejsza, bez tych kwiatów, co jak powoje oplatają pnie sosen, bez tych mchów tam w głębi, bujnych, mięsistych, prawie drapieźnych, bez tej duchoty wielkiej dzieży przykrytej ciężką pokrywą.

– Ja tu wróciłem po panią – odezwał się raptem Eliasz idący z tyłu. Zerwał witkę z krzaka kruszyny i ciął nią teraz wysokie, smukłe, ale już umierające przed jesienią trawy.

– Co ty mówisz? – powiedziała zamyślona.

– Wróciłem do pani. Odszedłem też dla pani.

Ona zatrzymała się nagle, odwróciła. I on stanął o trzy kroki przed nią.

– Czy ty rozumiesz, co do mnie mówisz?

– Tak, rozumiem. Ja znam dobrze język polski w mowie.

– Ty wiesz, kim ja jestem?

Uśmiechał się niepewnie, uderzając się witką po cholewach zapylonych butów.

– Och, ja też mogłem być kimś innym. To naprawdę przypadek, że urodziłem się w tych Bujwidzach w żydowskim domu.

Ruszyła w milczeniu w stronę alei, co ją już widać było między rzadziejymi pniami lasu. Chciałam się pomodlić nad mogiłą matki, pomyślała, i przeszkodził. On mi przeszkadza. Ten rudy mężczyzna staje się przeszkodą. Serce skoczyło chaotycznie pod żebrami.

Potem on zasiadł do stołu w jej pokoju, a ona znowu podeszła do okna. Skrzypnęły drzwi, w ciemnej szparze pokazała się gładko uczesana głowa Emilki. Bezdźwięcznie poruszała wargami, wymawiając kilka razy słowo „obiad”.

– Później. Nie jestem głodna – szepnęła Helena od okna i dała znak dłonią, żeby nie przeszkadzać.

Eliasz położył tabliczkę na nicianej serwecie, odsunął trochę lampę.

– Ja już sam w domu nauczyłem się paru liter.

Helena odwróciła się od okna, podeszła do stołu. Za ścianą zegar ciężko, z mozołem, brzęcząc mechanizmem wydzwaniał godzinę, ale nie zdążyli policzyć uderzeń.

– No proszę, jaki jesteś pilny. To pokaż, co umiesz.

On wysunął język jak uczeń w szkole i zaczął rysować rysikiem dużą literę H, następnie małe e, później l, aż mu wyszło słowo Helena. Popatrzył na swoje dzieło, a potem przeniósł wzrok na kobietę.

Ona milczała długo. Ktoś coś wołał w głębi domu, najpewniej w kuchni. Dzieciół przyleciał i siadł na pniu umarłego drzewa za oknem. Nie zaczynał jeszcze swojej roboty, rozglądał się ciekawie po okolicy. Eliasz czekał, wpatrzony w jej twarz z zamkniętymi powiekami.

– Lepiej, żebyś nie wyprzedzał programu – rzekła wreszcie ironicznie. – Pokażę ci teraz literę b, która jest trudna, a później przejdziemy do c, dużo łatwiejszej.

Ktoś krzyczał w głębi domu za kilkoma ścianami. Helena pomyślała, że to pewnie ojciec, i znowu serce podskoczyło w niej kulawo. Ojciec czasem krzyczał po nocach przez sen, a czasem także w dzień, kiedy nikogo nie było w pobliżu. Tak rekompensował sobie, być może nieświadomie, wieloletnie milczenie.

Narysowała dużą literę B, a potem małą. Czowała jego chłodny oddech na dłoni, na odkrytym przedramieniu ze śladem opalenizny. On pachnie miętą, pomyślała, ostudzoną miętą.

Wtedy znowu jęknęły zeschnięte drzwi i do pokoju wsadziła zarumienioną twarz rozemocjonowana Emilka.

– Proszę panienki, proszę panienki, pan hrabia przyjechał. W cztery konie. Ze stangretem i ze strzelcem.

Helena odłożyła rysik i podeszła do lustra, tego pełnego śladów ospy, ale życzliwego jej urodzie z pierwszymi już skazami, których przyczynia coraz szybciej biegnący czas jak kamień

toczony ze stromej góry. Westchnęła dotykając szylkretowym grzebieniem włosów i różowym puszką nosa z odrobiną piegów u nasady.

– Niech poczeka. Ja zaraz wrócę.

– Ależ nie chciałbym przeszkadzać.– porwał się zza stołu.

Pokazała kategorycznie dłonią, żeby siedział, a sama poszła ciemnym korytarzem przez mroczną sień na ganek, gdzie świeciła zielono winorośl i zapalczywie ćwierkały wróble.

Koło powozu, z herbem na drzwiczkach, odcyszczonym i lśniącym, stał Plater rozmawiając z panem Michałem. To znaczy on mówił z szacunkiem, a ojciec słuchał, z rzadka potakując. Tylko on jest dbały, pomyślała. Nikt dziś nie czyści okuć przy uprzężach, nikt nie reperuje starych kanap, nikt nawet nie szyje nowych sukien czy ubrań. Wszyscy jakby zastygli w bezruchu niczym figury kamienne na mogiłach. Ale on jest dbały.

Odwrócił się od swego rozmówcy, elegancki, wysoki, z popielatym cylindrem w rękę. Wszystkie panny w całej guberni oszalałyby na moim miejscu, a ja nie szaleję, pomyślała.

– Witam i przepraszam za najazd – mówił, całując z galanterią jej rękę. – Ale zdobyłem się na odwagę, żeby zajechać bez uprzedzenia i porwać panią w nieznaną.

– Ach, Boże, ja się w ogóle nie spodziewałam – rzekła zarumieniona, a w duchu szepnęła, co ja plotę i dlaczego udaję gąskę z zaścianka...

– Może to najlepsza metoda na panią, droga panno Heleno. Na przekór pogodzie, porze dnia i w ogóle wszystkiemu polecimy co koń wyskoczy na przykład do Niemenczyna, a możemy nawet do Wilna. Na kawę, ciastka, a jeśli taka pani wola, to i na lody.

Nawet ojciec się rozchmurzył. Konstanty podszedł do powozu i z szacunkiem obmacywał prawdziwie pańską uprzęż. A Helena opuściła wzrok i jak grzeczna panienska skubała pasek sukni.

Chwycił ją ponownie za obie dłonie.

– Porywam panią!

– Ale ja nie mogę, przepraszam pana.

– Dlaczegoż to?

– Mam właśnie lekcję.

Puścił jej rękę i, nagle poważniejąc, odstąpił krok do tyłu.

– A z kimże? Z tym Żydkiem z Bujwidz? Helena podniosła nieoczekiwanie wzrok.

– Tak, właśnie z nim.

Plater milczał, przyglądając się jej z jakąś znaczącą uwagą.

– Szedł siedem kilometrów na lekcję – dodała. On uśmiechnął się.

– No, cóż, trzeba uszanować dyscyplinę. Ja na pani miejscu nie oparłbym się takim kuszącym perspektywom. Chylę czoła przed nieugiętym charakterem.

Uklonił się i ruszył tyłem, jak przed królową angielską, do swego powozu.

– Panie Michale, pan sam widzi. Dostałem kosza. Ale, mam nadzieję, tylko pod względem kawy i lodów. Prawda, panno Heleno?

Jaki on dziwny, pomyślała. Jaki on dziwny i jakbym już go kiedyś znała z innych okoliczności. To początek choroby, choroby mojego umysłu albo mojej duszy.

Powóz już odjeżdżał wzniesając gęsty welon burego pyłu. Strzelec Ildefons siedział na koźle obok stangreta i nie wiadomo czemu ciągle patrzył na zostający w szarej zieleni dworek bohiński, który kiedyś służył Platerom jako rezydencja myśliwska.

Pan Michał przeniósł wzrok na Helenę i nic nie mówiąc kiwał głową, ni to z aprobatą, ni to z przyganą.

Wracam z takim mozołem przez wydmy minionego czasu, przez trzęsawiska dni i puszcze godzin do mojej babki, Heleny Konwickiej, której ja nigdy nie widziałem i nikt z tych, co znałem, nie spotkał jej nigdy, nie spojrzął jej w oczy, nie dotknął ręki, nie obdarzył przyjaznym słowem. A może ścigam ją przez obszary przeczuć, przez jeziora tęsknot, przez gęste mgły niepewności. Dlaczego teraz, kiedy przeżyłem wszystkich moich bliskich, kiedy jestem najstarszy i kiedy nie mogę doczekać się mojej godziny, mojego terminu, dlaczego ścigam cień, widmo, marę młodej kobiety biegnącej przez banalną sierpniową łąkę ku banalnemu białemu dworowi, przy którym trzyma wartę modrzew zamieniający się powoli w złotą pochodnię.

– Weźmiemy dziś – powiedziała zdyszana, kiedy on podniósł się z krzesła na jej widok – weźmiemy dziś litery i, j, k, l. Bardzo się naczekałeś?

Eliasz patrzył długo, nienaturalnie długo w jej twarz i było coś bardzo bezwstydnego w tym jego patrzeniu. Więc spuściła raptem oczy.

– No dobrze, siadaj i pisz. Wykonał posłusznie to polecenie.

– Emilka nie chciała wpuścić do pokoju.

– Mam nadzieję, że nie szperałeś w moich tajemnicach?

Teraz on się zmieszał i bardzo mu poczerwieniały uszy. Dopiero teraz spostrzegła, że ma czym słuchać ludzi i przykazań boskich. Były duże i odstające, choć kształtne.

– Gdzieżbym śmiał – powiedział niepewnie.

– Wy, Żydzi, macie swoją moralność.

– Już mi to pani mówiła.

– Ja mówiłam?

– Tak, na samym początku.

Znowu zegar wybił godzinę, ale i tym razem nie zdążyli policzyć. Helena stanęła na swoim miejscu przy oknie. To na pewno coś znaczy, pomyślała, jeśli często stoi się przy oknie.

– Piszysz litery?

– Tak, piszę. Nauczyłem się sam w domu paru słów. Umiem jedno z literą k.

– Na razie za wcześnie na słowo. Trzeba się najpierw nauczyć alfabetu.

Z łąk leciał nad starymi drzewami parku stary bocian zwany przez tutejszych Maciejem. Leciał niespiesznie, a za nim podążała małżonka, dziwna bocianica, cała biała, tylko kilka lotek miała czarnych, jakby umaczanych w dziegciu, nawet nogi były przerażająco białe, bez kropli krwi. Wracali do gniazda. Jakie te drzewa zniszczone, schorowane, kalekie, pomyślała. Jak ludzie.

– Więc uciekając z zesłania dotarłeś do Wołgi i co dalej? – odezwała się raptem ku swemu zdziwieniu.

– To było dosyć stare miasto, Symbirsk. Znalazłem taki dom, gdzie mnie o nic nie pytali, i tam postąpiłem na służbę. Zostałem kuczerem pana Ilji Nikołajewicza. A to była figura. Inspektor gubernialny szkół początkowych. Cośmy się najeździli kolaską albo bryczuszką, bo pan był wymagający od ludzi, surowy i pilnujący porządku. Wszystkie szkoły objeździliśmy, i te budujące się, i te remontowane, i te, co trzeba było zamknąć, bo rozpadały się ze starości. Cały czas w drodze i w drodze. Czy śnieg, czy deszcz, czy skwar. Nieraz to po parę miesięcy nie było nas w domu. Pamiętam, raz Ilja Nikołajewicz otrzymał wiadomość po telegrafie, że małżonka, pani Maria Aleksandrowna zaczyna rodzić. To była jazda. Mało konie nie padły po drodze, bo droga była ciężka, początek kwietnia, chyba będzie siedemdziesiątego roku, jeszcze i śnieg, i błoto, i Bóg wie co. A potem zagroziła nam drogę rzeka Świjaża, cała skuta lodem. No i spróbowałem przez ten lód, a on już trzeszczy, rysuje się, pęka, zaczyna po nim płynąć woda, kolaska topi się, konie zapadają się po brzuch, nam już śmierć w oczy zagląda, bo ciemnieje dokoła. Ale wyratowaliśmy się. Zaraz było miasto na wysokim brzegu, to znaczy ta część na zachodnim brzegu Wołgi, z Kremlem, ze starym miastem. No i zdążyliśmy, żeby ojciec mógł zobaczyć dziecko, syna wydającego pierwszy głos na tym Bożym świecie. Dostał on potem na chrzcie imię Włodzimierza, i wszyscy go lubili, i nazywali Wołodzią.

Helena patrzyła w okno, słuchając jego opowiadania jak odgłosów zadymki śnieżnej albo szumu rzeki. Mówił z ożywieniem o jakimś dalekim kraju i o jakichś ludziach, którzy gdzieś tam żyją, a potem umrą i wszelki ślad po nich zaginie na tym piaszczystym gościńcu, co to prowadzi nie wiadomo skąd i dokąd. Ech, to wszystko jedno, pomyślała, a na głos rzekła cicho:

– No słucham, słucham. Coś tak umilkł?

– Bo to może dla pani nieinteresujące. Ale ja ich naprawdę polubiłem. I do dziś pamiętam, i czasem nawet jakąś odkrytkę do nich napiszę na pamiątkę, żeby wiedzieli, że nie zginąłem, że żyję nie wiadomo po co.

– A skąd u ciebie taki pesymizm? Przecież jesteś z natury wesoły.

– Jestem wesoły – zgodził się Elias. – Ale tak mówię, żeby zwrócić na siebie uwagę. Przecież ja dla pani wróciłem do Bujwidz z końca świata.

Panna Helena zmarszczyła czoło.

– Słuchaj no...

– Żydku...

– Słuchaj no, Żydku, bo przepędzę psami.

– A nie ciekawa pani, co było dalej?

– A co było dalej?

– Objeździłem kawał Rosji. Pani Maria Aleksandrowna lubiła ze mną rozmawiać po niemiecku, bo ona sama była z Niemców i nazywała się z domu Blank. Na początku jej stanu odmiennego wozilem ją aż do guberni kazańskiej, do ojca, doktora Blanka, co miał mająteczek

Kokuszkinu. On mnie też polubił, ale coś tak myślę, że on prędzej był Żydem niż Niemcem.

Umilkł i rysował rządki liter wysunawszy koniuszek języka, zupełnie jak dzieci w szkole.

– I dlaczego od nich odszedłeś?

– A bo ludzie zaczęli się mną interesować. Spotkałem kiedyś takiego jednego, co wrócił z wojska, a był w konwoju, co nas pędził na Sybir. Więc trzeba było zmykać. Dobrzy byli ludzie, moi gospodarze, i dzieci miłe. Dziewczynki Ania i Ola, i ten chłopczyk osesek.

..

Helena odwróciła się od okna.

– Słucham tak ciebie, słucham i myślę, kogo ty grasz?

– Ja gram kogoś? – zdziwił się szczerze.

– Udajesz prostego człowieka, naśladujesz litewskiego Żyda z małego miasteczka, a przecież w tobie jest jakiś niepokój i fałsz.

Znowu wróciła do okna. Ale nic się nie zmieniło za szybą. Stare czarne drzewa stały nieruchomo z wyciągniętymi do nieba konarami. Już nigdy nie spadnie deszcz, pomyślała. Cały świat zaschnie jak mucha jesienią na ramie okiennej. On milczał. Czekala, aż się odezwie.

Spojrzała ukradkiem w jego stronę. Opuścił głowę, położył ją na stole, opierając się czołem o blat przykryty nicianą serwetą. A te włosy zupełnie jakby się paliły. Trwał nieruchomo w takiej pozycji.

– Co się stało? – zapytała.

On nie poruszył się i nie odpowiedział.

– Pytam, co się dzieje?

Podeszła do stołu, który odgradzał ją od niego.

– Zastąłeś?

Spostrzegła bożą krowkę, która maszerowała przez jego gęste, suche włosy.

– Przestań drejkać się – powiedziała surowo jak do dziecka. Ale on nie reagował.

Schwyciła go za włosy, podniosła jego głowę do góry. Miał zaciśnięte powieki, lecz przecież widziała, że pod nimi poruszają się niespokojnie gałki oczu. Nie wiedziała, co zrobić: czy trzymać tak tę bezwładną głowę, czy nią potrząsnąć energicznie, ale w tym momencie on otworzył oczy i te oczy tak przeraźliwie niebieskie uśmiechnęły się raptem, a ona pomyślała, jakie to dziwne, że oprawa oczu jest ciemna, i on raptem przycisnął jej dłoń do swojej głowy uniesionym barkiem, i ona chciała krzyknąć, odskoczyć, a może nawet uderzyć, lecz w tej samej chwili załomotano do drzwi, Helena wyrwała rękę z potrzasku i schowała ją za siebie jak ubrudzoną albo skaleczoną.

Wszedł isprawnik Dżugaszwili w czapce na głowie, przytrzymując lewą ręką szablę, która objęła się o zrolowane cholewy butów z miękkiej skóry, jakie lubią Gruzini. Za nim pokazał się pan Michał, Konstanty i wąsaty żandarm.

– Pani wybaczy – powiedział oficjalnym tonem – ale mam obowiązek sprawdzić, czy nie zatrzymał się u państwa ktoś przejezdny.

– Proszę, niech pan sprawdza.

Od razu spostrzegł niewidoczne, białe drzwiczki wiodące do sąsiedniego alkierzyka. Podzwaniając szablą i brzęcząc ostrogami, otworzył je i wszedł do mrocznego wnętrza, a oni ruszyli za nim. Z alkierza poszedł w stronę salonu i dawnej biblioteki, w której teraz leżały na matach słomianych antonówki, później zawrócił, sprawdził jadalnię, zajrzał do gabinetu pana Michała, obejrzał kuchnię, wspiał się nawet po starych schodach i wsadził głowę w strych, ale zobaczywszy tam całe kurtyny odwiecznych pajęczyn i drobiny kurzu pływające w cienkich sztychach gorącego słońca, zrezygnował ze służbistości i zszedł na dół, wrócił do pokoju Heleny, gdzie wszyscy stali niepewnie, a Eliasza siedział za stołem z rysikiem w ręku.

Isprawnik zdjął czapkę i chusteczką wytarł wewnętrzny otok. Jego dziobata twarz skrzywiła się w lekkim uśmiechu.

– To taka formalność – powiedział. – Ja państwa znam.

– Pewnie był donos – odezwała się Helena. Dżugaszwili popatrzył na nią z ciekawością.

– A zdarzają się i donosy. Nu, ładnie. Pojedziemy dalej.

I ruszył ku drzwiom, a za nim podążył niemłody żandarm. Już był przy drzwiach i sięgał po klamkę, kiedy nagle zatrzymał się, jakby coś sobie przypomniał, jak zawsze we wszystkich opowiadaniach zatrzymują się komisarze policji. Więc zatrzymał się, odwrócił powoli i dźgnął palcem w stronę Eliasza.

– A pan to będzie kto? Wszyscy zamarli w milczeniu.

– Jakoś nie przypominam sobie. Helena przełknęła suchą ślinę.

– To Żyd z Bujwidz. Uczę go czytać i pisać, bo ma obiecaną posadę w akcyzie.

Isprawnik popatrzył w milczeniu na nią, potem przeniósł wzrok na Eliasza.

– A jak ciebie zowią?

Młody Żyd podniósł się wolno. Pan Michał odkaszlnął z gniewem.

– Eliasza Szyra.

– Ale ja ciebie widzę pierwszy raz w życiu.

Helena podeszła do isprawnika, jakby chcąc zasłonić Eliasza.

– Ach, kto ich tam spamięta – rzekła szybko. – My znamy jego i jego rodziców. Kupowali u nas groch, pierze.

– Ale niech panienska da jemu mówić.

– On kiepsko mówi i po polsku, i po rosyjsku. Eliasza potakiwał gorliwie swoją płonącą rudo głową.

– Nu, ciekawość – powiedział ochryple Dżugaszwili. – Ale ja paniencie wierzę i panu Michałowi wierzę, choć z panem Michałem różnie bywało.

Potem odwrócił się do Eliasza i dodał:

– A z tobą to ja jeszcze porozmawiam co i jak. Pojedziem dalej. Zasalutował i ruszył do drzwi, a za nim żandarm. Potem słychać było, jak idą przez sień, ganek i wsiadają do bryczki. Zastukały kopyta końskie o płaskie kamienie, którymi wyłożony był podjazd przy ganku, i później wolno zacichał skrzyp rozeschniętych piast pojazdu isprawnika.

Ojciec kiwał w zamyśleniu głową. Helena spojrzała szybko na Eliasza. Stał blady z ręką w zanadrzu, jakby trzymał tam ukrytego gołębia. Kiedy napotkał jej spojrzenie, uśmiechnął się ściągniętymi ustami i szepnął:

– Dziękuję pani.

Po kolacji zeszła z ganku przed dom. Ponad nieruchomymi drzewami migotała, błyskała, jaskrawiła się ogromna ilość gwiazd i wydawało się, że widać je w trzech wymiarach, że między nimi jest szklista przestrzeń nieskończoności. Jak krople zimnych ogni spadały co chwila gwiazdy, gasnąc w koronach drzew albo w seledynowej obręczy horyzontu. Stała tak i patrzyła jak zawsze w sierpniu, już tyle lat, i jakiś smutek ścisnął jej raptem to kulawe serce. Tak czują się wszyscy ludzie, którzy o tej porze wyszli przed dom i patrzą w niebo, pomyślała.

Wtedy obok, w zdziczałych krzakach czarnego bzu zaczerwienił się leciutko żar fajki Konstatego i szybka łuna różowości oświetliła na moment jego twarz bez wieku, twarz opiętą jakby martwą skórą, porysowaną czarnymi bruzdami.

– A chce panienka zorzę zobaczyć? – spytał.

– Jaką zorzę?

– Prawdziwą zorzę. U nas też się czasem pokazuje. Proszę pozwolić na tę stronę.

Wprowadził ją na tył dworu, gdzie w wyrwie drzew stała gwiazda zaranna.

– Nic nie widzę – powiedziała Helena.

– Pomalutku. Trzeba czekać. Ona pokaże się, kiedy przyjdzie pora.

Stali tak w gęstym mroku i Helenie zrobiło się zimno, zadrzała, wstrząsnęła się raptem. Czowała, że przemakają jej płócienne pantofelki. Ktoś przebiegł w stronę dworu, stuknęło otwierane albo zamykane okno, ktoś krzyknął niegłośno.

– O, niech patrzy – szepnął naraz Konstany.

Rzeczywiście między drzewami zadrzała niebieskoseledynowa poświata jak gigantyczne odbicie sopli lodowych, co pod koniec lutego zwisają z dachów. Po chwili zgasła, jakby ktoś odsunął wytarte lustro, które puszczało nocnego zajaczkę na północne niebo, znowu wyostrzyły się gwiazdy, ale tylko na chwilę, bo jeszcze raz pokazała się zorza polarna, teraz już silniejsza i rozchwiana, trzepocząca lekliwie nad horyzontem.

– W Petersburgu to ja napatrzyłem się, że nie daj Boże. Ale i u nas, widzi, nie można narzekać – odezwał się Konstany.

– Kto tu chodzi po nocy?

– A to Sieniuć, Antoni. On u kowala robi – zachichotał Konstany i sypnął iskrami ze swojej lulki. – Wieczorem do Emilki w gości przychodzi. Niemłody, ale honorowy człowiek – dodał po namyśle.

Objęła się rękami, żeby było cieplej. Trzeba iść spać, ale nie chce się spać.

– Pan dziś strasznie krzyczy – powiedział jeszcze Konstany. Westchnęła i omijając krzaki pokrzyw wróciła na ganek. W oknie ojca było ciemno. Zaczęła nasłuchiwać. Już jest ta straszna

cisza wiejska podobna do śmierci. Bezgłówna drobina światła poleciała w dół po szybie nocy.

– Ja ją kochałem! – rozróżniła nagle stłumiony i niewyraźny głos ojca. – Ja ją kochałem, jak umiałem.

Helenie przebiegł mróz po plecach. Może on krzyczy przez sen. Ale może woła na jawie. Pewnie płacze, jeśli potrafi płakać. Stała chwilę, powstrzymując raptowne ataki dreszczów. I z winorośli nieruchomej i zastygłej szło przejmujące zimno. Będzie jutro pogoda, pomyślała. Ta wielka burza już nigdy nie przyjdzie.

Znowu westchnęła i weszła do domu. Po omacku odnalazła korytarzyk, tu przystanęła na moment, słuchając odgłosów w domu. Ale ojciec już ucichł, nie odezwał się więcej. Słyszała tylko uderzenia własnego serca.

W swoim pokoju, nie zapalając lampy, podeszła do okna. Bardzo często rozbierała się w ciemnościach jakby w obawie przed sobą, a właściwie przed swoim ciałem. Szybko zrzuciła odzież i wślizgiwała się do chłodnej pościeli, gdzie czekała na nią, jak wierna przyjaciółka, płócienna nocna koszula. I tak leżąc, w niewygodzie, wciągała ją na rozgrzane ciało.

Ale dzisiejszego wieczoru podeszła do okna i rozsunęła zazdrostki. Czarny park po tej stronie stał w płytkim jezioru mgły. To z Uzły, tej cichej rzeczki, co ociągając się podążała zygzakiem do Wilii, to z tej Uzły podnosiły się teraz opary i wypływały do parku i podchodziły jak powódź pod dom.

Jestem strasznie zmęczona, pomyślała. Tak bardzo chciałabym odpocząć. Dlaczego nic nie wiem o mojej matce. Czemu nikt nic mi nie chce o niej opowiedzieć. Za wcześnie jeszcze na zmęczenie. Co by było, gdyby żył Piotruś Pieślak. Jak wyglądałoby nasze życie.

Przeżegnała się, zaczęła odmawiać pacierze, spoglądając ciągle w okno. Wtedy z nocy wynurzył się Konstanty, zastukał kołatką, dając znać, że to on, zamknął okiennice i przetkał przez otwory sztabki okiennic, a Helena od wewnątrz zaklinowała je żelaznymi zatyczkami. W szparach majaczyło sierpniowe nocne niebo z jedną migocącą gwiazdką. I ta gwiazdka nie wiedzieć czemu dodawała jakoś otuchy.

Helena westchnęła, po omacku jęła się rozbierać. Znowu odezwał się zegar i znowu nie zdążyła policzyć uderzeń, to znaczy policzyła, ale nie była pewna, czy było ich osiem, czy dziewięć. Wszystko jedno. Przeżegnała się i weszła do łóżka.

Odwróciła się twarzą do ściany. Próbowwała myśleć o jutrzejszych zajęciach. Czasem z półsnu jawił się pan Plater z pięknym uśmiechem na twarzy, która nie tak dawno jeszcze była porównywana do twarzy dziewczyny, a która teraz jakby zmieniła proporcje, ściemniała i pogrubiała, przykryła się jak pajęczyną delikatną siecią zmarszczek. Zdecydował się na ożenek, bo już nie boi się matki, pomyślała. I starała się więcej o nim pomyśleć i przypomnieć dawniejsze lata, żeby z ciemności, ze wszystkich kątów i zakamarków nie wyłaniał się ten szalony Żyd z Bujwidz z tą płonąca chłodnym ogniem głową.

I nie wiadomo, kiedy zasnęła, i nie wiadomo, kiedy coś ją zaczęło bardzo długo, mozolnie budzić i ona prawie się budziła, żeby znowu zapaść w daleką dal snu i znowu chwytać się brzegu jawy i znowu odpadać w czeluść niebytu. Wreszcie obudziła się i słuchała swego niespokojnego serca. Ale wszędzie była cisza. Tylko gdzieś za oknem odezwał się puszczyk i zaraz umilkł. Coś mnie obudziło, pomyślała. Pewnie sama siebie obudziłam. Zaczęłam sen nie od tego końca. Teraz nie zasnę aż do świtu. Odrzuciła nogą kapę, bo zrobiło się jej gorąco.

A wtedy ktoś zastukał pięścią w okiennicę.

– Otwórzcie na miłość Boską! – krzyczał jakimś dziwnym, nieludzkim głosem.

Zerwała się, zaczęła uciekać na oślep w stronę korytarzyka. Potrącone krzesło przewróciło się z łoskotem na podłogę. Pęknie mi serce, przemknęło jej przez głowę, kiedy szukała klamki.

– Panie Michale, otwórz pan, miej litość nad nieszczęsnym! – znowu odezwał się ten płaczliwy krzyk.

Wbiegła do sieni, tu stał ojciec w starym szlafroku narzuconym na koszulę. Od razu spostrzegła, że trzyma w rękach strzelbę i poczuła raptowną ulgę.

Teraz usłyszeli łomotanie w okiennicę kuchenne, zatrzepotały nagle bosc nogi, to Emilka uciekała przed tym upiorem, co o północy napadł na Bohinię.

– Otwórzcie, ludzie, to ja, swój, przyjechałem w gości. Mam prezenty dla wszystkich. I dobrą nowinę przywiozłem.

Ojciec poznał Helenę, odwrócił się w jej stronę i pokazał palcem na usta, żeby milczała. A ten napastnik szedł teraz wzdłuż frontowej ściany i walił w nią kamieniem albo kolbą sztucera.

– Gdzież się Konstanty podział? – szepnęła.

– Panno Heleno, panie Michale, otwórzcie po dobroci. Chcę przywitać się i pojedę dalej. Nie doprowadzajcie mnie do ostateczności. Ja was widzę przez szparę. Czy chcecie, żeby was przekląć. Moja klątwa straszna.

Słysząc było, że uklęknął na ganku i uderzył łbem raz i drugi o dębowe drzwi dworu.

– Panie Korsakow – odezwał się drżący trochę głos Konstantego. – Tak nie uchodzi. Późna pora. Czas iść spać.

– Won! – krzyknął ponuro niewidoczny gość. – Won, bo oczy wysmalę – i strzyknął metalicznie, pewnie kurkiem flinty. – Panie Michale, ja tu klęczę przed wami i proszę o zmiłowanie. Przyjechałem po nocy, bo muszę powiedzieć, co mnie, grozi, co mnie męczy, spać nie daje: chcecie, to bierzcie z powrotem Miłowidy. Ja pluję na wasz majątek. Ja go nie chciałem. Najjaśniejszy Pan darował i rękę pozwolił ucałować. Ja niczego nie chcę. Musiałem tylko wrócić. Na starość przyniosłem tu swoje kości. Mnie stąd wypędzono. Złość ludzka, zawiść, pogarda, niezrozumienie, och, jakie grubiaństwo. Znieważyli mnie, upodlili, zepchnęli do piekła – i zaczął płakać, i znowu walnął łbem w drzwi, aż wypadł z nich wielki zardzewiały klucz.

– Wstyd, panie Korsakow, nieładnie, pan wstawiony i budzi sąsiadów po nocy – perswadował Konstanty.

– Won, won! – zerwał się widać na równe nogi Korsakow, bo zatrzeszczały deski ganku i w tym momencie gruchnął strzał.

Pan Michał rzucił się do drzwi ze strzelbą pod pachą, ale Helena schwyciła go za łokieć.

– Nie trzeba, papo, on zaraz przewróci się i zaśnie. Cała okolica go zna – szeptała, podzwaniając cichutko zębami.

Słysząc było, jak Konstanty zmyka do parku, a Korsakow wraca pod drzwi dworu.

– Ja nie mogę usnąć w Miłowidach. Przenoszę łóżko z pokoju do pokoju. Głową na wschód i głową na zachód. I tak, i siak. Kto przeklął ten dom, słyszycie?

Znowu zaczął szlochać, ale wtedy odezwał się dworski zegar. Oit umilkł raptownie i oni słuchali tych sprężynowych, wysilonych uderzeń starego mechanizmu.

Chwilę trwała cisza. Zmęczył się i odszedł, pomyślała Helena. Ale w tym momencie drzwi zajęczały okropnie, bo Korsakow uderzył w nie całym ciałem.

– Ja was wszystkich pošlę na Sybir. Co wy sobie myślicie? Że Korsakow ogłuchł, stracił oczy i rozum. Ja wiem, że wy knujecie przeciw Najjaśniejszemu Panu i naszej mateczce Rosji, zbieracie się po nocach w puszczy albo na rojstach. Ja mam spisy. Jutro wszystkich powiozę tam, taka wasza mać, gdzie ślina zamarza w powietrzu, jak spluniesz.

– Nie, nie, papo. On zaraz zaśnie. Na nogach nie może ustać – szeptała Helena, chwytając ojca w pól.

– Słuchacie mnie? – odezwał się cicho za drzwiami Korsakow. – A ja zaraz popróbiję nowych zapalek, co mnie przysłali z Moskwy.

Czegoś widocznie szukał po kieszeniach, odstawił flintę, która upadła, więc zapewne pochylił się, żeby ją odnaleźć po omacku, i sam się przewrócił, i leżał długą chwilę bez ruchu, a potem zaczął płakać. Zrazu cichutko jak dziecko, później jął szlochać i zanosić się okropnym płaczem.

Słuchali wstrząśnięci tego skowytu starego człowieka. Helena spostrzegła nagle, że wbija paznokcie w łokieć ojca. Puściła jego rękę, zasłoniła dłońmi uszy.

– Panie Michale – jęczał Korsakow – wyjdź pan na ganek i zastrzel mnie, nieszczęsnego. Ja już nie mogę dłużej się męczyć. Nie mogę i tam, i tu. Niech będzie przeklęty ten dzień, kiedy wydano mnie na świat. Diabli i tu, i tam. Szatan mnie wyjął z kołyski. Żeby was wszystkich razem ze mną pochłonęło piekło.

Mówił to coraz ciszej i wolniej, a potem ucichł zupełnie. Długo stali pośrodku sieni nie wiedząc, co robić. Gdzieś w ciemnościach brzęczał komar. Zbliżał się i oddalał, szukając czegoś pod sufitem pachnącym dymami. Stali pośrodku sieni, walcząc z sennością. Helenie zdawało się, że przydrzemała raz i drugi na chwilę. Wreszcie daleko, jakby w alejce, usłyszeli znowu kołatkę

Konstantego, który, cierpiąc od lat na bezsenność, stróżował w nocy.

– Odjechał – szepnęła Helena. – Albo odszedł. A może odleciał. Pan Michał chrząknął i wyciągnąwszy ręce przed siebie poszedł przez amfiladę pokoi do swego gabinetu.

– Dobrej nocy, papo. Zapomnij o wszystkim – szepnęła jeszcze Helena i wróciła do siebie.

Nazajutrz zobaczyli ślady jego butów koło domu. Rozrył klomby i stratował trawę jak dzik. Na ganeczku ktoś z domowników znalazł gilzę od wystrzelonego ładunku. Ostatni raz najechał Bohinię zimą. Ale wtedy atak trwał krótko, bo mróz był siarczysty i Korsakow szybko ochrypl, a zaraz potem stracił głos.

Nastrój sensacji szybko mijał, wszyscy rozeszli się do zajęć, których było dużo o tej porze roku. I panna Helena całe przedpołudnie pracowała pilnie, spoglądając często w stronę alejki, która prowadziła na gościniec. Ale nikt się nie pojawiał w jej cienistym tunelu, w ogóle nikt nie zaszedł tego ranka do dworu i tylko Malwinka spacerowała po zdziczałym gazonie, skubiąc jakieś sobie znane zioła.

To i dobrze, myślała panna Helena. Szkoda czasu na pustoty. Kto to widział uczyć alfabetu niemłodego mężczyznę. Ale przecież nie dla nauki tu przychodzi. Zrobiło się jej jeszcze goręcej i poczuła, że za uszami spływają drobniutkie, łaskoczące kropelki potu. To i dobrze, że nie przyszedł. Sam pewnie zrozumiał wreszcie dwuznaczność sytuacji. Szkoda czasu na takie zabawy.

Ale mimo wszystko spoglądała w stronę alejki, to znaczy rzucała spojrzenie na słońce, które stało nad alejką, a potem z namysłem, bez pośpiechu opadało w tę stronę horyzontu, gdzie za wielkimi lasami były Bujwidze.

Po obiedzie jednak, kiedy pan Michał poszedł do gabinetu poleżeć, Helena przebrała się w lepszą suknię, wydała stosowne polecenia Emilce na popołudnie i wyszła na ganek.

– No, chyba i dziś nie będzie deszczu – rzekła, patrząc na niebo. – Pójdę do Bujwidz do księdza Siemaszki, bo obiecałam.

– Może zaprzęć do bryczki? – spytał z krzaków Konstanty.

– Wcale nie trzeba. Chętnie przelecę się w tamtą stronę, a z powrotem może ktoś podwiezie.

– To i lepiej – pochwalił Konstanty – wszystkie konie dzisiaj w polu.

I tak niby obojętnie, niby bez ochoty, poszła lekkim krokiem wokół gazonu, brzegiem stawów, nad którymi wisiały kłęby nudnych muszek, i znalazła się w mroku alei, gdzie było chłodniej i skąd szły nawet piwniczne powiewy.

Potem wyszła na gościniec, skrzyła na prawo, w stronę Bujwidz. Tylko na chwilę przystanąła na mostku, pod którym łyskała zielono spokojna Uzła. Może to niedobrze, że wczoraj odmówiłam przejażdżki Platerowi, pomyślała. Klamka zapadła, słowo zostało dane, nie ma co marudzić.

Ach, co tam Plater, poszła gniewnie gościńcem ściśniętym ciasno przez nie kończące się

bory. Ale to nie były poczciwe polskie lasy. Tu rządziły życiem ludzi i zwierząt ogromne puszcze pełne dziwnych drzew i niesamowitych krzaków, a także strasznych ziół, których już sam zapach budził grozę. Właśnie teraz panna Helena, taka energiczna, taka zamaszysta szła wśród paproci wyższych od człowieka, wśród paproci, jak las, ale przecież las był dopiero nad paprociami i czerwono-czarne sosny maczały swoje łby w wilgotnej szarości sierpniowego nieba. Od czasu do czasu pokazywała się brzoza, biała jak papier, powykręcana boleśnie, szukająca ratunku na wszystkie strony tego uroczyska, co się kończyło potem Powstańczą Górą.

Ojciec pana Aleksandra Broel-Platera zginął we Francji w jakimś pojedynku w tajemniczych i chyba głupich okolicznościach jeszcze w latach pięćdziesiątych. Młodego dziedzica Wołoków wychowywała matka, władcza i energiczna wielka pani, choć majątek już nie był taki wielki, bo jak to często bywa, duża jego część została przez ojca wywieziona w postaci złotych imperiałów do tej urzekającej i słodkiej Francji. Pana Aleksandra chowała matka. Wyrósł i dojrzał przy jej spódnicy. Podporządkowany jej woli. Zameczony jej apodyktyczną miłością.

A co mi tam Plater, pomyślała Helena. Jutro się rozmyślę i będzie po wszystkim. Ale dlaczego mam się rozmyślić. Z jakiego powodu. Przecież nic nie stoi na przeszkodzie. I przyśpieszyła kroku. I zdjęła niedbale kapelusz, bo szła cieniem leśnym i tylko rzadkie, zagubione w gąszczu refleksy słońca łaskotały ją nieśmiało.

Tak, prowadzę moją babkę, Helenę Konwicką, przez stary, a właściwie odwieczny las do Bujwidz i opóźniam te wszystkie wydarzenia sprzed wieku, i rozciągam je, rozwlekam, rozdrabniam, żeby minąć się z przeznaczeniem, ale ono przecież nadchodzi, nadciąga, płynie szeroko od horyzontu do horyzontu jak wielka rzeka, jak ogromna rzeka czasu pełna drobnych wirów człowieczych losów, raptownych fal ludzkich nieszczęść i pienistych kaskad nieuniknionych katastrof. Moja babka Helena idzie przez ten nieduży kraj podobny do starożytnej Grecji. Każde miasteczko, każdy zaścianek, każde rozstaje dróg to historia ludzkości. Wszyscy tu się znają nawzajem, wszyscy od siebie pochodzą i wszyscy też tworzą nową historię, nową mitologię, nową kosmogonię, którą potem rozniosą pielgrzymi i wygnańcy po całym świecie. Nie wymyślono tu nowych machin, ani nie odkryto nie znanych pierwiastków chemicznych, nie urządzono lepszych systemów społecznych. Tutaj w sposób niewidoczny i ukryty przed wzrokiem gawiedzi spręzał się duch ludzki, wzmagaly się moce wewnętrzne człowieka, tu odcedzała się w człowieku animalność i ulegał on stopniowej deizacji przed wielką pielgrzymką w kosmos na spotkanie z braćmi bogami.

Potem panna Helena weszła do Bujwidz i stanęła przy tym pierwszym sklepie zwanym „Złote jabłko”, bo i złote jabłko było wymalowane na brzegu szyldu. Stanęła, żeby powachlować się kapeluszem, gdyż o tej poobiedniej porze skwar się zrobił nieznośny i wszystko ucichło, i drzewa, i ptaki, i ludzie. Panna Helena stała na skraju miasteczka, a właściwie na poboczu drogi, co wpadała w ryneček, czy raczej na plac kościelny porośły szarą, zmiętoszoną, tu

i ówdzie usychającą trawą. Ale panna Helena wachlowała się dla niepoznaki, bo tak naprawdę to nie rozglądając się na boki czekała, i gdyby ją w tej chwili zapytano, na co czeka, nie umiałaby powiedzieć.

W sadzie było pusto, nawet dzieci żydowskie poszły spać o tej porze, psy schowały się do cienia. Na pagórku stał skryty za nieruchomymi drzewami kościół i stamtąd wysnuwał się cieniutki dym i leniwym korkociągiem podnosił się do mglistego nieba.

Panna Helena zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę kościoła. Zajrzała do środka pachnącego kadzidłem, później minęła cmentarzyk, przeżegnała się koło mogiły Piotrusia Pieślaka i wstąpiła w cienie sadu wokół plebanii. Drzwi domu były szeroko otwarte i nigdzie żywej duszy. Weszła na ganeczek, kaszlnęła raz, drugi, ale nikt nie wyszedł z pokojów. Niósł się stamtąd tylko słaby zapach ziół, słychać też było rozpaczliwy bzykot much, co się dostały do szklanej pułapki z serwatką.

Wtedy spostrzegła, że jakaś biała postać unosiła się na siwym obłoku pośrodku sadu. A to był właśnie ksiądz Siemaszko.

W białej szacie, w kapeluszu z welonem okrywającym twarz, z dymnikiem w ręku, którym odstraszał pszczoły, chodził od ula do ula, podnosił daszki gontowe, zaglądał do środka i coś tam poprawiał w tym wnętrzu wypełnionym buczeniem rozdrażnionych pszczoł. Zobaczył teraz Helenę, podniósł welon z twarzy i zbliżył się do ganeczka.

– Nie mogłam usiedzieć w domu – powiedziała po przywitaniu. – Coś mnie pędziło od rana. Musiałam wpaść do księdza dobrodzieja.

– Ach, jak dobrze zrobiłaś – pochwalił ksiądz Siemaszko. – Chodź tu, dziecka, siadaj na ganeczku, ja wraz przysmaki przyniosę, bo coś przygotowałam dla miłych gości.

I z dymnikiem w ręku ruszył żwawo do plebanii i wyniósł zaraz faskę miodu i górę ogórków w płaskim koszyczku. Patrzyła na jego nieładną, szeroką twarz i te śmieszne okulary w drucianej oprawce, na głowę pokrytą gęstą szczeciną włosów mocno osiwiiałych. Patrzyła na niego, jakby go dopiero dzisiaj poznała. Po co ja tu przyszłam. Co on o mnie pomyśli. A może nic nie pomyśli, bo jest poczciwcem wyzutym z podejrzliwości. On ma swoje troski i swoje bezsenności o pierwszym brzasku dnia.

– Był u nas isprawnik. Wszystkie pokoje obejrzał, nawet na strych polazł – rzekła Helena.

– U mnie, dziecka, widzisz, nawet ule porozwalał.

– A w ulach czegoż on szukał?

– Białorusa szukał – zaśmiał się ksiądz. – Bierz ogórki, maczaj w miodzie i jedz. To miód, można powiedzieć, Dżugaszwilego.

Postawił dymnik koło faski z miodem, żeby odstraszyć pszczoły. Patrzyła na siną stróżkę, którą niewidoczny powiew spychał ze stołu i rozdzielał na kędzierzawe pasemka.

– Ty drzysz, dziecka – powiedział ksiądz.

– Nie. Tylko trochę się zmęczyłam. Bo tak biegłam, tak biegłam, sama nie wiem czemu.

– Czasem człowieka nachodzi jakiś strach. Trzeba wtedy pomodlić się do Pana Boga.

Mówił to bez przekonania, patrząc w stół pełen czerwonych sęczków.

– Lud czeka na koniec świata.

– Zawsze czekali i będą czekać aż do końca świata – zaśmiał się.

– A dlaczego ośmielił się u księdza robić rewizję?

– A bo mnie przenieśli tutaj z Hołyszów, takiej parafii pod Mołodecznem. Tam ja z nudów zbierał stare pieśni, bajdy, tańce.

– Cóż w tym złego?

– Praudu każesz – wytarł szkła okularów o poję sutanny. – Ale władza w Petersburgu powiada, że nie ma narodowości białoruskiej i nie trzeba jej sztucznie tworzyć. Tak ja i trafił do turmy. Wyglądało, że źle będzie. Ale skończyło się na Bujwidzach.

Za sadem widać było łagodną stromizną placu przed kościołem.

Strasznie się zaplątałam, pomyślała. Taka jestem zmęczona. Teraz rozumiem tych ludzi na łożu śmierci, którzy cieszą się, że wreszcie odpoczną. Co ja mówię. Po co ja tu przyszłam. Ale on się nie domyśla. On jest zajęty swoim zmartwieniem. Ach, Boże, Białorusini. Czy to narodowość, czy stan socjalny. Zawsze myślała, że to po prostu chłopci.

– Ja jestem okropnie grzeszna – powiedziała raptem.

– Wszyscy jesteśmy grzeszni – westchnął ksiądz.

– Przecież ksiądz jest święty.

On aż się rzucił do tyłu na ławie. Ogórek spadł z przyzmy i potoczył się po stole.

– Szto ty każesz! W imię Ojca i Syna... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu.

– A co my mamy mówić, my ludzie pospolici, pozbawieni łaski obcowania z Bogiem o każdej godzinie.

Ksiądz Siemaszko bił się wielką, ciemną od dymu pięścią w przybrudzone giezło na piersiach. Potem zaczął z jakąś dziwną zajadłością żegnać się raz po raz niczym pop prawosławny. Może on tylko udaje prostego parocha, pomyślała. Może nawet wie, po co przyleciałam tu do Bujwidz. Ale przecież ja tu po nic nie leciałam. Tysiąc razy byłam w tym miasteczku i w lecie, i zimie. To jest nasz wiejski salon.

Wtedy w głębi domu ktoś zaczął chodzić, skrzypiąc deskami podłogi. Usłyszeli nawet szerokie ziewnięcie.

– A ot i nasz gość rozbudził się – odezwał się ksiądz i dużo silniejszym głosem zawołał w mroczne wnętrze domu: – Pozwól do nas, Grigoriju Aleksandrowiczu! Przedstawię ci najpiękniejszą pannę w naszej okolicy.

I na progu ganeczka pojawił się, dopinając podróżnego surduta, pan Puszkina, niedawny kompan Korsakowa.

– Patrz, dziecka – rzekł ksiądz – oto przyjaciel Moskal. Szuka u nas sadyby, żeby osiedlić się wśród Polaków.

– Miałem zaszczyt być przedstawionym – uśmiechnął się uprzejmie pan Puszkin.

Jednak strasznie podobny do ojca, przemknęło przez głowę Helenie. Ale skąd ja wiem, jak wyglądał ojciec.

– Przepraszam najmocniej – powiedziała głośno – ale rękę mam w miodzie, bo my tu łąsujemy świeże ogóreczki.

– Nic nie szkodzi. Po prostu okazja do jakiegoś kalamburu na konto miodu i panińskiej rączki. Ja przepraszam, że tak kiepsko ośmielam się mówić po polsku.

– To wy się już znacie? – rzekł trochę zawiedziony ksiądz Siemaszko.

– Korsakow przywiózł pana do Bohini. Puszkin machnął z niechęcią cienką dłonią.

– Ach, ten Korsakow. Narzucał się z pomocą w znalezieniu mająteczku, wszędzie woził, faktorował, nie wypuszczał z rąk. Ale szlachetny ksiądz mnie uratował, ofiarowując gościnę, za co dzięki stokrotne.

– Zamilcz, Grigoriju Aleksandrowiczu – bronił się Siemaszko. – Powiedz lepiej, skąd go wynalazłeś?

– A to w Petersburgu ktoś poradził. Nasz człowiek tam siedzi, powiada. On ci najlepiej dopomoże.

W tym miasteczku wszyscy umarli, pomyślała. Trzeba wracać przed nocą. Żeby już było po wszystkim. Ale po jakim wszystkim. Żeby już było po wszystkim z Platerem. Ale może jednak niech zostanie tak jak jest.

Ktoś szedł po drugiej stronie placu. Ale to nie był on. Szedł ciężkim krokiem, mocno pochylony. Kiedy wyszedł na jaśniejsze tło płotu, spostrzegła, że podpira się laską. To dziad, a ja już myślałam. Nie, nic nie myślałam. Trzeba wracać do domu. Dlaczego on wtedy tak zbladł i wsadził rękę w zanadrze.

– Tu zawsze było niespokojnie – kończył jakąś myśl proboszcz, odganiając pszczoły znad miodu. Mieszek z dymem już ostygł i one wróciły po swoją własność.

– Tak, tu zawsze było niespokojnie – powtórzył Puszkin. – Za to was podziwiamy.

– Ojciec pański nie wyraził nigdy tego podziwu – odezwała się z nagłym gniewem Helena i zrobiło się jej przykro.

Puszkin przeniósł na nią swoje wielkie, ciemne oczy.

– Tak, przepraszam was, Polaków, za mego ojca.

Boże, co ja zrobiłam, pomyślała z rozpaczą. To ten upał, ten okropny skwar końca lata.

– Proszę o wybaczenie – szepnęła. – Sama nie wiem, dlaczego to powiedziałam. To nie kobiece sprawy.

– Tak, skomplikowane pędzimy życie. Zapewniam panią, że ojciec cenił i kochał Polaków.

Ale w czasie powstania musiał zabrać głos. Chodziło o wolność i życie wielu ludzi w Petersburgu. Taka wtedy była sytuacja wśród inteligencji w stolicy. Szkoda, że tak się stało, ale co się stało, to się nie odstanie.

– Praudu każesz – westchnął z białoruska ksiądz Siemaszko.

– Muszę wracać – powiedziała Helena.

– Poczekaj, Józef ciebie odwiezie. – Ksiądz zajrzał do plebanii i jął wołać kościelnego.

– Nie, dziękuję. Wolę wracać pieszo. Muszę ochłonąć. Okropnie się dzisiaj czuję.

– Przecież ty przyszedłeś, dziecka, z interesem. Ale nie masz śmiałości powiedzieć, prawda?

– Ach nie, nie. Właściwie chciałam się wyspowiadać. Zupełnie zapomniałam, w jakie dni ksiądz spowiada. Nie szkodzi, przyjdę w niedzielę.

– Poczekaj, dziecka, wezmę stulę i pójdziemy do kościoła. Dlaczego od razu nie powiedziałaś?

– Ach nie, nie. Innym razem. Wytrzymam z moimi grzechami jeszcze kilka dni – zaśmiała się wymuszenie. – Ksiądz ma gościa. Nie można zostawiać samego.

– Jak uważasz. Ale ja widzę, że ty niespokojna. Co z panem Michałem?

– Nic, nic, ojciec dogląda zwózki zboża. Co mogą, od razu młóć wieczorami.

I dopiero teraz spostrzegła zwrócone na siebie oczy Puszkina. Wydały jej się dziwne, i nie mogła pojąć, dlaczego są takie dziwne. Tak brązowe, tak ciemne, że nawet źrenic nie widać, pomyślała. I tęczówki jakby obrzeżone granatową linią. Skądś znam te oczy od dawna. Tak, takie oczy ma nasza sarna.

Pod niebem płynęło na zachód ogromne stado purpurowych ptaków. Unieśli głowy i patrzyli z namysłem.

– Jakie dziwne ptaki – powiedziała raptem Helena. – Nigdy takich nie widziałam.

– To słońce czerwono zachodzi – odezwał się cicho Puszkina. – Szkoda, że pani pogniewała się na mnie za ojca.

– Ależ nie. Co było, minęło. Trzeba dalej żyć z ludźmi, prawda, ojczy? – zwróciła się zmieszana do Siemaszki.

– Praudu każesz – rzekł proboszcz. – Słońce czerwono zachodzi. Może wiatr w końcu burzę przyniesie. Wiesz, Grigoriju Aleksandrowiczu, że u nas w tym roku porządnej burzy nie było.

Puszkina podniósł zwieszoną głowę.

– Mam pod Wilnem, koło Markuć, upatrzoną posiadłość. Ale i tu pokazali śliczny mająteczek Mohylnia, pięknie położony nad rzeką i do kolei niedaleko. Musi mnie pani na zgodę poradzić, co lepiej wybrać.

– Niech pan nas wybierze.

On patrzył na nią długo, odrobinę za długo. Helena zakręciła się w miejscu, cmoknęła księdza w ramię, przed gościem dygnęła i od razu zawstydziła się tego dziewczęcego dygnięcia.

– Niech będzie pochwalony... A panu do widzenia i powodzenia. Potem szła długo przez plac tego miasteczka, złożonego z pięciu albo sześciu domów. Ktoś ukryty za płotem rąbał drzewo, w innym domu jakaś kobieta mówiła podniesionym głosem po żydowsku. Gdzieś w łąkach nad Wilią jakiś pastuch grał na olszynowej trombicie. Wielkie kłęby muszek pojawiły się nie wiadomo skąd i szły tuż nad drogą przed Heleną. No i tak, pomyślała. Jeszcze jeden dzień. Jeszcze jeden po drugiej stronie. Po drugiej stronie fałdy czasu.

Tego ranka także czekała na swego ucznia. Nie wyszła w ogóle na folwark, wzięła tylko te zajęcia, które były możliwe koło domu. Kręciła się po kuchni, zaglądała do spiżarni, próbowała z miedzianych misek gotowanych konfitur, nie wiadomo po co wybrała się nawet do piwniczki koło stawów, gdzie resztką brył lodowych powoli roztopiała się pod matami słomianymi.

Ale on znowu nie przyszedł. Alejka była pusta od rana. Nawet bezdomny pies nie przeleciał w jej cienistej czeluści. On z niewiadomych powodów znowu nie przyszedł.

Panna Helena w ogóle by na niego nie czekała. Pannę Helenę ten rudy młodzieniec w ogóle nie obchodził. Ale panna Helena lubiła porządek i zakłócenie porządku, niedotrzymanie umowy, taka niegrzeczna niesłowność wytrąciła ją jednak z równowagi.

W ten sposób tłumacząc swoje zdenerwowanie Helena krążyła koło dworu i bezmyślnie zaglądała przez małe szybki do wnętrza domu, jakby w nadziei, że raptem zobaczy tę płonąca głowę schyloną nad tabliczką i rysikiem.

I tak stanęła w pewnym momencie przed oknem gabinetu ojca. Zobaczyła te białe kartki przypięte do ścian, niektóre nawet jakby zwiędłe, z opadającymi rogami. Zobaczyła kantorek z papierami i rachunkami, a wśród tych szpargałów spoczywał pewnie ten urywek żółtkłego papieru z fragmentem improwizacji prozą pana Adama, zapisany przez kogoś, w jakąś wiosenną niedzielę, podczas wycieczki filomatów do Markuc, do tej wsi podwileńskiej, w której syn Puszkina upatrywał sobie być może siedzibę na stare lata. Zobaczyła na ścianie zaschnięty i pokruszony wianek, a z niego spływającą resztkę pociemniałego welonu. I nagle zapragnęła wejść do tego ciemnego pokoju, pogrzebać w starych książkach i dokumentach, zajrzeć do szuflady i zakamarków, i odkryć wreszcie tę tajemnicę matki, która leży na zawsze przy gościńcu jak poległy żołnierz napoleoński.

Wbiegła do dworu z bijącym sercem i wolno, na palcach, szła długą chwilę pod drzwi ojca. W zamku tkwił wielki i zardzewiały klucz. Nacisnęła klamkę i drzwi jęknęły przejmująco, ukazując woniejące kurzem wnętrze. Boże, co ja robię, pomyślała. Chciała się cofnąć pod wpływem raptownej przykrości, ale weszła jednak na próg schodzony do samej ziemi. Przecież tylko popatrzę, nie, wezmę książkę do czytania. Dawno nie miałam lektury w ręku. Trzeba pomyśleć o świecie, o życiu innych ludzi i o Bogu. Przecież o Bogu często myślę. Ale jakież to myślenie.

Weszła do wnętrza, nie zamykając za sobą drzwi. Wydało się jej to uczciwsze wobec ojca. Stanęła przy oknie i spojrzała w głąb alejki. Ale alejka była tak strasznie pusta, że pomyślała, iż nikt nigdy nie pokaże się u jej wylotu, na pylistych koleinach gościńca.

Wielki pajak krzyżak wspinał się niespiesznie po rzadkiej sieci pajęczyny w stronę jej serca,

gdzie w gęstwie nitek szamotała się mucha. Podrywała się do walki z więzami i rychło traciła siły, zacichając na moment. Potem znowu zaczynała targać postronki sieci. Przecież to nie ma sensu, pomyślała Helena. Wszyscy siebie zjadamy. Piramida ludojadów. Egzystencja karmiąca się śmiercią. Życie pożera śmierć, śmierć pożera życie. Czy to dobry Bóg wyznaczył nam taką drogę do świętości.

Westchnęła, odeszła od okna i wtedy zobaczyła jedną z kartek przybitych gwoździkiem szewskim do szerniałej ściany.

Ja Polski nie lubię, czytała, dlatego że nie ma w niej nic do lubienia. Ale, jak mi się zdaje, i nienawidzić jej też nigdy nie będę, bo na nienawiść z naszej strony i nie zasługuje, i nie jest jej warta.

Podeszła do następnej kartki, ujęła ją za opadający róg i przybliżyła do oczu.

Słabą stroną Polski jest jej narodowość, a ponieważ Polacy są narodem wiatrogłowych, wystarczy im jeno mówić o narodowości: grając umiejętnie na tej ich strunie Napoleon potrafił ich poprowadzić na kraj świata, na noże.

Nie królów, ale poddanych grzechy gubią narody...

Tak, to było pismo ojca. To ojciec wypisywał te straszne myśli z dzieł pisarzy rosyjskich, polskich, litewskich. Ileż to już lat schną te białe liście jak z pogrzebowego wieńca.

Wolno tedy było zrywać sejmiki i sejmy bezkarnie. I daleko było bezpieczniej zerwać sejm niżeli sejmik, bo sejm, jako z wyboru osób złożony, zachowywał cośkolwiek skromności... Sejmiki zaś pospolicie odprawiane tumultem, przemocą i po pijanemu, nieraz zrywającego, a nawet i przeczącego większemu zdaniu na szablach rozniosły, chyba że z dobranymi pomocnikami dopadł do kancelarii, podpisał manifest i nim się za nim z koła sejmikowego drużyna pijanych wysypała, zdążył uciec z miejsca sejmiku. Wtenczas dopiero, zobaczywszy manifest, wszyscy jednostajnie osądzili, że nie można dalej sejmikować bez zgwałcenia prawa wolnego „nie pozwalam”, które pospolicie nazywano pupilla libertatis, żrenica wolności. A jeżeli kontradycenta doszli, zrąbali lub też na śmierć zabili, nim zaniósł manifest, ta pupilla libertatis miała być zdrowa i cała, choć szablami pokrajana albo z okiem ze łba wycięta.

Gdzieś daleko podnosił się rozpaczliwy krzyk ptaków. Helena spojrzała znowu w okno. Za przyprószoną pyłem szybą widać było, jak nad lasem pojawiają się wielkie stada czarnych ptaków i niespokojnie, miotając się w różne strony, zniżając i podnosząc lot, uciekają przed czymś we wschodnią stronę nieba. Pewnie jastrzęb, pomyślała Helena i podeszła do bocznej ściany, gdzie na różnych wysokościach tkwiły żółte kartki z sentencjami ku pamięci albo ku przestrodze.

W domu możesz ich bić, jak chcesz, tylko przy gościach bądź z nimi grzeczny. Nie powiem, by byli żądni sławy, lecz żądni powodzenia. Nie stoją o to, by w domu być szczęśliwi, lecz by błyszczeć przed Europą. Polityczni Don Kichoci.

Smoleński (Kutuzow) jako zwycięzca wchodzi do Wilna. Polacy rzucają się na niego, całują kolana. Levez-vous, Messieurs – mówi im – noubliez donc pas, que vous etes de nouveau des Russes.

Helena dotyka struchlałego welonu matki. Przecież muszą tu być listy od matki do ojca, ta cała miłosna korespondencja... która w dawnych latach poprzedzała ceremoniał zaślubin, tę budzącą grozę uroczystość kupowania kota w worku od ślepego losu.

Jakżeż Polacy mogą nie wiedzieć, że Europa nie zająknie się nawet w ich sprawie i że Rosja poradzi sobie z nimi tak jak z buntem w Kołomnie.

Byłem u Radziwiłła, wojewody wileńskiego; błagałem, mówiłem: Jedź do Warszawy, zajmij się rządem! Cała Litwa twoja! Ratuj ojczyznę!!! Aż płakał, tak się rozczulił: Ja z torbą pójdę, powiedział, a niech ojczyzna będzie cała! Ale to nie idzie o ofiary z majątku lub narażanie życia, ale siedź w Warszawie i zajmij się rządem! Oto wiesz, com wycisnął na koniec? – Panie kochanku, ja będę w Warszawie rządził, a mnie pan Michał Rejten w Nalibokach wszystkie moje niedźwiedzie wybije.

Przecież ja powinnam to wszystko zedrzeć ze ścian i spalić w piecu, pomyślała Helena. Po co on się dręczy tyle lat. I co go bardziej morzy po nocach, pamięć matki czy pamięć rozćwiartowanego kraju.

Miasta w polskich guberniach – to samo co Rzym. Wszystko proch, wszystko wspomnienia, jednakże nie tak wymowne. Niczego od nich nie usłyszysz prócz nauki o tym, że naród bez charakteru i rząd bez praw, co zawsze idzie w parze, nie mogą mieć nadziei na przeżycie.

Chcąc sprawić przyjemność księciu, król cygański wyuczył kilka niedźwiedzi chodzić w zaprzęgu i ciągnąć za sobą powóz. Laufrem naprzód takiej niedźwiedziej szóstki był Cygan, stangretem małpy. Gdy tak niespodziewanie król cygański zajechał na dziedziniec zamku nieświeskiego, tak dalece był księżę zdziwiony i uradowany, że go po królewsku traktował i nadszkakiwał mówiąc: Panie kochanku, królu miłościwy, jesteś u mnie gościem, jakich u nikogo w świecie nie bywało, i przybyciem swoim zrobiłeś mi zaszczyt, godny chwały w potomne wieki!

Na środku ściany wisi dubeltówka, z którą ojciec chodzi na polowania, najchętniej wiosną i jesienią, ale często także zimą. Obie rury pełne kurzu, nadgryzione rdzą. Kiedy z nich ostatnio strzelił. Pewnie dwanaście lat temu, w tych gwałtownych miesiącach powstania. Później nosił ją z przyzwyczajenia, bo nie wypada szlachcicowi pokazywać się w lasach i na polu bez broni. A nie czyścił fuzji z jakiejś zemsty. Ale na kim mścił się ten stary człowiek. Dotknęła wyświeconej kolby. Spod lufy wylał jakiś żuczek o połyskliwych chitynowych skrzydełkach i płochliwie pomknął w czerń kąta. Źle to wszystko urządzone. Od obłoków aż do piekła, które jest w środku ziemi.

Wtedy gdzieś daleko, za siedmioma lasami i rzekami, odezwało się głuche dudnienie, jakby

armaty przejeżdżały kamiennym mostem. Zatrzymała się pośrodku pokoju. Męczą mnie omamy, pomyślała. Trzeba się śpieszyć, ojciec może wrócić lada chwila.

I dlatego było nam wszystkim tak dobrze, że gdyby nasza ojczyzna nie była tak słodką, że do niej Polak nigdy wzdychać nie przestanie, bylibyśmy o każdej innej zapomnieli. Bo Moskale umieją obowiązać, kiedy chcą, i dlatego cudzoziemcy do nich się garną, którzy przynajmniej tyle krzywdy narodowi, ile pociechy rządowi przynoszą.

Zasady sprawiedliwości politycznej przyjęte, aby przynajmniej zachować pozory, iż się obala prawa i burzy dzieło Napoleona, wymagały odbudowy państwa polskiego, które zajmowało w Europie przez tak długi czas miejsce spluwaczki albo przysłowiowego Makara, na którego wałą się wszystkie nieszczęścia.

A wiele to mamy przed oczyma przypadków, że dziad nie pozwalał na sejmach, aby ustanowiono podatki i pomnażano wojsko, aby się oprzeć Moskwie; a teraz taż sama Moskwa cały majątek zabrała, z którego małej części nie chciał poświęcić, a wnuki na całe życie są skazani flintę dźwigać w szeregach moskiewskich za to, że dziad nie chciał pozwolić, aby kilka jego poddanych lat kilka służyli Rzeczypospolitej. Tak to za zbrodnie dziadów i ojców niewinne syny i wnuki pokutują.

Spojrzała przypadkiem w okno i stanęła zdumiona. Nad lasem, po zachodniej stronie nieba, pojawiły się pierwsze od kilku dni chmury. Szły pośpiesznie i tuż nad ziemią jakimś wirowym ruchem, jak w walcu, jak obracane przez wiatr jesienne liście. Wreszcie będzie czym oddychać, pomyślała. Dlaczego nigdzie nie ma dagerotypu albo miniaturki mamy. Przecież przed ślubem jeździli do Wilna do tamtejszego dagerotypisty. Może ojciec zniszczył albo mama kazała włożyć do trumny.

Gdyby cesarz Polski nie podtrzymał, to na pewno załamałaby się i przygnietliby ją Żydzi, którzy zdążyli już zgarnąć w swoje ręce większą część handlu oraz fortunę niejednego ziemianina, czyli tym samym życie w państwie.

Ks. Hieronim był jednym z najbogatszych Radziwiłłów, a jako skąpy, powiększał jeszcze z dnia na dzień swój ogromny majątek. Nie żałował tylko pieniędzy na utrzymanie licznego wojska. Oprócz garnizonów miał 6000 porządnie umundurowanej i wyćwiczonej piechoty. Uważał się za udzielnego prawie monarchę. Żadnych rozkazów nie słuchał – ani hetmańskich, ani królewskich. Podatków żadnych nie płacił. „Mam – mówił – wojsko większe niż Rzeczpospolita, gotów jestem służyć nim ojczyźnie, dam je królowi, ale podatków żadnych nie zapłacę.” Zapozywano go wprawdzie, zapadały na niego wyroki, ale nie było ich egzekucji, bo któż by się ośmielił przyjść z egzekucją do człowieka, który miał nie tylko regularne wojsko, ale jeszcze kilka tysięcy kozaków nadwornych i strzelców.

Wobec Polaków należy być łagodnym w obejściu i twardym w wykonaniu. Podajcie Polakowi rękę, uprzejmie i grzecznie jego rękę ściskając, ściśnijcie ją tak, by poczuł waszą siłę.

Oni nie potrafią być wdzięcznymi, lecz tylko entuzjastami... Tak droga jest im dobra sława szlachetnych i walecznych, że jeno dla samych słów o waleczności i odwadze gotowi są wyleźć ze skóry. W teatrze każde górne zdanie, mające pozór bohaterskiego uczucia, przyjmowane jest oklaskami i ich cnoty są także teatralne... Zawsze zamienia słońce na fajerwerk.

Helena usiadła przy kantorku. Podniosła dach misternie rzezanego w drzewie domku szwajcarskiego. Na moment mignęło wewnątrz wyłożone zielonym aksamitem i odezwała się pozytywka grająca jakiegoś starego poloneza Ogińskiego. Helena otworzyła górną szufladę. Zobaczyła kilka żółkłych rachunków, trochę pokruszonego tytoniu i ziarnka grochu, pszenicy, jakichś traw pastewnych. Chryste Panie, dlaczego ja grzebię w tych żałosnych tajemnicach ojcowskich, pomyślała. Dlaczego mnie tak gnębi widmo matki, nieznanej i bliskiej, dawno umarłej i wciąż obecnej dla mnie i dla niego.

O, młodzi rodacy moi, ja już nie będę widział Polski, bom stary, ale wy, jeżeli jej doczekacie, pamiętajcie, co wam mówię: żadnemu takiemu, który by choć rok jeden Moskalowi służył, nie wiercie; czy to marszałek, czy to sędzia, czy to profesor, wypędźcie jego z waszej ziemi, bo nigdy z niego prawy Polak nie będzie, a jeżeli już go zostawicie, bądźcie pewni, że furtkę gotową zostawiacie nieprzyjacielowi.

Zgoda, że Polacy to ludzie bezmyślni, nie można jednak sobie wyobrazić, żeby cały naród szedł na śmierć z własnej woli, na nieuniknioną zagładę. Bo czegoż innego może oczekiwać Polska, która powstała przeciwko Rosji?

Oblęd religijny polegał na tym, że książe krajczy naprzód uwierzył w metempsychozę, a potem, jak niegdyś Włodzimierz Kijowski (zwany świętym), postanowił sobie wyszukać najlepszą religię. Wybór jego padł na judaizm. Zaczął się uczyć żargonu i języka hebrajskiego od sprowadzonych nauczycieli. Wkrótce oddalił z małym wyjątkiem całą służbę chrześcijańską, a dwór swój złożył z samych prawie Żydów. Żydzi mu służyli, Żydzi gospodarowali w jego dobrach. Głównym jego doradcą, kasjerem, wykonawcą jego poleceń był jakiś Żyd, Szymon. Co piątek zbierali się u księcia Żydzi na boruchy, na łokszyn, szczupaki i kugiel. Książe zachowywał najskrupulatniej szabasy i koszery. Na szabas siedział w łapserdaku z Orderem Świętego Huberta na szyi.

Za oknem pokazał się wiatr. Toczył po ziemi kłębki siana wyschniętego do ostatniej kropli wilgoci. Na stawach, w wolnej od rzęsy toni, zjawily się drobne zmarszczki. Ale powietrze ciągle jeszcze było duszne i ze szpar w ramach okiennych biło jeszcze gorąco jak z chlebowego pieca. Helena z uczuciem czezej przykrości wyciągała kolejne szuflady, w których nic nie było, w których nie znajdowała niczego szczególnego prócz jakichś marnych okruchów zapomnianej przeszłości. W jednej leżała czerwona wypłowiała wstążka, może od sukni albo kapelusza, płatki jakichś kwiatów zasuszonych z miłości albo może prędzej na lekarstwo do zaparzania przed zimowymi nocami. Nic po niej nie zostało, pomyślała. Nic prócz smutku, co wisi stale

w powietrzu już cudzych Małowidów i jeszcze nie naszej Bohini.

Czwarty pijak, z natury mało się różniący od szalonego, a po pijanemu wcale szalony – Karol książę Radziwiłł wojewoda wileński. Małachowski zabijał ludzi winem, jako się opisało wyżej: Radziwiłł zabijał orężem. Nic to było u niego strzelić w łeb człowiekowi jak psu, lecz takie przypadki można poczytać za ordynaryjne w domu i familii Radziwiłłów. Tak robili stryjowie i bracia jego, wyjąwszy ojca, hetmana wielkiego litewskiego, który tak trzeźwy, jak pijany był bardzo powolnej natury, zabójstwa więc w pijaństwie popełniane, nie jemu samemu właściwe, nie dystygnowały go. Ale się dystygnował najszkaradniejszymi akcjami, publicznie w największej kompanii po pijanemu pełnionymi. Mazał się przyrodzeniem i kazał dawać ognia na pochowanie Radziwiłła jakoby zrodzonego i zmarłego (jaśniej tego tłumaczyć nie mogę przez wzgląd na uczciwość).

Tak, Polska dałaby się porąbać na kawałki, lecz nie zdradziłaby swego nieszczęścia.

Prócz tych świeżych przykładów ostatnich bezprawości magnatów naszych sływał u nas na Rusi okrucieństwem swoim Mikołaj Potocki, starosta kaniowski, który to 40 ludzi swoją ręką pozabijał. W Polsce starosta knyszyński, Czapski, tak był okrutny, że tych, których nie lubił albo winnymi sobie osądził, w beczkę nabitą bretnaglami wsadził i takie beczki dla swojej rozrywki przed sobą toczył kazał, na którym dla jego okrucieństw banicję zyskał Branicki, hetman, ażeby sąsiedni od Białegostoku Knyszyn trzymał. W Litwie Radziwiłł, chorąży litewski, w Białej mieszkający, który lubił słuchać jęczenia w dołach podziemnych swoich mniemanych winowajców, których najlepszymi swymi śpiewakami nazywał. Wszyscy ci okrutnicy w tym czasie żyli i powodem do rozebrania kraju tak nierządnego stali się.

Tę ostatnią kartkę zerwała ze ścianki kantorka i zaczęła ją gnieść w garści, patrząc w okno i nic nie widząc za oknem. Jeszcze raz podniosła dach domku szwajcarskiego. Znowu odezwał się ten polonez zwany chyba „Pożegnanie z ojczyzną”, wybrzdąkiwany na kostropatym walcu mosiężnym. Ojciec zaraz wróci. A niech wróci. Przyszła przecież po książkę, choć nigdy przedtem nie przychodziła tu po książkę. Może jednak kiedyś wpadała jako dziecko. Coś przypominam sobie jak przez mgłę. Długie biegnięcie przez amfiladę wysokich pokojów i na koniec ojciec przy biurku. Ale to było w Miłowidach.

Wzięła z półeczki Biblię z oddartym grzbietem. Otworzyła okładkę i zobaczyła na pierwszej stronie koślawe ołówkowe litery, które postawiła ćwierć wieku temu. Jestem strasznie zmęczona moim życiem, pomyślała. Moim pustym życiem, którym nawet kot by się nie zmęczył.

Spojrzała w okno. W alei poruszał się dziwnie jakiś wrzecionowaty cień. Ale to była Malwinka, która wracała spieszenie do domu z jakichś swoich leśnych wypraw. Świat za szybą poszarzał. Jednak ciągle jeszcze jasno. Był Piotruś Pieślak i przemiął. Potem może najwyżej parę jeszcze razy drgnęło serce przy dotyku męskiej ręki, kiedy przedstawiano jej dalekiego

sąsiada albo przejezdnego podróżnika. A teraz pan Aleksander Broel-Plater, który także znalazł się po drugiej stronie. I żadnej radości, i żadnego podniecenia, i żadnych oczekiwań. W najbliższą niedzielę odbędzie się zapowiedzi. Po cóż wspomniała Siemaszce, że chce się spowiadać. Najgorsza pora na spowiedź. Czy może być zły moment dla odpuszczenia przewinień.

Opuściła wzrok i zobaczyła rąbek żółtego pergaminu. Tak, pergaminu wydartego lekkomyślnie ze starej księgi. Wyciągnęła go spod wiązki na wpół zżartych przez rdzę kluczy, umieszczonych w przegródce kantorka. To była ta improwizacja pana Mickiewicza ze wsi Markucie, kiedy był on jeszcze młodym chłopcem źle mówiącym po polsku. Zaczęła czytać drobne, pochyle pismo i nie wiadomo czemu załzawiło się jej najpierw jedno oko, potem drugie, litery jeły się rozmazywać w mętności i ciepła łza bardzo głupio stoczyła się na policzek.

Jakaż to piękna dolina nad rzeczką, co nie ma jeszcze nazwy, ale kiedyś, może niedługo, znajdą dla niej kilka imion, bo tuż obok, ale tam wyżej, na tej piaszczystej terasie pobiegnie kolej żelazna, co dwie stolice imperium połączy ze światem zachodu, światem łaciny, światem wiecznej wrogości, a tymi drogami po bokach kolei i tej rzeczki, co ją widzimy w dole pomiędzy olszynami, jak skrada się ku miastu, w wesołych okrzykach chłopców łowiących ryby wśród jej wodorostów i wielkich kamieni zarytych w dnie, a zatem tędy będą przechodzić armie i tłumy uciekinierów, będą przewalać się powodzie i gwałtowne zarazy, okrutne pomory i stąd będą uciekać ludzie na koniec ziemi, do Ameryki czy Australii, poniosą tam nasze melodie szemrzące w muszlach uszu, powloką nasze niespokojne myśli i przywidzenia, potoczą głązy naszych grzechów oraz klątw rzuconych na nas przez gigantów, co opuścili kiedyś naszą planetę i nie wiadomo, czy żyją w mroźnych przestrzeniach międzygwiazdnych, czy nie zginęli dawno i tylko ich jęk tuła się w nicości i czasem do nas dochodzi, ale tylko my go słyszymy i rozumiemy, i tylko ci, co po nas przychodzą, przez nas zrodzeni i natchnieni, poeci, uczeni, wariaci i ten chłopiec, co pędzi krowę piaszczystą drogą wzdłuż kolei i zaraz przekroczy tory, zejdzie z krową na łąkę, może cudzą łąkę, z obwiązaną głową babską chustką, zawstydzony, przestraszony życia przed nim, dręczony przywidzeniami, i ten chłopiec, który wsadził teraz nogi w świeży krowiniec żeby się ogrzać, i ten wyrostek uczyni tę dolinę świętą i choć ona zginie, zniknie, szczególnie przywalona czasem i historią, to żyć będzie roznoszona po całej ziemi przez cząstki naszego ciała, przez komórki naszej pamięci, przez szczątki relikwii naszych wszystkich świętokradztw, co będą błaznić w nieskończoności nad nami.

Przed burzą panna Helena zdążyła jeszcze wykapać się w rzece. Już wszyscy wiedzieli, że nadciąga wielka burza: ludzie, zwierzęta, drzewa czekające na pierwsze uderzenie huraganu. Ale powietrze ciągle jeszcze dławilo, było ciężkie i sypiące iskrami.

Trochę popływała w dziwnie ciepłej, spokojnej wodzie. Po drugiej stronie stał nieruchomo las i tylko jakiś ptak latał niespokojnie nad konarami drzew tam i z powrotem, jakby szukając zgubionego pisklęcia wśród zastygłych gałęzi. Zdążyła też solidnie się namydlić i żal jej było tej białej piany, którą chciwie porywała woda i okręcając w drobnych wirach poniosła w stronę zakrętu, gdzie kończył się świat Bohini.

Potem ubierając się szybko, spoglądała z niepokojem w niebo na zachodzie, gdzie zza płytkiego horyzontu wywalały się ogromne fale czarnych chmur i robiło się coraz ciemniej, bo do tego wszystkiego zbliżał się wieczór.

Potem biegła co sił do domu, żeby zdążyć przed deszczem. Już szedł wiatr, ale zrazu nierówno, pojedynczymi zagonami, które kładły młodziutkie olszyny, a po drugiej stronie podnosiły z ziemi i rzucały przed siebie całe snopki zboża z nie zwiezionych kop. Ptaki uciekały nisko nad ziemią do nieznanych kryjówek, gdzie chowają się podczas burz, i ludzie biegli z pól ku zabudowaniom folwarcznym.

Potem błyskało coraz częściej, a właściwie zaczęło błyskać, kiedy pływała w rzece. Te wężyki niebieskawego światła przerywały granat nieba w milczeniu i można było pomyśleć, że to małanka, tak częsta podczas letnich dusznych nocy błyskawica bez grzmotu, jakiś zabłąkany refleks dalekiej burzy, co innym ludziom zabija zwierzęta na polach i zapala domy.

Potem jednak po którejś z tych niemych błyskawic zadudniło jakby spod ziemi i wreszcie w którymś momencie uderzył piorun gdzieś w stronie Miłowidów, tych ich Miłowidów nie widzianych od lat, unikanych od lat i zapominanych od lat.

Potem panna Helena, z zaschniętym zupełnie gardłem, nie mogąc złapać tchu, wpadła do parku rozbujanego jak morze. Stare drzewa o czarnych pniach ożyły teraz, szumiały, huczały przejmująco, czasem gdzieś pękła gałąź albo martwy pień jak niewielki piorun dla krasnoludków. I wtedy usłyszała rzadki łopot pierwszych kropli deszczu o liście parku, kropli wielkich jak wiśnie, wymieszanych z ogromnym gradem.

Potem wpadła do domu, do tego znanego i zadowolonego, choć jednak obcego wnętrza. Uderzyło w nią gorąco rozgrzanych ścian i upalnego powietrza, co stało bez ruchu w pokojach. Gdzieś ktoś krzyczał, koło domu tupotały czyjeś nogi, w oddali za zadeszczoną szybą galopował ciężko koń, który urwał się z uwięzi. I tak zaczęła się ta największa w jej życiu burza.

Przez uchylone drzwi zobaczyła, że ojciec stał przy oknie, a właściwie niedaleko okna, bo

chroniony jednak przez futrynę na wypadek pioruna zwykłego, co może przebić szybę, albo kulistego, co potrafi wyskoczyć nie wiadomo skąd, porazić domowników i zniknąć nie wiadomo gdzie. Ojciec patrzy za okno, na pociemniały i poszarzały świat, na mały świat Bohini, do której zbliżał się naprawdę koniec świata.

Helena weszła, po chwili wahania, do gabinetu ojca. Pan Michał nie zdziwił się, przyjął naturalnie ten odruch córki w osobliwej chwili. Błyskawice rozjaśniały to wnętrze z okropnymi kartami na ścianach, do których warto strzelać z pistoletów, ten kantorek z resztką dogorywających interesów dzierżawcy-jałmużnika i ten strzęp welonu, pamiątkę po matce, której może nigdy nie było.

– Przepraszam, papo, że weszłam – powiedziała, trochę drżąc z emocji. – Boję się sama zostać w pokoju.

Ojciec nie odwracając się, pokiwał głową. Patrzył przed siebie w to gołe okno i czekał. Ale już tam pośrodku lasu podnosiła się z wolna różowa luna. Gdzieś palił się jakiś zaścianek albo umierający smolisty las.

Za sobą usłyszeli zawodzący głos. To Emilka z obrazem świętym w rękach chodziła od okna do okna, żegnając rozszalały żywioł, a za nią szedł Antoni Sieniuc, ten pomocnik kowala, i przyświecał jej gromnicą, wstydząc się wyraźnie i krępując czynić znak krzyża zapaloną świecą woskową, grubą jak przegub ręki.

Ojciec i córka stali nie patrząc na siebie. Powoli ogarniał ich strach, jakiś paniczny, zwierzęcy lęk przed nieznanymi siłami natury, ogromne przerażenie przed gniewem Bożym. Sama nie wiedziała, kiedy zaczęła się modlić, pruszając bezgłośnie wargami. Ojciec również pochylił głowę i bił się w piersi.

– Ojczy – szepnęła w którymś momencie podczas nagłej ciszy między piorunami, kiedy tylko grad sypnął w szyby i gdzieś na strychu huknęła jakaś blacha. – Papo, ja dziś weszłam do twojego gabinetu bez pozwolenia. Ja szukam mamy. Chciałabym wiedzieć, jaka ona była i jaka ja będę. Papo, nie gniewaj się, ja nie wiem, jak żyć. Czy tak jak żyję, to dobrze. Papo, dlaczego ty milczysz.

Wtedy wydało jej się, że ojciec podniósł dłoń do oczu i chciał spędzić coś z powieki, zabłąkaną bożą krówkę albo ość z żytniego kłosa. Ale nic nie powiedział.

Nagle zobaczyła go jak w błysku magnezji, przeźroczystego, na upiornym przeźroczystym tle ściany i wydało jej się w ułamku sekundy, że oślepla. Lecz w tym samym momencie ujrzała w ciemniejącym gwałtownie świetle za oknem wybuchającą pochodnię ognia. To piorun rozdarł wielki klon po drugiej stronie stawów i z wnętrza starego drzewa wstawał słup trupiego seledynowego płomienia.

Sama nie wiedziała, w którym momencie uczyniła te dwa małe kroki i objęła ojca. Poczula pod płótnem kurtki twarde ścięgna i suche kości.

– Papo, ja tak się boję – szepnęła.

Ale on stał nieruchomo, choć czuła, że się waha, że jakieś raptowne uczucia, których nie umie sobie objaśnić, dławiają mu gardło, miażdżą żebra po tej stronie, gdzie jest serce. Stała tak chwilę przy nim czekając na jakiś gest i on czekał uwięziony w swoim uporze. Szkoda tego drzewa, pomyślała, żeby siebie pocieszyć, i zaczęła powoli odchodzić w stronę drzwi.

A ja błędzę za moją babką, Heleną Konwicką, po tych ustroniach, pustkowiach, uroczyskach nad Wilią pod koniec dziewiętnastego wieku. Całe życie skradałem się w wyobraźni za ojcem, chciałem zobaczyć jego żywot, pragnąłem poznać jego tajemnicę, którą zdołał ukryć przede mną i zabrać do grobu, do tej mogiły na cmentarzu górującym na rozległym wzniesieniu nad Nową Wilejką, miasteczkiem nie za dużym, w którym się kiedyś urodziłem, a które dziś nazywa się Naujoi Vilnia i jest dzielnicą stolicy Litwy, Wilniusa. A mogiła ojca jest na pewno zapomniana, może zapadła się i zrównała z ziemią, może już tam w prochach mego ojca leży ktoś inny. Ale duch ojca być może spogląda z wyżyn tego wzniesienia na rzekę, rzeczkę Wilenkę, która zakosami, meandrami, w kapryśnych zwrotach, wśród piaszczystych, złotych urwisk gna, pędzi, leci przed siebie pomiędzy olszynami, usuwającymi się sosnami, dąbrowami raptownymi, co wspinają się ku niebu. Spogląda na rzekę, której brzegiem już nigdy nie pójde.

Ale przecież mój ojciec był chrzczony w Bujwidzach i to jedno jest pewne w jego skąpym życiorysie, i dlatego przebijam się przez mroki zapomnienia, przez mgły niemożności, przez tumany raptownych bólów pamięci, żeby dobrać do mojej babki, Heleny Konwickiej, żeby pobyć u niej, przy niej, w jej duszy choćby kilka tygodni lata i początku jesieni tego roku, kiedy został poczęty mój ojciec. Dawno wybierałem się w tę podróż, choć nie jest ona dla mnie trudna, bo ja w tych ostatnich dziesięcioleciach dziewiętnastego wieku tam bywałem, żyłem owym czasem, oddychałem jego powietrzem. Bo dziewiętnasty wiek trwał w tamtejszych ostępach, bezludnych wyspach środkowej Europy, aż do drugiej wojny światowej. I jednego dnia zimowego, jakby zobaczywszy w swoim marszu coś ostatecznego za horyzontem, zawróciłem nagle i pozeglowałem z dziwną łatwością ponad górami i dolinami do Bujwidz nad Wilią sprzed stu dziesięciu lat.

A po drodze zobaczyłem innych wędrowców, co tak jak ja wracają w głąb historii, w płytką niszę osiemnastego i dziewiętnastego wieku, żeby otruć się straszną prawdą albo znaleźć pełne ckliwości fałszywe pocieszenie. Ale ja nie szukam pocieszenia i nie potrzebna mi jest prawda, bo ja ją sam tworzę. Lepszą czy gorszą, mniej czy bardziej wiarygodną, ja ją sam układam z zapamiętań, z wyobraźni i z jakichś tęsknot oraz przeczuć, żeby zostawić za sobą i po sobie nagrobek, mały pomniczek z polnego kamienia, który rozsypie się w proch pewnej jesieni albo wiosny i zniknie na zawsze jak mogiła mego ojca, ale ja kuję ten kamień, rzeżam w nim litery i znaki, przytykam usta i w tę martwość usiłuję tchnąć ducha, co mógłby być nieśmiertelny, ale przecież jest śmiertelny, tylko śmiertelny. Gdzież jest moja babka, moja stworzona przeze mnie

babka, Helena Konwicka, która razem ze mną przeżyje swoją miłość i razem ze mną któregoś dnia umrze.

Burza powoli cichła. Pioruny szły już gdzieś za Wilią, a nad Bohinią przetaczały się bez pośpiechu dobrodusze grzmoty, poprzedzane z daleka łagodnymi błyskawicami. Helena wróciła do swego pokoju. Chciała zapalić lampę, jęła szukać zapalek, które powinny leżeć na stole. Ale w tym momencie uświadomiła sobie, że Konstanty nie zamknął okiennic. Burza zapędziła gdzieś w mysią dziurę wiekowego stangreta. I jej okno aż do rana pozostanie bezbronne. Ruszyła bezmyślnie do tego odrobinę jaśniejszego prostokąta, ale nagły strach zatrzymał ją pośrodku pokoju. Czego się tu bać, pomyślała. Kto wyjdzie na dwór w taką nawałnicę. Chyba tylko jeden Schickelgruber, jeśli naprawdę istnieje.

Rzęsisty deszcz sypał kroplami w małe szybki, które brzęczały pokornie. Westchnęła i zaczęła się bez ochoty rozbierać. Zdjęła bluzkę, jęła odpinać spódnicę, kiedy zdało jej się, że coś ciemnego mignęło za oknem. Poczowała raptem ciarki na plecach i na gołych ramionach. Pewnie mi się przywidziało, pomyślała. Straszny dzień. Ale coś znowu zamajaczyło. Jakby skulona głowa i podniesione instynktownie barki. Mimo woli cofnęła się tyłem w stronę drzwi, gotowa w każdej chwili krzyknąć, choć deszcz i rzadkie, ale przeciągłe grzmoty pewnie by jej krzyk zagłuszyły.

Wtedy ktoś zastukał w szybę. Chciała się rzucić na oślep w głąb czarnego korytarzyka, który prowadził do sieni, ale to stukanie powtórzyło się i nie było wcale natrętne. Jakaś ręka jednostajnie pukała niemocno w środkową szybę okna. Zobaczyła chwiejącą się postać, usiłującą bezskutecznie zajrzeć w głąb pokoju. Zabiło jej gwałtownie serce, bo odgadła przybysza.

– Kto tam? – spytała, z trudem przełykając ślinę. – Kto badzia się po nocy?

– To ja. Proszę mnie wpuścić – usłyszała w szumie deszczu roztopiający się głos męski.

– Ale kto stuka? – spytała jeszcze raz, choć już poznała tego nocnego tułacza.

– To ja. Elias Szyra – przyklepił nos i usta do mokrej szyby. Podeszła do okna i uniosła rękę, jakby chciała sprawdzić, czy ma mokre włosy.

– Na litość boską, proszę mnie wpuścić, bo się tu utopię – wołał za szybą.

Wahała się chwilę, patrząc z rozterką po ścianach pokoju. Potem szepnęła, wyraźnie poruszając wargami, żeby mógł poznać, co mówi, jeśli w ogóle dostrzega rysy jej twarzy.

– Idź tam, w prawo, koło kuchni są drzwi, wejdź do sionki i czekaj.

On kiwał głową, że rozumie, więc na palcach, cała zamieniona w słuch, ciągle przystającą w popłochu, przebiegła dużą sień i korytarzykiem dostała się do tego pomieszczenia, skąd rozchodziły się drzwi do kuchni, spiżarni i alkierzyka Emilii.

Staną bosymi stopami na klepisku glinianym podłogi i żeby uciszyć serce, przyłożyła dłoń do gorsetu, i nagle stwierdziła, że jest bez bluzki. Ale było już za późno na ucieczkę. On stał na

tle nie domkniętych drzwi – Zamknij oczy – powiedziała – bo jestem nie ubrana.

– Ja i tak nic nie widzę – szepnął konspiracyjnie. – Gałęzie wybiły mi oczy. Uciekałem przed burzą przez las.

– Idź za mną – powiedziała półgłosem.

– Ale ja nic nie widzę. Dokąd mam iść?

Znowu zawahała się przez moment, ale raptem na powrót stała się rzeczowa i rezolutna. Jeden z ostatnich piorunów uderzył niedaleko w rzekę i jutro chłopcy folwarczni znajdą krzemień, z którego będą jesienią krzesać iskry na ognisko.

– Daj rękę – rozkazała.

Szukali się chwilę w ciemności. Wreszcie napotkała jego rękę ociekającą wodą deszczową, rękę dziwnie gorącą. Poprowadziła go ostrożnie, ciągle psykając, do swego pokoju. Co ja robię, myślała. Do czego to doprowadzi.

– A do czegoż to miałyby doprowadzić – szepnęła dumnie do siebie.

On z nawyku siadł już przy stole i wstrząsał się od czasu do czasu z zimna. Helena wymacała na brzegu łóżka chustę z długimi frędzlami jak kłosa pszenicy. Okryła nią nagie ramiona i poczuła się rażniej.

– Co się stało? Skąd się tu znalazłeś?

– Och – szepnął walcząc z jakimiś spazmami – wracałem z Sobakińców i złapała mnie ta potworna burza. Tu miałem najbliżej. Wiedziałem, że mi pani nie odmówi schronienia.

– A skąd wiedziałeś?

– Nie wiem sam, skąd wiedziałem, ale wiedziałem.

– Jesteś okropnie przemoczony.

– Jestem okropnie przemoczony.

– Ale ja nie mam żadnych męskich ubiorów.

– Nic nie szkodzi. Zaraz wyschnę. Ja mam gorącą krew. Zabrzmiało to jakoś nieprzyjemnie i panna Helena umilkła, siadła bezradnie na brzegu swego łóżka. Spojrzała bezmyślnie w widmo okna.

– Wszędzie pożary – szepnęła. – Cały horyzont czerwony.

– To noc Schickelgrubera. On lubi palić ludzi. Najlepiej Żydów. Mówił to trochę lekkim tonem i, nie widząc jego twarzy, nie wiedziała, czy traktować go poważnie.

– A ty wierzysz w te bajki?

– W bajkach ludu jest zawsze jakaś prawda.

– Ale tobą wstrząsają dreszcze.

– Tak – szepnął pokornie – wstrząsają mną dreszcze, choć staram się nad nimi zapanować.

Wstała bezwiednie i podeszła do krzesła, gdzie siedział. Jakby wbrew sobie wyciągnęła rękę, dotknęła jego głowy, która zwykle wyglądała jak płomień ze smolnej szczapy.

– Masz zupełnie moką głowę.

– Tak, mam zupełnie moką głowę.

– Ty mnie przedrzeźniasz.

– Nie miałbym śmiałości. Tylko nie wiem, co powiedzieć. A rzeczywiście zmokłem do ostatniej nitki.

– Niedobrze, że wprowadziłam cię do swego pokoju.

– Nic nie mówię, bo boję się mówić.

– Źle zrobiłam.

I poczuła nagle ze zgrozą, że i ona dygoce. Jaki chłód po tej burzy, pomyślała. Dobrze, że zboże zwiezione. Co za głupie myśli przychodzą mi do głowy.

Spostrzegła się, że stoi przy nim. Za oknem, za ścianą szumiał jak rzeka deszcz, który zwiastował jesień. Chciała wrócić do łóżka, ale on raptem przytrzymał ją za rękę.

– Proszę nie odchodzić – szepnął.

Zamarła ze zgrozy. Nie wyrwała w porę ręki. To może być zachętą, pomyślała w głębi tego ogromnego szumu, co wypełniał cały pokój i ich oboje. Jestem taka zmęczona, westchnęła jakby na usprawiedliwienie.

Wtedy on podniósł się z krzesła, stanął tuż obok niej, i biło od niego jakieś mokre gorąco. Ja dygocę, pomyślała z rozpaczą. Chciała wyszarpnąć dłoń z jego ręki, ale potknęła się o nogę stołu i raptem oparła się piersiami o jego pierś, a może on się znalazł tak blisko i poczuła raptem jego strasznie parzące, zupełnie jak pokrzywa parzące usta gdzieś na policzku. Chciała umknąć twarzą w bok, ale on przytrzymał ręką jej głowę i zupełnie bez trudu trafił swoimi wargami na jej usta. Szarpnęła się raz, drugi, ale trochę zakreśliło się jej w głowie, więc zaprzestała na moment oporu, żeby nie upaść. Jezu Chryste, co się stało, myślała z rozpaczą, zapadając się w jakieś straszne i pociągające odrętwienie.

– Co ty wyrabiasz? – usiłowała szeptać.

– To nic. To dobrze. Tak trzeba – domyślała się jego głosu.

– Nie wolno. Idź stąd. I nigdy nie wracaj.

– Ja do ciebie wróciłem z końca świata. Z tamtego świata.

– Nie, nie, Boże...

– Już za późno.

Poczuła nagle, że drugą rękę, strasznie gorącą i drżącą, zanurza pod chustę, dotyka jej szyi, obojczyka, skrada się do piersi. Wtedy w nagłym przypiływie sił wyrwała z uścisku prawą rękę i walnęła go na odlew w twarz. Potem drugi raz i trzeci już zupełnie niemocno, bo on ją puścił, stał bez ruchu niczym drzewo.

– Jak ty śmiałeś, ty Żydziaku – powiedziała z wściekłością. On trwał bez ruchu i nic nie mówił.

– Wynoś się w tej chwili – dodała bez przekonania.

– Proszę nie podnosić głosu, bo ktoś usłyszy – szepnął z ciemności i nie wiedziała, czy kpi, czy mówi serio. Dygotała jednostajnym dygotem i to ją coraz bardziej wytrącało z równowagi. Jeszcze usłyszy, że mi dzwonią zęby, pomyślała gniewnie.

Wróciła do łóżka, siadła na brzegu, okrywając się szczelnie chustą. On ciągle milczał. Deszcz trochę osłabł. Od czasu do czasu zajaśniała mdła odległa błyskawica. Ze wszystkich kątów wylaziła z powrotem ta okropna wiejska cisza. On nie ruszał się i podobny był do smukłej smugi cienia na ścianie, za którą odezwał się cichutko stary zegar. Może on umarł na stojąco, pomyślała bez sensu.

– Dlaczego nie przychodziłeś na lekcje? – powiedziała, żałując, że to mówi.

Eliasz zbliżył się wyciągnawszy ręce przed siebie, jakby w obawie, że potrąci niewidoczny sprzęt.

– Bardzo przepraszam. Mam tu pewne obowiązki. Musiałem jeździć, a właściwie chodzić po okolicy.

I ostrożnie siadł obok niej na łóżku. Mimowolnie zamierzyła się otwartą dłonią.

– Czy ty naprawdę zwariowałaś? – krzyknęła.

Podniósł się posłusznie i stał obok niej, prawie dotykając swoimi mokrymi kolanami jej kolan pod cienką halką.

– Cśś, bądź cicho. Ktoś nas jeszcze usłyszy.

– Skąd ty masz tyle śmiałości?

– Nauczyłem się w życiu.

I znowu cicho, prawie bezszelestnie usiadł obok niej. Udała, że nie zauważa jego ruchu.

– Pamiętam z dawnych lat, jak przyjeżdżałaś z ojcem wspaniałym powozem jeszcze z Miłowid do kościoła w Bujwidzach. Zawsze byłaś ubrana w białą sukienkę, albo później we wspomnieniach, w pamięci włóczęgi, ubrałem cię w białą suknię z różową wstążką u pasa. Czy dobrze pamiętam, powiedz?

– Ach, skądże. Przyjeżdżałam do kościoła w różnych sukniach. Zimą nawet w wielkim bobrowym futrze.

Bardzo delikatnie ujął jej dłoń w ciemnościach. Uczynił to tak lekko, że poczuła właściwie tylko suche ciepło. Chciała wyrwać rękę, ale nie zrobiła tego w odpowiednim momencie i teraz zamierzony gest wydawał się już jakoś śmieszny, a nawet niestosowny. Wstrzymawszy oddech czekała nie wiadomo na co.

– Nie broń się przede mną – powiedział cicho.

– A jeśli zacznę krzyczeć, zawołam służbę, ojca?

– To nic nie pomoże.

– Skąd jesteś taki pewny?

– Idę do ciebie prawie dwanaście lat. Wtedy z Symbirska przez Petersburg uciekłem francuskim statkiem do Francji. No i trafiłem w Paryżu na rewolucję, bo to akurat był początek lata 1871. Walczyłem pod komendą Wróblewskiego, a kiedy Komuna upadła, trzeba było się ukrywać. Straszna tłuszcza szalała po ulicach Paryża, szukając zemsty na obcych, szczególnie na Polakach. Ja prawie nie znałem języka, więc złapano mnie któregoś wieczora i powieszono na drzewie w Ogrodzie Luksemburskim.

Zamilkł, odwrócił głowę w stronę okna i patrzył pewnie w majaczące mdłą poświatą okno. Chciała się zaśmiać, ale tylko odchrząknęła cicho.

– Powiesili ciebie Francuzi?

– Tak, ale ze mną niełatwo. Urwałem się ze sznura i ten sam chciwy krwi motłoch puścił mnie z życiem.

– Słuchaj, ty strasznie zmyślasz. Po co to robisz, kto ci uwierzy w te bajdy?

– Ja tego nikomu nigdy nie mówię. I panią proszę o dyskrecję. Jaka to różnica teraz, tutaj, w środku nocy, za górami, za lasami, jaka to różnica, czy mówię prawdę, czy łżę?

– Ach, Boże, jak to się wszystko zaplątało – westchnęła.

– Nie, tak musiało być. To jest zapisane tam, w górze.

– Niemożliwe, żeby było zapisane. Nikt nigdy nie słyszał o takim zdarzeniu.

– Przecież ja mógłbym i ten dom, i panią wziąć gwałtem.

– Co ty pleciesz? Co ci przychodzi do głowy? Ścisnął delikatnie jej palce.

– Proszę się nie obawiać. Ja za bardzo panią kocham.

– Nic nie słyszę, nie rozumiem, co mówisz – szepnęła rozpaczliwie. On zamilkł i nie czuła nawet jego oddechu. Teraz w ciemności wydawał się jej kimś innym, zupełnie nie znanym. Nie mogła sobie nawet w tym momencie przypomnieć jego wyglądu. Co ten obcy człowiek robi w mojej sypialni, pomyślała. Jak to się wszystko stało. Czym się to wszystko skończy.

– Niech pan idzie stąd – powiedziała stłumionym głosem. – Proszę odejść i nigdy nie wracać.

– Tego nie mogę obiecać. Przecież muszę dokończyć uczenia się alfabetu. Stanęliśmy na literze k – odparł dziwnie lekkim tonem i fakt ten wpędził ją w popłoch.

– Zapomnijmy o wszystkim – rzekła, wstając z łóżka, a nad nią zatrzęsł się ten idiotyczny, zetlały ze starości baldachim. On także podniósł głowę. – Wszystkiemu winna burza. Burza mija i wszystko inne minie. Niech pan idzie za mną. Tylko proszę cichutko, na palcach, bo ojciec mój ma lekki sen.

Przytrzymał ją niemocno za rękę.

– Mogę przyjść jutro na lekcję?

Zawahala się, przystanąła w milczeniu, słuchając pośpiesznego bicia serca, swego albo może jego.

– No, niech pan przyjdzie. Ale do niedzieli skończymy tę naukę. Potem musi pan sobie sam radzić.

Podniósł w ciemności jej rękę i dotknął gorącymi ustami. Chciała mu ją wyszarpnąć, lecz pomyślała sobie, że tego byłoby za dużo. Tyle kilometrów pójdzie w deszczu po nocy. Ale to już jego sprawa.

Ruszyła energicznie w stronę korytarza. Wyszli do wielkiej sieni, potem do tej małej przy kuchni. On stąpał za nią tak cicho, że parę razy musiała się obejrzeć, żeby sprawdzić, czy idzie za nią.

Otworzyła drzwi, które na szczęście nie skrzypnęły, i ustąpiła mu z drogi. Nic nie powiem, myślała. Tak będzie lepiej.

On wstrząsnął się na widok gęstego jeszcze deszczu, który szamotał się z krzakami dzikiego bzu. Wyszedł na schodki z polnego kamienia, odwrócił się i patrzył na nią długą chwilę bez słowa.

– Ja się nie dam przepędzić – szepnął, a potem nagle ruszył energicznie przed siebie i od razu zniknął w nocy.

To chyba jakiś zły sen, pomyślała. Obudziłam się ze strasznych majaków nocnych. Trzeba skończyć z taką dwuznaczną filantropią. Pójdę do spowiedzi, a od przyszłego tygodnia... a od przyszłego tygodnia trzeba zacząć myśleć o nowym życiu, o przyszłym życiu.

Wtedy jęknęły cichutko drzwi obok. Emilka, gorąca jeszcze od snu, pokazała się na progu w samej koszuli.

– Poszedł? – szepnęła.

– Kto? – spytała zmieszana Helena. – Ach tak, poszedł.

– To i chwała Bogu.

– Strasznie pioruny waliły – powiedziała cicho Helena. – To nie po chrześcijańsku pozwolić ludziom błądzić po lesie.

Emilka pomilczała chwilę.

– Śpij, panienko, spokojnie – rzekła wreszcie.

– I tobie życzę spokoju.

Niedługo będzie szarzyć.

Tak, zaraz będziemy wstawać. Stracona noc.

I nie wiadomo czemu podbiegła do Emilki, ucałowała ją w policzek z odcisniętym śladem po guziku poduszki albo czyjejs koszuli i pobiegła korytarzykiem do swego pokoju.

Nazajutrz przy śniadaniu ojciec spoglądał pytająco na córkę, a potem marszczył czoło i pochylał się nad talerzem. W bohińskim dworze nie pijano na śniadanie prawdziwych kaw, ani nie jadano świeżych rogalików. I dlatego pan Michał chylił głowę nad talerzem, nad talerzem pełnym zacierek gryczanych na mleku. Ale Helena odwracała wzrok, zrazu jakby ze zmieszaniem, później jednak z irytacją. Bo jakiś gniew ją powoli ogarniał, niezadowolenie z siebie i pretensja do ojca, a właściwie do jego dziwactw niby szlacheckich, lecz w końcu uciążliwych przecież dla otoczenia. Może się wreszcie odezwie, pomyślała. Niech wreszcie powie mi, kim była matka, dlaczego umarła obok mnie nowo narodzonej i czemu kazała się pochować przy drodze jak włóczęga albo samobójca. Ach, to ta noc i ta straszna nawałnica. Dlatego jestem rozdrażniona. Dostyc tych fochów, robota czeka.

Wstała od stołu, opasała się wielkim płóciennym fartuchem, ruszyła do porannych zajęć. Ojciec jeszcze jakiś czas chrząkał, chodząc jej śladem, widać było, że jest czymś stropiony i poddaje się zagniewaniu córki, bo tym razem ona w milczącym pojedynku trwającym tyle lat brała górę.

Dzień po burzy był prawie chłodny. Niebo wyczyściło się i biegły po nim białe pulchne obłoki, dziwnie wesołe i ruchliwe. Bocian, zwany Maciejem, nie dolatywał do swego gniazda na grzbiecie dachu, siadał na którymś z usychających drzew starego parku i tam marudził, składając i rozkładając skrzydła, czyszcząc dziobem pióra i przestępując z nogi na nogę. Malwinka, która nie wiadomo gdzie spędziła noc, pewnie z Konstantym w jakiejś odrynie, teraz pasła się z godnością nad stawami.

Panna Helena nie mogła się jednak uspokoić przy swoich zwyczajnych zajęciach. Co to za nachalny naród ci Żydzi, myślała spoglądając machinalnie w głąb ciemnej alejki wiodącej na gościniec. Żydzi są niemożliwi. I wśród rewolucjonistów ich pełno, i między szpiclami od nich gęsto. I wywołują pożar, i sami go gaszą. I budują wieżę Babel, i zaraz ją kruszą. Jak to dobrze, że znalazłam się stanowczo. Do czego to dochodzi w dzisiejszych czasach. Czy dawniej byłoby do pomyślenia, żeby jakiś Żyd wlaźł po nocy do dworu, do niewieścich sypialń.

Powoli mijały poranne godziny, słońce szło coraz wyżej i zbliżało się bez pośpiechu do tego miejsca nad aleją, które oznaczało południe. Panna Helena pracowała dzisiaj z zapalczywością i całe szczęście, że nikt się jakoś nie nawinał jej pod rękę. Ale w końcu zobaczyła Konstantego, który z kosą na ramieniu szedł gdzieś kosić otawę dla swoich ulubionych koników.

– Konstanty! – krzyknęła Helena z ganku. – Proszę założyć do bryczki. Może do Bujwidz do sklepu pojedę!

I nowa fala gniewu ogarnęła ją w tej chwili, bo po co się tłumaczy staremu dziadowi z tego

wyjazdu. Konstanty zatrzymał się, pomyślał, przełożył kosę na drugie ramię i zawrócił na folwark.

– Niech zaprzęgnie konie, ale przecież i tak nie pojedę do Bujwidz. Po co miałabym jechać. Dla kogo robić zakupy.

Tu przypomniał się jej pan Plater i zrobiło jej się raptem zimno i duszno zarazem. Chryste Panie, pomyślała, co ja narobiłam. Po co było się godzić na ten kontrakt, tak, na taką transakcję. Kupuje mnie jak ochwaconą kobyłę. Oboje już nie jesteśmy najmłodszy, powiedział.

Chryste Panie.

Czy jest nicość. Czy może coś powstać z nicości. Czy my wszyscy powołani zostaliśmy z nicości. Zniknąć w nicości. Odpocząć. Przecież nie jestem zmęczona. Ale ogarnia mnie coraz cięższe znużenie. Co mnie czeka tu. Co mnie może czekać tam.

Przeżegnała się ukradkiem, próbowała szeptać „Anioł Pański”, bo w Bujwidzach na pewno teraz uderzył dzwon na półdzień. Ogromna chmara gawronów unosiła się nad polem u skraju lasu.

Wtedy zaterkotały koła i wytoczyła się z zarośli bryczka z Konstantym na koźle. Strzelał batem koło zadów końskich, ale żadnego nie przeciągnął po matowej skórze.

– Zaczekaj – powiedziała i ruszyła się przebrać.

Zdumionej Emilce powiedziała, że nie ma apetytu. Potem na ganku omal nie zderzyła się z ojcem, który wracał z tą swoją strzelbą na plecach, strzelbą nie użytą przez tyle lat.

Podjadę do Bujwidz do sklepu i zaraz wracam. Ojciec zachrzakał, ściągnął brwi, które zwisły mu groźnie nad jasnymi albo może już wyblakłymi oczami. Otworzył nawet usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale przecież i tym razem się nie odezwał. A ona, żeby jak najszybciej postawić na swoim, zbiegła ze schodków i wskoczyła do bryczki. – Ruszaj.

Konie skoczyły ochoczo i bryczka potoczyła się w stronę gościńca, gdzie skręcili w prawo, ku Bujwidzom, zadudnili kołami na mostku nad Uzlą i potem bryczka ucichła w mokrym piasku drogi.

– Przecież jadę sama dla siebie. Muszę zobaczyć jakichś innych ludzi, nowe ściany, choćby wiatru innego posłuchać. Ja tu zwariuję – mówiła szeptem do siebie.

Konstanty siedział na koźle trochę bokiem, jakby chciał być świadkiem tego monologu, ale on tak zawsze przecież siedział zwyczajem ludzi o przytępionym słuchu. Konie popierdywały wesoło, a wszędzie świeciły się złoto wielkie krople wilgoci pozawieszane na trawach, krzakach i nisko opuszczonych gałęziach drzew.

Ale jednak coś mogło mu się przytrafić. Po cóż ten Żyd włóczy się po nocy. Gdzie on chadza w tej dzikiej okolicy. Jakie interesy wypędzają go z domu, jeśli w ogóle posiada dom. Co mnie to wszystko obchodzi. Dlaczego dałam się wciągnąć w tę naukę. Chryste Panie, to się wszystko źle skończy.

W Bujwidzach Konstanty zatrzymał bryczkę przed sklepem „Złote jabłko” z towarami kolonialnymi i wszelkimi innymi. Panna Helena weszła na ganeczek, a potem do mrocznego wnętrza, ale mrocznego jakoś przyjemnie, bo na niebiesko, gdzie pachniało wszystkim: i śledziami, i mydłem, i rodzynekami, i świeżo wyprawioną skórą, i masłem, i naftą, a nawet jakąś nieokreśloną perfumą. Sklep był pusty, ale zaraz z wąskich drzwi wyszedł brodaty Żyd i broda jego od razu zapłonęła czerwono w jakimś sztychu słońca. Ukłonił się nisko.

– Moje uszanowanie pani dziedziczce. Czym można służyć panience?

– Chciałam zobaczyć tylko, czy u was otwarte.

– Dlaczego miałyby być zamknięte, jeśli szanowna panienka przyjeżdża z daleka?

Dobrze, znajdę później. Najpierw wpadnę na plebanię.

– Proszę bardzo, my czekamy na panienkę, u nas jest dużo czasu, trochę za dużo jak na ten interes. Ja przepraszam, że wiele mówię, ale czasu dużo, a ludzi mało.

Ze sklepu poszła przez pusty plac do kościoła. Chciała iść od razu do plebanii, ale coś ją pchnęło w stronę półotwartych drzwi kościelnych, z których wionęło leciutkie ciepło. To grube mury kościelne oddawały teraz nagromadzone przez tygodnie gorąco.

Weszła w mrok głównej nawy i musiała zmrużyć oczy, żeby cośkolwiek zobaczyć. Gdzieś wysoko nad jej głową zajadłe świergotały wróble. Jakaś jaskółka poleciała na ukos przez kościół i skryła się wśród barokowych aniołków ołtarza.

Wtedy Helena zobaczyła księdza Siemaszkę. W samej sutannie, bez komży i stuły, klęczał przed czarnym katafalkiem, na którym stała uboga, naznaczona czerwonymi sękami, prosta trumna z sosnowych desek. Ksiądz modlił się ze zniszczonego brewiarza, podnosząc często głowę i spoglądając na te harce ptaków pod sklepieniem naw.

I ona uklękła w pierwszym rzędzie ławek. Ksiądz dalej modlił się, pomrukując gorliwie w pewnych momentach, wreszcie założył kolorową wstążeczką jedną ze stron, ucałował brzeg książki i zamknął ją głośno jak wieko szkatuły. Potem odwrócił się bez zdziwienia, wstał ciężko z klęcznika, podszedł do Heleny.

– Niech będzie pochwalony... – szepnęła.

– Na wieki wieków.

– A któż to?

– To taka stara wiedźma, żebraczka. Przyszła tu za mną aż spod Mołodeczna, z Hołyszów. No i muszę ją pochować. A teraz modlę się za jej grzeszną duszę.

– Przyjechałam do sklepu, to i zaszłam do kościoła. A burza nie zrobiła szkody?

Zaczęli iść środkiem nawy w stronę drzwi. Na brzegach piszczalek organowych leżały smugi bardzo już złotego, prawdziwie jesienno słońca.

– Więcej szkody robi isprawnik. Widziałaś sama, jak połamał moje ule. Dziś o świcie znowu przyleciał jak nie przymierzając antychryst i zabrał tego młodego Żyda Szyrę, co jego rodziciele

do Ameryki pojechali na zawsze.

– Zabrał Żyda Szyrę? – zdziwiła się Helena. – A za cóż teraz aresztują Żydów?

Ksiądz rozejrzył się po kościele.

– On, powiadają, kiedyś był w powstaniu. A i teraz jakiś niespokojny. Całymi dniami gdzieś przepada, to wyjeżdża raptem, to wraca nieoczekiwanie. Mówią, że orużja szukali u niego.

Helena zatrzymała się przy drzwiach.

– A znaleźli przynajmniej? – spytała lekkim tonem.

– Pewnie nie znaleźli. Oni teraz w kwestii białoruskiej najbardziej nerwowi – rzekł poufnym tonem proboszcz. – Gdzie się nie obróć, wszędzie widzę oczy. Widzisz, dziecka, pod jaki ja popadł dozór na starość.

Odwrócił się w stronę ołtarza, uklęknął, żeby pożegnać się z Panem Bogiem. Przecież on nie wierzy w Boga, pomyślała z jakąś dziwną mściwością Helena. Przecież on nie wierzy w tego Pana Boga, któremu kazano mu służyć. Chryste Panie, jakie myśli przychodzą mi do głowy. Uklękła i zaczęła żegnać się skwapliwie jak starowierka. Nie zażegnasz strasznych wątpliwości, chichotało coś w niej jakimś okropnym dreszczem.

– Może ja i źle zrobiłem podburzając Białorusinów – westchnął ksiądz Siemaszko na schodach kościelnych. Zmrużył oczy za szklami okularów i dopiero teraz Helena spostrzegła, że te szkła są sine jak farbka do bielizny. – To nie dla kapłana sprawa politykować między ludźmi. Grzeszny ja, strasznie grzeszny. Po nocach spać nie mogę. Brewiarza to już odmówiłem tyle, że starczy do adwentu.

Szli chwilę w milczeniu i Helena spostrzegła, że kierują się w stronę plebanii. Przystanąła z rozterką i nie wiedziała, co powiedzieć.

– Tobie dobrze, ty jeszcze niewinna – westchnął proboszcz.

– Ach Boże, jak mnie dziś boli serce.

– Wejdz do domu, każę samowar zapalić.

– Nie, nie, dziękuję, muszę jechać.

– A gdzież ty, dziecka, tak się śpieszysz, przecież pośpiejesz.

– Nie, przepraszam, już muszę jechać – pochyliła się, żeby pocałować go w rękę. On uczynił nad nią mały znak krzyża i jeszcze żałośniej westchnął.

Ledwo wyszła na plac, kiedy rozległ się gwałtowny turkot kół i od strony Santoki, stacyjki kolejowej za wielkimi lasami, wytoczył się wolancik pana Platera. Hrabia zobaczył dziewczynę, która chciała się gwałtownie ukryć, ale nie miała gdzie na tym pustkowiu, więc hrabia spostrzegł narzeczoną i wskazał kierunek Ildefonsowi.

Zatrzymali się ze skrzypieniem eleganckiej czarnej upręży. Piękne konie przebierały niecierpliwie nogami.

– Co za niespodzianka! – pan Aleksander wyskoczył wesoło ze swego pojazdu. Witał się już

tak serdecznie na widoku publicznym jak z własną żoną.

– Byłam u księdza i w kościele, ale muszę wracać jak najszybciej, choć jestem rada, że spotkałam pana. A skąd to Bóg prowadzi? – spytała i uderzyło jej znowu jakoś nieprzyjemnie serce.

– Z Petersburga wracam, z zakupów – i uśmiechnął się tajemniczo. – No, ale o tem potem. Teraz zajadę do proboszcza, żeby dać formalnie na zapowiedzi. Ksiądz już wie i mam nadzieję, że popiera nasze zamiary. Może pani wstąpi ze mną, droga panno Heleno.

Strzelec Idefons bawił się jak zawsze z ponurą miną pięknym biczem, być może przywiezionym z samego Petersburga. Spoglądał koso na dziewczynę i widać było, że się niecierpliwi.

– To dla mnie krępujące – zarumieniła się Helena. – Panie Aleksandrze, czy nie zaczekać do zapustów?

– Klamka zapadła, moja śliczna panno Heleno – śmiał się Plater, a jej się zdawało, że ten jego śmiech jest jakby trochę nienaturalny i wyrozumowany. Dziwny pałac, dziwni hrabiowie, dziwne ich losy. I czy oni naprawdę są hrabiami, pomyślała. Mogłabym zostać hrabiną. A co mi tam!

– Niech pan będzie rozsądny – szepnęła grzecznie.

– Ja panią dogonię, prawda Udek? Załatwię interes na plebanii i zaraz panią dopędzimy.

Wskoczył do wolancika z nadmierną żywością.

– Nie żegnam się zatem.

Skręcili w stronę kościoła, a Helena prawie biegiem ruszyła do swojej bryczki. Konstany w chłodnym cieniu końcem bicza strącał gzy z końskich zadów.

– Wracamy, szybciotko, Konstany. On będzie nas gonić.

– Kto on? – spytał szyderczo Konstany. – Ten hrabia, co u Żydów zarabia? Niedoczekanie jego.

I ledwo zdążyła dopaść bryczki, bo już Konstany, nie żałując swoich ulubieńców, przyłożył im batem i z jednej, i z drugiej strony. Pomknęli jak charty gościńcem w stronę lasu. Konstany odwrócił się na koźle.

– On u mnie tak dogoni – i pokazał figę ułożoną ze strasznie powykręcanych przez artretyzm palców.

Gnali tak dobrych parę kilometrów, a potem stangret popuścił lejców, konie skwapliwie zwolniły, szła od nich siwa, rzadka para. Helenie zrobiło się zimno. Zagłębiła się w nieprzytulne wnętrze bryczki wyłożone łysawą skórą popękana w wielu miejscach. Konstany odwracał się co jakiś czas, patrzył na drogę za nimi i mruczał coś pod nosem.

Kiedy pokazał się mostek nad Uzłą, Helena powiedziała raptem:

– Jedź Konstany na Miłowidy. Starzec odwrócił się wstrząśnięty.

– Na Miłowidy?

– Tak. Przyszła mi ochota spojrzeć z daleka. To już tyle lat.

– Ot, fanaberia – westchnął Konstanty i klasnął językiem na konie, które z pewnym zdziwieniem minęły znajomą alejkę i ruszyły gościńcem, co się zaraz rozdwajał i prawa odnoga prowadziła do Miłowid, i dalej do Daugiel. Rychło przejechali obok tej anonimowej mogiły pod brzozowym krzyżem. Helena machinalnie przeżegnała się i od razu poczuła ból w sercu. Ileż razy w życiu będzie mijać tę bolesną tajemnicę okrytą darnią z bujną, gęstą trawą. Ktoś dba o ten grób. Tak, ojciec dba i pamięta. Wiele godzin spędza tutaj, krążąc niewidzialny po lesie, wśród krzaków, między paprociami wielkimi jak drzewa, obok jagodników dziwnych i przez nikogo nigdy nie nazwanych, krąży z fuzją na ramieniu, której lufa zarosła rdzą. Helena przeżegnała się jeszcze raz. Kiedyś poznam tę tajemnicę, jeśli ona w ogóle istnieje, pomyślała. A najprędzej przyśnię ją którejś zimowej nocy, gdy śnieg zasypie całą okolicę tak, że straci ona swoją topografię, swoje rysy i barwy.

Konstanty znowu popędził konie. Skądś ciągnęło już jesiennym chłodem, choć przyroda na nowo pozieleniała przez ubiegłą noc.

– Czy Konstanty był później kiedy w Miłowidach? – spytała. Rzucił gniewnie ramieniem.

– Nawet mimo nie przejeżdżał.

Tyle lat mieszkali obok swojej dawnej posiadłości i nigdy tam nie zajechali. Umarła dla nich, zapadła się w ziemię, szeszła.

I oto teraz konie same zatrzymały się na skraju lasu przed płytkim zakłębnięciem wypełnionym brzozowym laskiem, w którym na pewien czas ginęła droga, więc zatrzymali się na krawędzi rozpadliny i patrzyli na niewysokie wzgórze, z którego jak maczugi zielono-popielate sterczały w niebo włoskie topole, a gdzieś między nimi jaśniał, złocił się, błyszczał wielki i stary dwór w Miłowidach.

Helenie znowu zaczęło bić serce, wydało się jej, że wróciła na starość z dalekiej podróży i oto stoi nie znana nikomu, zapomniana przez wszystkich u wrót swego rodzinnego dworu.

– Pięknie położony – westchnął Konstanty. – To nie to, co ta Bohiń.

– Bohiń też ładna.

– Ach, pani – machnął z goryczą batem, który zaraz nałapał skądś pełno usychających już bodziaków.

Wtedy nieoczekiwanie z dołu, z tego zagajniczka brzozowego wyskoczyła linijka, a na niej zobaczyli dwóch mężczyzn, jednego umundurowanego, drugiego w cywilu.

Linijka rychło podjechała i stanęła przy bryczce. Na linijce siedział porozpinany trochę isprawnik Dżugaszwili i pan Puszkin, w szarym niskim cylinderku, odrobinę zaróżowiony. Na widok panny Heleny jakby się lekko zmieszał, skwapliwie zdjął cylinder,

– Gdzież to jedzie szanowna pani? – spytał jak zwykle po rosyjsku Dżugaszwili, choć już po

tylu latach biegle mówił po polsku.

– Wracam do domu – powiedziała z wymuszoną wesołością Helena.

– Taką okrężną drogą?

– W lesie łatwo zmylić drogę.

– A ja myślę, że odgadłem, kogo pani szuka.

– Kogóż mogłabym szukać?

– Może tego swego ucznia?

Helena czuła, że czerwienieje, ale jej kobiecy honor nie pozwalał odwrócić głowy.

– Mam niejednego ucznia. Za łaskawym pozwoleniem zwierzchności uczę w naszej okolicy młodsze i starsze dzieci.

Widziała przed sobą szarą, jakby zakurzoną twarz niemłodego Gruzina z ciemnymi dziobami. Patrzył na nią badawczym wzrokiem małych, trochę skośnych oczu.

– Wypuściłem tego Żyda z Bujwidz, choć może będę jeszcze żałować – powiedział przeciągle z tym swoim dziwnym kaukaskim akcentem. – Pan Korsakow złożył za niego poręczenie.

– Ach tak – powiedziała zmieszana i była zła za to swoje zmieszanie.

Pan Puszkina znowu zdjął cylinder, jakby chciał przewietrzyć swoje wełniste i kędzierzawe włosy. Spostrzegła, że od razu przyczepiła się do nich pierwsza nitka babiego lata.

– A ja wyjeżdżam, wyjeżdżam i wyjechać nie mogę – powiedział miło uśmiechnięty.

– I zamieszka pan tutaj z nami? – spytała grzecznie.

– Może tutaj, może trochę dalej, ale zawsze w sąsiedztwie, prawda, Grigoriju Aleksandrowiczu? – odezwał się za niego isprawnik.

Pan Puszkina przytknął cylinder do piersi i zadeklamował melodyjnym głosem:

Niet na swiecie caricy kraszę polskoj dziewicy. Wiesioła – szto kotionok u pieczki – I kak roza rumiana, a bielea, szto śmietana; Oczu swietiatsia, budto dwie świeczki!

Dżugaszwili zmarszczył niskie czoło.

– To Puszkina, Grigoriju Aleksandrowiczu?

– Nie. Mickiewicz, Wissarionie Josifowiczu.

– Ach, to ten buntownik. Patrz pan, w jednej rodzinie jakie dwa różne charaktery. Jego brat przyzwoity człowiek i wiernopoddany, był całe lata profesorem na uniwersytecie w Kazaniu czy w Charkowie, już dobrze nie pamiętam, a ten drugi, swołocz, kryminalista, za granicę uciekł i tam prowadził niedozwoloną działalność.

– Ach, Wissarionie Josifowiczu, po co te grube słowa? Może one ranią pannę Helenę – skłonił się uprzejmie Puszkina.

Isprawnik zbierał się już cmoknąć na konia, już się nawet poprawił na swojej ulubionej linijce wymoszczonej skórzanymi poduszkami, przysposobionej do dłuższych jazd, ale teraz

znowu zwrócił swoje nieprzyjemne oblicze do Heleny.

– A łaskawa pani to czemu nie umie po rosyjsku?

– Ja nie uczęszczałam do szkół. Ojciec uczył w domu.

– Już najwyższa pora znać język państwowy.

– To tylko żarty – wtrącił się ciągle zarumieniony Puszkina.

Zresztą od pewnego czasu w tym chłodniejszym powietrzu snuł się delikatny zapaszek spirytualiów.

– Tak, na razie puściłem wolno tego Szyrę – isprawnik trzepnął konia lejcamy. – Ale zapewniam, że nie na długo. Proszę przekazać najniższe ukłony dla ojca.

Pan Puszkina chciał się elegancko, po stołecznemu ukłonić, ale linijka szarpnęła, więc musiał się schwycić mejalowej poręczy i pojazd pomknął w las, a gość z Petersburga czy raczej z Wilna zamachał jeszcze z daleka swoim eleganckim cylindrem.

Odczekali dobrych kilka minut, a potem Helena westchnęła:

– Wracajmy.

Cóż on mi tu za aluzje podsuwał, myślała. Czyżbym dała powód do takiej poufałości. Co mnie to wszystko obchodzi. Taka jestem zmęczona. Chryste Panie, jak ja się powtarzam. Chwała Bogu, że zbliża się koniec świata. Dość tych głupich myśli. Dość w ogóle tego myślenia. W głowie rodzi się grzech.

Nawet nie spostrzegła, kiedy wjechali w bohińską alejkę.

– Słońce już chodzi coraz niżej – powiedziała sama do siebie.

– Co mówi? – odwrócił się skwapliwie Konstanty.

– Mówię, że już zachód blisko.

– Dzień kurczy się. Ale ten drugi Moskał to grzeczny człowiek.

– To syn Puszkina, tego poety.

– Eee, a po co by tu syn Puszkina przyjeżdżał. Pewnie jakiś frant, po dworach jeździ i w karty oszukuje.

W sieni czyhała już Emilka. W progu kuchni stał z fajeczką Antoni Sieniuc i kiedy wypuszczał dym, widać było w ustach metalowy zęb, oznakę światowości.

– Pan Plater tylko co zajechał – szepnęła rozemocjonowana Emilka.

– Czego chciał?

– No jak to? Panienci szukał. Mówił, że gonił, ale nie dogonił.

– Pojechałam jeszcze na grób mamy – powiedziała zmieszana Helena i chciała odejść, ale Emilka raptem przytrzymała ją za rękaw sukni. Helena spojrzała na nią, zaskoczona tą poufałością.

– Ja bym coś powiedziała, ale nie mam śmiałości.

– Mów, mów.

– Ale nie będzie gniewać się na mnie?

Wszędzie było bardzo cicho, tylko gdzieś w parku dzieciół kuł w puste od środka drzewo.

– Mówią, że on nie ma skłonności do bab – szepnęła cała czerwona ze wstydu Emilka.

Helena zamarła w pół kroku.

– Co to znaczy?

– No nic nie znaczy. Panienska sama musi wiedzieć. On ciągle tylko z tym swoim Ildefonsem. I w dzień, i w nocy. I latem, i zimą. Jak z żonką.

– Ach, wstyd! Jak możesz podobne głupstwa mówić! To tylko w nieprzyzwoitych książkach opisują takie wymysły. W życiu ludzie żyją jak Pan Bóg przykazał i jak natura pokierowała.

Emilka szybko przeżegnała się.

– Daj Boże, żeby tak było, jak panienska mówi – i spojrzała szybko na Antoniego Sieniucia, który wypukiwał fajkę o framugę drzwi.

Coś ją obudziło jeszcze przed świtem. Leżała długą chwilę, słuchając ciszy nadrannej. Zdawało się jej, że w powolnych falach dobiega aż tu głuchy szum Wilii. Jakiś ptak przelatywał od drzewa do drzewa, wydając przejmujące kwilenie. Potem zegar bił godzinę, pewnie czwartą, bo znowu nie zdążyła policzyć.

Wstanę i ubiorę się, pomyślała. Może się pomodłę albo zrobię spacer do gościńca i z powrotem. A najlepiej jedno i drugie razem. Odmówię pacierze podczas przechadzki.

Zapaliła świecę, która odbijała się w szybie okiennej, obwiedziona jakąś chwiejną aureolą. Kiedy naląła wody do miednicy, przypomniała jej się ta starucha skryta pod wiekiem trumny, za którą modlił się ksiądz Siemaszko. Dlaczego klęczał sam przed katafalkiem z tą nieznaną żebraczką, co przywędrowała za nim aż spod Mołodeczna. On też ma swoje małe, a może ogromne tajemnice.

Umywszy się lodowatą wodą, szcękając dla rozgrzewki zębami, ubrała się szybko, a na wierzch nałożyła ciepły kaftanik i ostrożnie, macając przed sobą ściany, wyszła na ganek. Wszystko było białe od rosy i wyglądało, jakby w nocy spadł pierwszy nieśmiały śnieg. Po lewej stronie, nad zabudowaniami folwarcznymi, opalizowało leciutko niebo. Horyzont szykował drogę dla rodzącego się słońca.

Wtedy skądś wyplątało się światełko jak robaczek świętojański. Kołysząc się zbliżało niespiesznie do ganku. Ktoś zakaszlał strasznym starczym kaszlem przez zrogowacenia krtani i osiadła na zawsze tam flegmę.

– To Konstanty? – spytała niegłośno. -

– Ja, pani. Chodź, panienko, coś pokażę.

– Co? – spytała niechętnie.

– Chodź, pani, nie pytaj.

Zbiegła ze schodków, a on ruszył przodem przez stary park w stronę rzeki. Później na łące od czasu do czasu zrywał się jakiś ptak z traw pobielanych rosą i milczkiem leciał gdzieś w swoją stronę. Strasznie długo trwała ta droga, na którą za dnia wystarczało jedno mgnienie.

Wreszcie Konstanty zatrzymał się i chwilę słuchał mocnego głosu rzeki. Potem uniósł szkło w fanarze i zgasił światełko.

– Tylko, pani, nie wolno odezwać się, bo może być nieszczęście – szepnął. – Niech idzie pomału za mną.

Przez mokre trawy i zioła zeszedli prawie nad sam brzeg Wilii. Starzec przykucnął za krzakiem obsypanym mieniącymi się szkliscie kroplami. Gestem przywołał Helenę, żeby klękła obok.

Wyciągnął rękę w stronę nurtu rzeki.

– Widzi? – spytał przejmująco.

Helena patrzyła dłuższą chwilę na to widmo nieruchomej w ciemnościach rzeki, z której szło szumienie jesiennego wiatru, zakłócanie mlaskaniem wody o przybrzeżne karczce.

– Nie. Nic nie widzę.

– O tam, trochę w lewo. Pośrodku rzeki.

– Ale co to?

– Jak to? Ma młode oczy i nie poznaje.

– Coś tam majaczy. Jakieś zatopione drzewo.

– Gdzież tam drzewo, pani.

– No to co?

On odwrócił się i szepnął triumfująco:

– Car Aleksander i Napolion.

– Car z Napoleonem?

– Niech patrzy. Siedzą na łódce z twarzami do siebie i obydwaj wiosłują. Każdy w swoją stronę. I dlatego nie mogą ruszyć z miejsca.

– Może to karcz zaczepił o podwodne kamienie. Rzeka po burzy wezbrała i niesie z puszczy wszystko co popadnie.

– A jakże, karcz – szyderczo szepnął Konstanty. – Oni już tak pół wieku pływają Niemnem do Wilii i z powrotem.

– Dlaczegoż by mieli tu pływać? Czemu ich duchy tu muszą straszyć ludzi?

– Tego ja nie wiem – westchnął Konstanty. – Trzeba wracać, a to niedobrze, jak przy nich rozwidni się. Niejeden już zgubił siebie i swoją duszę przez ciekawość.

Powolutku wycofał się spod krzaka i na palcach, chwytając się krzaczków, wspiął się na brzeg. Drżąca z zimna Helena podążyła jego śladem.

– Tak, znaczy się, zobaczyła cesarzy? – spytał już głośniejszym głosem.

– Coś tam szarzało, ale Bóg wie, co szarzało.

– Ja już ich kilka razy widział. Przed powstaniem pokazywali się, i kiedy szła ze wschodu zaraza, i przed zaćmieniem słońca.

Kiedy wracali z powrotem przez łąkę i park, robiło się coraz jaśniej i wstawał już dzień. Nie warto przykładać się na łóżku, pomyślała. Zmówię modlitwy na ganku.

Ale w odmawianiu pacierza przeszkadzała jej woń dymu tytoniowego, która nadpływała z sieni. Więc wstała i w szarówce leniwego o tej porze świtu podeszła do drzwi ojca. Tak, stamtąd szedł silny zapach machorki, którą hodował gdzieś za stawami Konstanty, suszył ukradkiem w odrynie, potem trzymał w skrzyni brązowo-zielone liście, przełożone jakimiś różowymi kwiatkami o silnym słodkim zapachu, a na koniec kroił je na wielkiej stolnicy i dzielił się z panem Michałem.

Ojciec też nie może spać po nocach. Zwyczajem starych ludzi przebudza się nad ranem, ćwiczy się tym swoim harapem, odmawia godzinki, a potem na czczo pali fajkę o długim cybuchu, co leży wśród papierów na kantorku.

– Boże, Boże, czy mnie słyszysz? – zajączał cicho pan Michał w głębi swojego gabinetu. – Ludzie się dręczą, żywioła się męczy, nawet drzewo cierpi. Zesłałeś na nas antychrysta. Poćwiartował nas, podzielił, wygnał z ojcowizny. Dusi codziennie, ciemieży, sroży się nad nami. I znikąd ratunku. I tak już zostanie na wieki. Za grzechy ojców i nasze. Za grzechy naszych dzieci i wnuków.

Potem szedł gdzieś skrzypiąc podłogą, pewnie do okna, w którym stała już luna wschodzącego słońca. Helena wróciła na ganek, siadła na ławce.

– Muszę pozbierać myśli – szepnęła do siebie. – Wszystko się poplątało. Jakiś straszny rok. Teraz się kończy. Rok żydowski. Może to i mój rok. Może przyjdzie odmiana. Ale jaka odmiana i skąd.

Zrobiło się ciepło na tym ganeczku. Czerwonawe słońce, które jęło się wznosić nad lasem, zaczynało ogrzewać zziębniętą ziemię. Gęste pasma mgły nad stawami wsiąkały w stary park.

W kuchni krzątała się już Emilka. Piersiowym głosem podśpiewywała „Kiedy ranne wstają zorze”. Ktoś do niej przemawiał leniwie, wtedy ona przerywała nabożną pieśń, żeby krótko odpowiedzieć.

Helena zaczęła w myślach przepowiadać sobie dzisiejsze zajęcia. Dużo ich, i takie same jak wczoraj i jakie będą jutro. Dlaczego mnie tak ciężko idą pacierze, pomyślała, dlaczego co chwila wracam i staram się zrozumieć te stare słowa, które inni powtarzają bezmyślnie. Dlaczego straszne bluźniercze zwątpienie wypęła z wszystkich kątów w dzień i w nocy. Tak, ludzie wątpią i wierzą, wierzą i wątpią. Tak musi być.

Wtedy nagle podniosła głos Emilka, krzątając się hałaśliwie w kuchni.

– A niech sobie lata. Co to ciebie obchodzi? Twój interes?

O kim oni mówią, wzdrygnęła się Helena. Pewnie o mnie. Ale dlaczego o mnie. Pewnie o kimś folwarcznym. Na złodzieju czapka gore. Ach, jakie głupstwa przychodzą mi do głowy. Chryste Panie, czyżby zbliżała się starość.

Zerwała się z ławki. Od strony folwarku szła leciutko wdzięcznym krokiem Malwinka. Gdzieś już ryczały wypędzone na łąki krowy.

– A gdyby tak uciec – szepnęła sama do siebie. – Zwinąć trochę rzeczy w tobołek i ruszyć do Santoki albo lepiej do Bezdán, wsiąść do pociągu i pojechać w świat, który żyje bujnym życiem gdzieś za ścianą lasu. Tak, głowa boli z niewyspania. Pójdę do lasu i zaraz wrócę.

Zbiegła z ganku, ruszyła alejką do gościńca. Na drodze zatrzymała się niezdecydowanie. Już chciała ruszyć w stronę Bujwidz, ale jednak się powstrzymała.

– Nie, nie – mruknęła do siebie. – Nie będę latać za nikim. Dlaczego bym miała latać? To

wszystko idiotyczne.

I skręciła w lewo, a później wybrała lewą odnogę gościńca, która prowadziła do Wołoków. Szła jakiś czas w pełnym słońcu, które suszyło jej brązowoczerwone włosy i mokra u dołu od rosy spódnicę. Aż nagle coś jej kazało spojrzeć w prawo i bez zdziwienia, a nawet z pewną złością zobaczyła leżącego w suchym srebrnym mchu Eliasza Szyrę. Podłożył ręce pod głowę i tak trwał z jakąś soczystą trawką w zębach.

– Co pan tu robi? – spytała gniewnie.

On nie podnosząc się z ziemi powiedział niedbale:

– Patrzę na drzewa, chmury, ptaszki. To dziwny kraj.

– Dlaczego dziwny?

– Bo tu kiedyś, przed milionami lat, był biegun. I do tego biegun południowy.

– Pan znowu majaczy.

– Nie, jak Boga kocham, mówię prawdę. Ziemia zmienia od czasu do czasu bieguny. Pewnie z nudów. A ja widziałem biegun południowy. Może pani spocznie tutaj koło mnie. Można śmiało, bo mech suchy.

– A gdzie pan widział biegun południowy?

– W Australii. Bo uciekłem z Paryża do Hamburga, tam wsiadłem na statek do Ameryki, żeby pojechać do rodziców, ale na oceanie pokazało się, że jesteśmy więźniami kapitana i że wszystkich nas pasażerów wiezie jako przymusowych osadników do Australii. No i parę lat przeczekałem tam na okazję do ucieczki. Szukałem złota, trafiłem aż na Tasmanię, skąd widać, jeśli się ma dobry wzrok, południowy biegun.

Uklękła na skrzypiącym mchu koło niego.

– I znalazł pan dużo złota?

– Ach, przepraszam – zerwał się z ziemi i zdjął z siebie tę wyświechtaną czamarę, rozesał ją przed Heleną. – Proszę tu klęknąć, będzie zdrowiej i bezpieczniej.

Z wahaniem dotknęła brązowej materii, która była jeszcze ciepła jego ciepłem.

– Proszę śmiało – rzekł niegłęboko – to sukno australijskie, ale czamarka uszyta przez Polaka.

– I co było z tym złotem?

– Ach, złota mało wykopałem, tyle, żeby starczyło na bilet powrotny. Bo musiałem tu wrócić koniecznie.

Milczała długą chwilę. Cały las żył już swoim życiem. To znaczy wszędzie gadały ptaki i jakieś zbłąkane powiewy leśnych wiatrów przebiegały nad drogą.

– Przecież rodzice byli w Ameryce – rzekła, choć wiedziała, że lepiej nic nie mówić.

– Ale ja dla pani musiałem przywieźć gościniec. Pamiątkę z tamtego świata. Talizman na całe długie życie.

Wyciągnął zza koszuli skórzany mieszek podobny do szkaplerza i strząsnął z niego na dłoń

nieduży kamyk podobny do chrabąszcza i tak jak chrabąszcz mieniący się tęczowymi kolorami.

– Co to jest? – spytała cicho Helena.

– To opał. Dziwny kamień. Australia jest ojczyzną opali. Proszę wziąć. Dla pani wiozłem tę grudkę przez cały świat.

Cofnęła się przed jego wyciągniętą ręką, na której leżał kamyk.

– Australia to przyszła arka Noego. Najpiękniejszy kawałek ziemi stworzony przez Boga dla uratowania ludzi przed ludźmi. Dobra przed złem. Cnoty przed grzechem. Wiecznego życia przed wieczną śmiercią.

Ona cofała się na klęczkach, wędrując przez podszewkę jego czamary, a on postępował za nią również na kolanach wyciągając rękę z tajemniczym kamieniem nie z tego świata.

– A dlaczego mnie oszukałeś? Dlaczego udałeś niepiśmiennego-”

– A jak inaczej mogłem zbliżyć się do ciebie?

– Stój, zaczekaj.

– Przecież ja ciebie kocham. Kochałem ciebie przez całą Syberie i wzdłuż Wołgi, w Paryżu i na oceanie, kochałem ciebie, do góry nogami szukając opali w Australii. Przecież ja ciebie kocham tyle lat, zapamiętaną w białej sukni z różową, a może niebieską wstążką u boku.

– Ja nie chcę tego kamienia. On na pewno przynosi nieszczęście. Oparła się plecami o krzak kruszyny i nie było już dokąd uciekać.

– Nam przyniesie szczęście. Tak musiało być. Tak chciał Pan.

Schwycił jej dłonie jak dwa trzepoczące ptaki.

– Tak chciało może piekło – szepnął jeszcze.

– Co ty mówisz? Przecież to bluźnierstwo.

– Nie. Dziś Sądny Dzień. Nie wiesz? W nocy grzesznych Żydów będą porywać diabli i unosić w przestworza, gdzie jest wieczna mroźna i czarna śmierć. Nie uciekaj, kochana. Nie ma przed nami ucieczki. Ja nie mam dokąd uciekać i ty musisz tu pozostać ze mną.

Tak mówił i wolno przyciągał ją do siebie. A ona w raptownej panice usiłowała wydrzeć rękę z jego dłoni, odepchnąć go jak najdalej, stracić w przepaść niepamięci.

Ale wtedy poczuła na swoich ustach jego wargi. Zaczęła drżeć jak w ciemnościach. Co się dzieje. To straszne, w resztkę świadomości szamotały się jak w klatce strzępki myśli. Och, jak strasznie kręci mi się w głowie. Jaka zimna ta rosa. Zaraz niebo się rozpęknie i strzeli piorun. Czują jego gorące dłonie, mocował się z jej sukniami, marudził, trzęsąc się jak galareta, coś szeptał rozdygotanym szeptem, wracał do jej ust, oczu, skroni ściętej chłodem albo przerażeniem i wreszcie stało się coś straszego, niespodzianie bolesnego, ale zarazem nieprzytomnie rozkosznego. Lecz zanim zdążyła rozpoznać ten nowy kontynent bólu i rozkoszy, zanim zrozumiała, co się stało, już on zastygł na krawędzi purpurowego oceanu i ona bardzo długo,

a może całą wieczność wracała do tego lasu, do tej drogi i do tego nieba, po którym biegły wełniste białe obłoki podbite od spodu granatowymi cieniami.

– Coś ty zrobił?

– Tak musiało być. To jest wola przeznaczenia – zaszeptał chrypliwie w jej usta.

I ja słyszę daleki szum Wili. Widzę ptaki w purpurze zachodzącego słońca odpływające na południe. Mijają świty, dnie, wieczory. Wokoło trzęsawiska banałów. Banalnych odruchów ludzkich, banalnych zdarzeń, banalnych krajobrazów. Życie zwolnione. Życie odcedzone. Życie jak zeschnięty preparat pod mikroskopem. I ja zapadam się w te trzęsawiska banałów, wiodąc moją babkę ku finałowi, którego jeszcze nie znam. Ale muszę się śpieszyć, bo pękają mi już tętnice, pęka głowa i pęka serce. Muszę resztką tchu doprowadzić moją babkę do końca, do tego miejsca, skąd zobaczymy za sobą ciemność przeszłości, a przed sobą oślepiającą jaskrawość przyszłości.

Wracali na skróty brzegiem lasu. Pola były już puste, częściowo zaorane. Niebo podniosło się nad ziemią i było tego nieba więcej niż zwykle. Zapobiegliwe wiewiórki śmigały po drzewach, chowając w swoich spiżarniach orzechy leszczynowe i żołędzie.

On wziął ją za rękę, chciała wyrwać, ale przytrzymał w swojej dłoni. Milczeli zawstydzeni, a on nadrabiał miną.

W stronę rzeki zapadały kołujące niespiesznie bociany. To był ten pierwszy sejm przed odlotem do ciepłych krajów. Nagle przypomniała sobie tutejszy przesąd, że jeśli młoda kobieta zobaczy brodzącego po łące bociana, to z pewnością zajdzie w ciążę w niedługim czasie. Co się stało, pomyślała. Co ja zrobiłam. Ale było jej sennie i błogo. Później zbiorę myśli.

On szedł czujnie przy niej i słońce, które od czasu do czasu wyłaziło z gęstniejących chmur, zapalało jego głowę, a on wtedy uśmiechał się czule z jakąś nieoczekiwaną nieśmiałością.

– A my jednak nadal wierzymy, że słońce obraca się dookoła ziemi. Jeśli ludzie tak myślą od tysięcy lat, to znaczy, że tak jest – powiedziała nagle wesoło i podniosła głowę.

On schylił się, podniósł kolczasty owoc kasztanu ukazujący w pęknięciu lśniącą brązową powłokę nasienia. Oblupał go z zielonej łuski i podał Helenie. Przyłożyła do rozpalonego policzka zimną, olśniewająco gładką obłóść.

– Daj mi rękę – poprosił cicho.

Chwilę się zawahała. Eliasz stanął wśród wysokich jak drzewa paproci i czekał z wyciągniętą dłonią.

– Ale przyrzeknij, że już nigdy się nie spotkamy – włożyła swoją rękę w jego gorącą dłoń.

– Dlaczego mamy się nie spotkać?

– To straszne, co zrobiliśmy. Nie wybaczy ani Bóg, ani ludzie. Zatrzymał się i ona musiała stanąć. Poczwała bijące od niego gorąco.

– Przecież to koniec dziewiętnastego wieku. Cały świat na nas czeka – powiedział.

– Mój świat jest tu i tu się kończy. Za Puszcza Ruską, nad brzegiem Niemna.

Na ugorze przed nimi stały wysokie jak palmy krzaki dzikiego kminu. Znowu odezwał się ten dziwny dźwięk z głębi ziemi albo z głębi nieba. Tak, mój świat się kończy, pomyślała. Jeszcze raz się kończy mój świat, nasz świat. I ogarnęły ją znowu dreszcze.

Wtedy on przyciągnął ją do siebie, chciała go odepchnąć, lecz on tylko ucałował suchymi wargami trzepoczący chybotliwie na niewidocznym wietrze pierścionek jej włosów. A naprawdę to tylko dotknął ustami umykającego jak motyl. Na moment oparła się na jego piersi, a on wtedy odnalazł jej usta i zaczęli się rozpaczliwie całować. Zimne skrzydło cienia objęło ich w tej chwili. Elias zrzucił czamarę na łachę pachnącego czemborku i powoli osunęli się na to

posłanie. Wydało się jej, że wiatr niesie przez las od strony Bujwidz głos dzwonu kościelnego jak jeszcze jedno ostrzeżenie.

Wtedy on znowu zaczął wdzierać się w jej suknie niczym w gęste gałęzie młodej sosenki. Coś szeptał, o coś prosił albo coś tłumaczył i ona słyszała dwa dudnienia pulsów, swoje i jego.

– Nie! Nie! – krzyknęła szeptem i z jakąś niespodziewaną siłą wyrwała się spod niego, pobiegła najpierw w stronę pól, aż zatopiła się w świeżej roli, w której grzebały jeszcze wrony, potem zawróciła w stronę lasu i zaczęła biec wśród lodowato zimnych krzaków, żółkniejących brzoźek i wysokich kopców mrowisk.

On rzucił się w pogoń za nią, bo wydało mu się pewnie, że ona ucieknie na zawsze albo spotka ją coś złego w rozpadlinie leśnej. Ona uciekała w milczeniu i on bał się krzyknąć, więc biegli zakosami przez ten las raz w cieniu, raz w ulewie słońca, bo nad nimi coraz szybciej gnały na północny wschód wzdęte wiatrem chmury, jesienne chmury, których ojczyzną jest brzeg Oceanu Lodowatego.

Wreszcie się zmęczyła, zatrzymała przy pniu starej sosny, przyłgnęła do poczerńiałej kory, starała wydyszeć z siebie ogromne zmęczenie, co jak sucha kolczasta szyszka tkwiło w płucach.

A on zwolnił kroku i, także przytrzymując dłonią trzepoczące serce, podchodził wolno do Heleny. Słuchali chwilę swoich oddechów. Eliasz powoli, nieśmiało zaczął się uśmiechać.

– Nie bój się – szepnęła, krztusząc się słowami. – Ja też jestem przerażony. Skoczyliśmy ze strasznie wysokiego urwiska.

Patrzyła na te jego wiecznie płonące włosy, suchą twarz i ten uśmiech, który skądś dobrze знаła, ale przecież nie znała nigdy.

– Wiesz co, wiesz co – powiedziała, ciągle jeszcze dysząc. – Ja od dawna śnię ogromne miasto z wielkimi domami, dużo wyższymi niż w Wilnie. A w tym mieście pociągi jeżdżą pod ziemią i wszystko drży od tego ruchu, a szyby w oknach dzwonią. W powietrzu nad miastem unoszą się potężne balony z uwieszonymi pod spodem gondolami na kształt omnibusów. I z okien tych gondoli wychylają się ludzie i machają białymi chusteczkami do przechodniów spacerujących ulicami miasta. Każdy mój następny sen jest jakby dalszym ciągiem poprzedniego snu, choć przecież nic się w tych snach nie dzieje nadzwyczajnego. Ja przed nikim nie uciekam i nikt mnie nie ściga, nie osaczają mnie złe moce ani nie zaznaję raptownych chwil szczęścia. Nie, po prostu istnieję w jakiejś cudownej i niezwykłej przestrzeni miasta, które żyje dla mnie, dla mnie wysyła podziemne pociągi i dla mnie wypuszcza pod niebo kolorowe balony.

– Tak dawno mnie tu nie było. Ale ty się nie zmieniłaś. A czy mnie pamiętasz? Czy pamiętasz takiego żydowskiego chłopca, który biegł za waszym powozem, ile mu sił starczyło, a kiedy wreszcie zabrakło, padał obok drogi na wrzosowisku i dyszał tak jak my teraz?

– Przecież ja byłam starsza – powiedziała cicho ze wstydem. – W ogóle nie zwracałam uwagi na takich jak ty wyrostków.

– Wybiegałem za tobą drogę aż do Krakowa, a może jeszcze dalej. Patrzyła na niego dłuższą chwilę, aż on spuścił wzrok. Wtedy bardzo niezręcznie, ciągle drżącą ręką, zaczęła go gładzić po głowie.

– Patrzysz na mnie tak, jakbyś się żegnała – powiedział cicho. Ona w milczeniu gładziła go po głowie i w geście tym była jakaś rozpacz.

– Chodź, odprowadź mnie do alei. Tam się pożegnamy – powiedziała szeptem, spoglądając w niebo. – Chryste Panie, jak już nisko słońce. Co ja powiem w domu.

– Będziesz musiała skłamać. Skłamiesz dla mnie.

Wzięli się za ręce i poszli z powrotem na brzeg lasu. Powtarzam to wszystko, co inni powtarzali po poprzednikach, myślała. Czy to prawa natury, czy nasze własne prawa do szaleństwa. Zaraz się pożegnám na zawsze. I wrócę, ale do czego wrócę. Do mojej wolności w niewoli pustelniczego życia czy do pana Aleksandra, za którym czai się jakaś okropna tajemnica.

Szli przez grzędy wysokich borówek jak przez rumiany staw o zachodzie słońca. Helena musiała unieść trochę spódnice, on chciał chwycić Helenę na ręce i przenieść na drugi brzeg tego borowiska, ale ona znowu się wyrwała, ruszyła przodem.

Usłyszeli stłumione odgłosy folwarku. Ktoś piłował drzewo, łomotały cepy w którymś gumnie, kowal kuł podkowę w kuźni za kępą wierzb. Zatrzymali się na skraju gościńca, niedaleko wylotu bohińskiej alei.

– Nie przychodź już nigdy – powiedziała szeptem. – Co się stało, nie odstanie. Teraz trzeba wracać do życia. Ty do swego, ja do swego.

– Spotkajmy się jeszcze raz. Jeden jedyny raz.

– Nie przymuszaj mnie. Nie trzeba. Teraz łatwiej jest się rozejść. Potem może być za późno.

– Spójrz na mnie. Przecież mnie Pan Bóg stworzył, żebym kochał ciebie.

Uśmiechnęła się smutno.

– Idź już. Tak będzie lepiej. Zapomnisz i ja zapomnę.

– Przecież ja nie mogłem zapomnieć przez tyle lat. Ty śniłaś dziwne miasto, jakiego nie ma na ziemi. A ja śniłem ciebie. Śniłem ciebie podczas snu albo w czasie marszu, na ziemi i na morzu, na jawie i w malignie.

– Już się wszystko spełniło. Żegnaj.

– To niemożliwe. Ja dla ciebie wybrałem swój los.

– Nie wspominaj mnie źle. Tak musiało być. Odchodziła tyłem patrząc na niego pociemniałymi oczami.

– Musimy się pożegnać.

– Nie trzeba się żegnać. To straszne. Lepiej tak się rozstać. Ty zostań na drodze, a ja będę odchodzić, patrząc na ciebie.

Chciał ruszyć za nią.

– Stój! – krzyknęła szeptem. – Będę się za ciebie modlić.

– Co mi po modlitwach – powiedział z rozpaczą. – Lepiej ucieknijmy w świat. Ja będę szuł buty, bo nauczyłem się szyć wspaniałe buty, a ty będziesz chować nasze dzieci.

Uśmiechała się coraz smutniej, już skryta w chłodnym mroku alei. Za nią, nad stawem, leżał ten stary klon rozplątany i powalony przez piorun, z przeraźliwie białym wnętrzem osmolonym płomieniami ugaszonymi przez deszcz.

– Żegnaj. Ja ciebie też nie zapomnę – powiedziała szybko i prawie biegiem puściła się w stronę dworu, czując na swoich drżących plecach jego wzrok, bo on został u wylotu alei i stał tam jeszcze długo potem, jak ona zniknęła na ganku za zasłoną czerwieniejących liści winogrodu.

A z boku, prawie przy zabudowaniach folwarcznych, stała bryka, furman drzemał rozparty na poduszkach siedzenia i Helenie, kiedy biegła rozpaczliwie w stronę ganku, wydało się, że zna dobrze skądś ten stary pojazd.

W swoim pokoju, ciągle zdyszana, przebierała się na spotkanie gości. Spoglądała przy tym w okno, za którym stał sędziwy park smagany raptownymi porywami wiatru, który wykręcił się teraz i wiał od północy ponad niewidoczną rzeką.

Kiedy zaczęła ściągać suknię, pobrudzoną zielenią wilgotnych mchów, obsypaną złocistym igliwem drzew, z czerwonymi kropelkami żywicy, nagle skądś, pewnie z kieszeni, wypadł lśniący kamyczek i potoczył się po podłodze, błysnął kolorami tęczy, zanim Helena zdążyła schylić się i złapać zgubę, już skrył się pod przysadzistą komodą. Nie wiedziała, co zrobić. Czy szukać tego opalu przywiezionego z tamtego świata, czy dokończyć przebierania się i pójść do gości. Stała koło stołu ze szpilekami do włosów w ustach, bezradna i ciągle jeszcze drżąca, a właściwie wstrząsana jakimiś spazmami. Później znajdzie, mam dużo czasu na szukanie, nie ucieknie, myślała. Nie ucieknie ten chrabąszcz z Australii.

W salonie na kanapce siedział Korsakow z jakąś damą zbyt uczerzniętą i obficie wymalowaną. Przed nimi stały kieliszki i karafka z rubinową nalewką. W fotelu tkwił sztywno pan Michał, pociągając z wielkiej fajki słodkawym dymem. Korsakow już był mocno czerwony, na jego pomarszczonym we wszystkich kierunkach czole połyskiwały krople potu, łapał ciężko powietrze w chrypiące płuca.

– Przepraszam – powiedziała Helena. – Ale u nas w powszedni dzień dużo pracy. Przepraszam więc za spóźnienie.

Korsakow chciał porwać się dworsko z kanapy, ale nie starczyło mu sił. Więc wykonał tylko okrągły ruch ręką i zachrypiał silniej.

– Ach, panno Heleno, to my prosimy o wybaczenie. Ośmieliliśmy się przywieźć pani trochę kwiatów – i pokazał na drewnianą dziezę, którą ktoś postawił na popękany niciaku, gdzie

w czarnej wodzie tkwiło kilkadziesiąt czarnych róż.

Nasze róże, pomyślała, matka przed moim urodzeniem wyhodowała.

– Co za niespodzianka – rzekła głośno. – Jestem wdzięczna za łaskawość sąsiadowi. Ale moje urodziny już minęły.

– My wszakże pamiętamy o nich. A przy okazji chciałem przeprosić za to nocne najście. Ja, zdaje się, zajechałem tu po nocy do państwa kilka dni temu. Nic nie pamiętam, bo miałem gorączkę. Ale jeśli coś nie tak, to proszę darować staremu człowiekowi.

Pan Michał zachrząkał i puścił kilka mocnych kłębow dymu pachnącego tymi różowymi kwiatkami, co je suszył w tytoniu Konstany.

– My tu gwarzymy sobie z panem Michałem, choć pan Michał człowiek nie bardzo rozmowny. Ach, przepraszam, znowu źle wyszło. Zaniechałem przedstawić moją małżonkę, Safonę Płatonówną, wstań, duszko, i przywitaj się z gospodynią – chciał wstać i sprezentować żonę, ale tylko się zatoczył, chrypnął i został na przytulnej kanapie. Safona Płatonówna zaniósła się strasznym, zaraźliwym chichotem, ukryła twarz za chusteczką i kłaniała się uprzejmie Helenie czerwieniejąc i chichocząc coraz bardziej. – Małżonka moja z zacnej wielkorosyjskiej rodziny, ale niestety nie włada językiem polskim, więc proszę o wybaczenie. To znaczy rozumie wszystko, ale, że tak powiem, krępuje się mówić.

Wtedy zaczął bić zegar wiszący na przeciwległej ścianie. Wszyscy spojrzeli w tę stronę i nawet Safona Płatonówna umilkła, ciągle jeszcze zakryta koronkową chusteczką. I znowu nie policzyłam uderzeń, myślała Helena. To bicie zegara oddała nas ciągle od tego wszystkiego, czego nie możemy jeszcze zapomnieć. Czy on czuje, że tu słońce świeci jak przez krepę i wiatry wieją żałobne, spojrzała na gościa, który nie proszony dolewał sobie domowego alkoholu do wysokiego kieliszka.

– Jesień przyszła – powiedziała Helena na głos, spoglądając w okno. Dlaczego ja teraz stale patrzę w okno. Dawniej nie widziałam w ogóle okien, choć one zawsze były w tym miejscu.

– Tak, zmieniają się pory roku z woli Boskiej – westchnął Korsakow, a małżonka jego zachichotała króciutko. On ją trącił delikatnie łokciem i szepnął: – Czego ty chochoczesz, dura?

Potem nastąpiła długa cisza. Pan Michał patrzył nie wiedząc czemu na swoją fuzję zawieszoną na ścianie. Ktoś coś wołał za którąś ze ścian. Marudne muchy gziły się na szybach.

– Ach, jak ciężko serce otworzyć – westchnął pan Korsakow. – Niby człowiek mieszka wśród swoich, a jakoś jednak przykro.

– Może podać samowar? – spytała Helena nie wiedząc, co powiedzieć.

– Pan Michał już proponował. Ale po co pić wodę, jeśli taka ambrozja stoi na stole przed człowiekiem. Ja, pani Heleno, trochę za interesem przyjechałem.

Podniósł kieliszek, patrzył w niego zbierając myśli, czknął delikatnie w otwarty rękaw.

– Ot, powiem po prostu, bo ja jestem człowiek otwarty i kręcić nie umiem. My z moją

małżonką dzieci nie posiadamy i zejdziemy z tego świata bezpotomnie. Dlatego postanowiłem, za zgodą małżonki Safony Płatonowny, zapisać majątek państwu! Miłowidy po naszej śmierci, daj Boże lekkiej, wróć do Konwickich.

Zawiesił głos i spoglądał bystro przekrwionymi oczkami to na pana Michała, to na Helenę. Safona Płatonowna znowu dusiła się niewczesnym chichotem.

– Bardzo szlachetny zamiar podjął pan, sąsiedzie – rzekła zmęczonym głosem Helena. – Ale przecież ciąży nad tym majątkiem decyzja cesarza.

Korsakow walnął nagle pięścią w stół, aż podskoczyły kieliszki i zadrżała karafka.

– Ja krew przelewałem na Kaukazie i na wojnie tureckiej. Mam tu blizny do dziś nabiegłe krwią – jął rozpinać tużurek na piersiach, ale zrezygnował. – A potem emigracja, to też gorzki chleb.

Nagle ocknął się, jakby rozumiejąc, że zasługi wojenne kłócą się trochę z późniejszą emigracją.

– Tak, prawda, zruszyłem się, ale religii swojej się nie wyparłem. Niech powie ksiądz Siemaszko. Ja i jego z biedy wyciągnąłem. Zaczął z ludem, jak powiadają, zabawiać się. Hromadka Biełarusau, niby piosenki i tańce ludu zbierali. Takie kółko wielbicieli, że tak powiem, folkloru. Ale my znamy tych folklorystów. Co, pani się śmieje z moich słów?

– Przecież ja milczę i słucham pana – rzekła spieszenie Helena.

– No i niech pani słucha. Bo wy sobie myślicie, Korsakow taki, Korsakow siaki. A mnie swoi tutaj obrazili, poniżyli w godności, honor mój zdeptali w błocie.

– Ależ kiedy i jakim sposobem? – Helena chciała przerwać zwierzenia gościa. – Prawda, ojczy, że nic takiego nigdy nie słyszeliśmy?

Pan Michał pokiwał głową i odłożył fajkę.

– Nie słyszeliście? – spytał groźnie Korsakow. – Zapomnieliście, bo tak wygodniej. Musiałem pójść w świat. Obcy mnie przytulili, że tak powiem. Tak, służyłem najjaśniejszemu panu, prawda, nie wypieram się. Ale nikt nie mógł mieć do mnie o to pretensji. W Paryżu, że tak powiem, próbowali intrygować, jakieś sądy obywatelskie pod generałem Mierosławskim. I co? – pokazał raptem figę niebu albo po prostu sufitowi. – Korsakow czysty i uczciwy. Wszyscy to musieli uznać. Ja bywałem, że tak powiem, i u księcia Adama, i u księcia Jerzego. Może nie wierzycie?

– Wierzymy – powiedziała z przymusem Helena.

– Nada jechać, Eduard Adolfowicz – wtrąciła się Safona Płatonowna zakrywając usta chusteczką.

– Cicho, małczy, że tak powiem – zachwiał się Korsakow. – Ja tu za interesem przyjechałem. Daję wam Miłowidy i cieszcie się nimi choć do końca świata. Mnie one na nic. Ja dziś tu, jutro tam. Mnie coś pędzi, że tak powiem, po świecie, po tym marnym, plugawym,

grzesznym padole. I ja grzeszny, choć pragnąłem świętości, och, Boże ty mój, jak ja chciałem być szlachetny, kochany od ludzi, błogosławiony przez niebiosa.

Nagle ujął głowę w obie dłonie i stuknął nią o blat stołu. Małżonka, widocznie zwyczajna takich okoliczności, zręcznie złapała lecącą na ziemię karafkę.

– Iluż ja ludziom pomogłem. I swoim, i obcym, różnym patriotom i rewolucjonistom. Ja nawet, że tak powiem, tym niemieckim komunistom, może o nich słyszeliście, ja im też dawałem pieniądze na drukowanie gazetek, choć z nich nic nie będzie i ludzie o nich zapomną. Ja powstanie nasze przez dziesięć miesięcy podtrzymywałem.

Tu znowu ocknął się, podniósł głowę, obejrzał wszystkie kąty. I w tym momencie zegar jął wybijać godzinę.

– Cicho, małczać – powiedział bełkotliwie Korsakow. – Nikomu ani słowa. Coś chciałem powiedzieć ważnego. Ale mnie zmogło. Ja tu ciągle chory jestem. Ta ziemia mnie nienawidzi. Mnie tu strasznie poniżono, kiedy byłem młody. Mogłem zostać artystą, wieszczem, może samego Mickiewicza bym przeskoczył, ale złość ludzka mnie zmogła, zawiść, lekceważenie swojego człowieka, że tak powiem. Obcego to by, za przeproszeniem, w dupę pocałowali, a swojego do piachu.

Safona Płatonowna opadła na oparcie kanapy i podrygiwała z twarzą zakrytą chusteczką.

– Nie wierzycie? – spytał groźnie.

– Wierzymy – rzekła z rozpaczą Helena.

– Proszę bardzo, jedziemy, konie czekają. Bierzcie swoje Miłowidy, a ja pójdę w świat. Wezmę torbę, kostur i pójdę, że tak powiem, przed siebie. Safono Płatonowna, my nie mamy już domu. Wstawaj i idź za mną.

Podniósł się jakoś z otomany i zaniósło go w stronę pieca, potem wrócił na środek pokoju i jął szukać wzrokiem drzwi.

– Tak, bracia, mnie śmierć haniebna sądzona.

I poszedł przed siebie zygzakiem, uderzył piersią w drzwi, które odskoczyły z łoskotem, zniknął w mroku sieni. Safona Płatonowna drobnym kroczeniem, spętana długą spódnicą podążyła za nim.

Kiedy wreszcie odjechali, Helena spojrzała na pożółkłe niebo, pod którym płynęły na południe nieznane ptaki, więc Helena spojrzała na niebo i westchnęła. Ojciec pokiwał głową.

Potem w swoim pokoju uklękła przed komodą i rurkami do fryzowania włosów zaczęła wymiatać spod komody ten kamyczek z dalekiej i nie wiadomo czy istniejącej naprawdę Australii. Wreszcie trafiła go żelazkiem i wytoczył się na podłogę przed nią, cały w lśnieniach zebranych ze światła przedzachodniej pory. Podniosła ten kamyk wielkości orzecha laskowego i, nie wiadomo dlaczego, pocałowała go raptem suchymi i gorącymi ustami.

Obudziła się w nocy od skurczu swego serca albo od jakiegoś hałasu. W pokoju było zupełnie ciemno, tylko serduszko w okiennicy majaczyło resztką księżycowej poświaty. Wiatr biegał ciężko po starym parku, czasem uderzał w dom i wtedy dudniły okiennice, gdzieś dzwoniła wściekle żelazna sztaba. Leżała, słuchając nierównego rytmu serca.

Ale w tym momencie odezwał się głucho jękliwy głos człowieka. Ktoś do kogoś przemawiał, z uporem perswadował albo uniżenie prosił. I Helena poznała głos ojca.

Dygocząc z chłodu podeszła omackiem do drzwi, otworzyła je cicho i znalazła się w korytarzyku. Za cienkim przepierzeniem, powstałym w czasie jakiejś przebudowy, był gabinet i zarazem sypialnia pana Michała. Helena otulając się ramionami pokrytymi gęsią skórą czekała pod ścianą z nie heblowanych desek byle jak pobielonych wapnem.

A w całym domu i tu było cicho. Zdawało mi się, pomyślała. To wiatr tak jęczy na strychu, to wicher gra w szparach. Chciała już wracać, kiedy za przepierzeniem odezwało się chrząknięcie i suchy, przejmujący kaszel.

– Mario, ześlij śmierć – poznała zdławiony głos ojca. – Wstaw się za mną i wyproś śmierć nagłą i niespodziewaną. Moje życie skończyło się, siedzę na bagażach i czekam na karawan, który spóźnia się, nie podjechał w pozaprzyszłym roku i w przeszłym, nie widać go i w tym roku, co mija.

Podniosła już pięść, żeby uderzyć w deski przepierzenia i przerwać bluźnierczą modlitwę ojca, ale coś ją powstrzymało, jakaś zła ciekawość, jakieś niedobre przeczucie. Pan Michał znowu zastękał, jakby chciał wstać z klęczek i nie potrafił.

– Mario, jeśli mnie słyszysz, jeśli chodzisz po tym domu, jeśli przyszedłeś tu za nami z Miłowidów, miej w opiece nasze dziecko, odwróć od niej nieszczęścia, choroby i straszną samotność na tym pustym jak cmentarz świecie.

Gdzieś tam w głębi nocy ktoś biegł w którymś pokoju, bo trzeszczały deski podłogi i huknęły drzwi. Jesteśmy tu zupełnie sami. Emilka śpi w innym świecie, za piecem kuchennym, przy boku Antoniego Sieniucia. Czy ja słyszę głos ojca, czy własne spłoszone raptownym przebudzeniem myśli. Czy to ojciec płacze, czy to ja szlocham suchym szlochem.

Przytuliła się do chropowatej ściany i wydało się jej, że te deski emanują ciepłem, jakby nagrzone przez słońce za dnia. Słuchała w napięciu długą chwilę, ale żadne odgłosy z gabinetu ojca już się nie powtórzyły.

Wróciła do swego pokoju, ułożyła się z ulgą w wyięblej pościeli. Straszny smutek snuje się jak nadranna mgła po tym kraju, myślała. Zawiedzione nadzieje, umarłe spodziewania, otrute przeczucia. Tak, duchy i upiory to trupie odbicia naszych lęków, wyrzutów sumienia albo

rozpaczy.

Poczuła duszność, wydało się jej, że i od tej ściany przy łóżku bije gorąco chlebowego pieca. Przewróciła się na drugi bok i spojrzała nic nie widząc w ciemność pokoju. Miłość to jedna wielka zgryzota,

pomyślała.

Później, już za dnia, wpadła zniecka do salonu i zobaczyła tam w dzieży te róże od Korsakowa, zapomniane, a nawet wzgardzone. Leżały rozrzucone z główkami opartymi o krawędź dzieży. Na niektórych połyskiwały krople wody. Ktoś musiał o nich pamiętać, pomyślała. Jakie są świeże, jakie piękne, umaczane w czerni nocy, w tajemniczej czerni nocy.

Policzyła, tak, było ich trzydzieści. Korsakow miał dobrą pamięć. Przed laty wyhodowała je mama, moja mama. O czym albo o kim myślała doglądając tych kapryśnych kwiatów.

Wtedy usłyszała turkot kół. Odsloniła firankę i spojrzała w okno. Alejką nadjeżdżał wolancik Platera. Już mu naprzeciw wychodził pan Michał w białym płóciennym kitlu obsypanym pyłem ze świeżo wymłóconego zboża.

Zakręciła się, pobiegła zdyszana do swego pokoju. Odwiązała zgrzebny roboczy fartuch bez żadnych ozdób, rzuciła okiem do lustra i stwierdziła, że trzeba poprawić włosy, do których nie wiadomo gdzie przyczepiła się nitka babiego lata jak pierwsza siwizna.

A potem mimowolnie przeniosła wzrok na swoje okno. Na brzegu starego parku, ale od strony łąk i rzeki, ktoś stał nieruchomo i patrzył na dwór. To chyba czarny pień osiki zabitej kiedyś przez piorun, pomyślała. Tak, to drzewo, a mnie się wydało, że to człowiek. Ale w tym momencie ów pień drgnął i poruszył się jak człowiek, który przestępuje z nogi na nogę. Któż to może być. Zaczęło jej bić serce. Taka jestem rozstrojona. Znowu ten niesamowity dźwięk z przenikliwą wibracją podnosi się z ziemi przez fundamenty aż do strychu. To ten biegun, o którym mówił Szyra. Stare bieguny odmawiają posłuszeństwa starej ziemi. Tyle lat odstraszałam konkurentów. Chciałam być wolna. Pragnęłam być samodzielna. Marzyłam, żeby po swojemu przeżyć życie.

Tam na końcu parku z pewnością ktoś stoi i patrzy w stronę dworu zapadniętego w ciężką gliniastą glebę, która niewiele i ciężko rodzi. A niech sobie stoi. Włóczęga, pastuch albo szpieg.

Pobiegła korytarzykiem do sieni, a stamtąd już było widać stojących na ganku pana Michała i pana Platera opierającego się na grubej lasce. – Co się stało? – zawołała Helena. – Znowu pan skręcił nogę?

– Witam panią – rzekł z dziwną powagą hrabia, kłaniając się kapeluszem sprowadzonym już nie z Wilna, a z samej Warszawy. – Nic się nie stało. Po prostu idzie jesień i kostka się odezwała. Lekarze mówią, że będę odczuwać to skręcenie nawet przez kilka lat.

– Proszę siadać, zaraz nakryjemy do stołu. A może pan woli w saloniku, już przecież panu dobrze znajomym? – krzątała się Helena.

– Nie, nie, dziękuję. Proszę sobie nie robić subiekcji.

Pan Michał chrząkał, ni to groźnie, ni to z jakąś bezradnością. Jaki on jest piękny, pomyślała Helena o gościu. Ale pomyślała zupełnie bez emocji jak o widoku obserwowanym z okna powozu. Ciemne włosy lekko siwiejące na skroniach, wysokie czoło z leciutkim śladem opalenizny, gęste brwi nad wielkimi ciemnymi oczami i nieduże, ale jakoś wydatne usta nieprzyzwoicie czerwone. A w całej twarzy jakieś zagniewanie, dąs, wyraz wzgardy dla otoczenia, który nigdy nie schodził z tego oblicza, nawet kiedy prawie czule przemawiał do Heleny.

Z głębi domu Emilka niosła samowar dmuchając zapalczywie w palenisko, z którego przez szpary leciały płatki popiołu jak jesienny śnieg.

– Zrobimy drugie śniadanie – zawołała Helena ze sztucznym entuzjazmem. Będzie wszystko dobrze, myślała jednocześnie w duchu. Dlaczego ma być źle. Żyjemy jak wszyscy. Jak wszyscy mogą żyć na wielkim, bujnym w zieleń cmentarzu.

– Jeszcze raz dziękuję – odezwał się Plater. – Ale ja zajechałem tu na chwilę. Mam do pani pewną drobną sprawę. Ale czy moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy? – zwrócił się do pana Michała.

Gospodarz zakaszłał i skinął głową.

– Może wejdziemy do domu wobec tego – powiedziała Helena z jakimś złym przecuciem.

– A może zrobimy spacer po parku albo w sadzie – zaproponował hrabia.

– Proszę bardzo, proszę bardzo – zgodziła się z nienaturalnym zapalem i pierwsza zbiegła ze schodów ganku.

Na zdziczałym gazonie wśród kęp polnego szczawiu pała się Malwinka. Strzelec Ildelfons stał przy głowie swego konia zaprzęzonego do wolantu i trzymał go za cugle, przyglądając się Malwince z jakimś demonstracyjnym, ale też i ponurym zainteresowaniem. W oddali, nad stawem, przesłonięty krzakami leżał ogromny pień rażonego gromem klonu.

Hrabia Plater, lekko kulejąc i opierając się na lasce z jakiegoś zagranicznego drzewa, dogonił Helenę i wolną ręką wziął ją pod ramię.

– Czy pozwoli pani na taką poufałość? – spytał.

Opuściła głowę nie wiedząc, co powiedzieć. Znowu zastukało chaotycznie serce o żebra. Szli dłuższą chwilę milcząc, zajęci swoimi myślami, aż znaleźli się w opuszczonym sadzie, niedbale pobielonym, z usychającymi gałęziami, z gnijącymi jabłkami w pleśni na zmęczonych drzewach.

– Droga panno Heleno, wszystko przebiega pomyślnie i niedługo będziemy musieli wyznaczyć dzień ślubu – odezwał się poważnie pan Plater.

– Cały czas o tym myślę, panie Aleksandrze – szepnęła Helena. – Dręczą mnie same wątpliwości. Ja pana bardzo lubię i szanuję. Ale przecież nawykłam do samotności przez tyle lat.

Nie wiem, drogi panie Aleksandrze, czy nie popełniamy głupstwa.

On nagle stanął i przytrzymał jej rękę. Wolno podniósł ją do ust, a Helenie zdało się, że za sadem, za starym parkiem widzi tego natręta, co stoi tam nieruchomo od godzin.

– Ja rozumiem pani niepokój – rzekł cicho hrabia. – Szanuję pani wątpliwości. Ale proszę mi zaufać. Tak chce przeznaczenie, jeśli ono w ogóle istnieje.

Zaczęli znowu iść przed siebie ścieżynką ledwo znaczną w zszarzałych i gdzieniegdzie żółkłych trawach. Wszędzie leżały brązowe zgniłe jabłka obsypane białym nalotem.

– Zajechałem do Bohini po drodze, bo chciałem przy okazji prosić panią o drobną grzeczność.

Helenie zabiło znowu bezsensownie serce, ale odezwała się bardzo spokojnie:

– Słucham pana. Na pewno wyświadczę ją z przyjemnością.

Na pniach drzew obłuskanych już dawno przez deszcz z wapna rosły jakieś przerażające, ogromne grzyby w sinych i różowych kolorach, jakby z tych biednych jabłoni wydobywały się chore zwierzęce wnętrzości.

Pan Plater puścił ramię Heleny, żeby oprzeć się mocniej na swojej lasce.

– Byłoby z wielu względów lepiej, gdyby pani zrezygnowała z udzielania lekcji – powiedział niegłęboko, ale z jakimś naciskiem. – Myślę o tym Żydzie z Bujwidz, który kręci się po okolicy.

– Ach tak – szepnęła zmieszana Helena. – O to chodzi. Prosił mnie o nauczanie alfabetu, początków czytania i pisania, bo ma obiecaną posadę w akcyzie niemenczyńskiej.

Hrabia przyglądał się jej uważnie i Helenie wydało się, że we wzroku jego nie ma ani krztyny życzliwości.

– Byłbym jednak wdzięczny, gdyby pani zrezygnowała. Chodzi mi także o złe języki. A pani mu wierzy, że on jest analfabetą?

Helena poczuła, że oblewa ją rumieniec. Zaczęła wrywać spomiędzy usychających traw dziwnie świeży bławatek.

– Zdaje się, że on jest piśmienny w żargonie. Po cóż by miał kłamać? – spytała zamierającym głosem.

– Byłbym jednak niezmiernie wdzięczny, jeśli mogę panią o coś prosić, jeśli już mam jakieś prawa w stosunku do pani, droga panno Heleno.

– Ach, on już w ogóle sam przestał przychodzić. Myślę, że mu przeszła ochota do nauki.

– To i lepiej. Nie ma wobec tego o czym mówić. Wracajmy zatem do dworu.

Wszystko się płacze coraz bardziej, myślała idąc obok chromającego z dystynkcją Platera. Taki czas przyszedł dla mnie. Taki czas jest dla wszystkich. Dlaczego mama kazała się pochować blisko Bohini. Czyżby przeczuwała, że tu będzie nasz ostatni dom. Ostatni przed czym.

Spojrzała kątem oka na Platera. Szedł spokojnie z tym swoim lekko obrażonym czy raczej wyniosłym wyrazem pięknej i obcej twarzy. A za nim, w plątaninie drzew parkowych, ciągle majaczyła ta postać wędrowca, co zatrzymał się na widok ludzkiej sadyby.

Później, kiedy gość odjechał, zabierała się do różnych robót, ale brakowało jej cierpliwości. Wreszcie wybiegła z domu i ruszyła na przełaj, przez zabudowania folwarczne, ku tej polnej drodze, co prawie brzegiem rzeki prowadziła od innej strony do Wołoków. A na samym początku, niedaleko krzyża drewnianego, co rzekomo miał przypominać zarazę z końca lat pięćdziesiątych, a naprawdę upamiętniał powstanie, więc na początku tej piaszczystej, krzywej drogi stała kuźnia, z której dobiegały, jak z każdej kuźni, odgłosy młotów uderzających w kowadło.

Helena weszła do mrocznego wnętrza, wtedy kowale przerwali pracę i spojrzeli na nią pytająco.

– Panie Antoni – rzekła niedbale – pozwólcie na słówko. Wyszli przed kuźnię, stanęli na brzegu drogi. Wiatr rozganiał woń przypalonego żelaza. Do sosnowej żerdki był przywiązany koń czekający na podkucie. A obok w krzaku siedziały wróble spodziewające się końskich jabłuszek.

Antoni Sieniuc uśmiechał się, żeby pokryć zmieszanie. Metalowy ząb na przodzie połyskiwał jakoś tak miastowo i godnie. Spostrzegła też, że u lewej ręki Sieniuc nie ma dwóch palców. Stracił chyba w powstaniu, pomyślała, a najpewniej w sieczkarni.

– Antoni pracował przedtem w Wołokach u pana Platera? – spytała niby obojętnie.

– Tak. W kuźni.

– I jak tam było?

– A nic. Jak wszędzie. Robota taka sama.

Spod oka przyglądał się jej uważnie, wykopując nogą z piasku starą, zżartą przez rdzę podkowę.

– To czemu się Antoni do nas przeniósł?

On zaśmiał się raptem i błysnął znowu tym swoim pańskim zębem. Do wysokiego czoła miał przyklejony żółty kosmyk włosów. Chryste Panie, pomyślała, jaką on ma czerwoną twarz, prawie czarną. Jak go zapytać i czy warto pytać.

– Pani dziedziczka wie dobrze. Żenić się chcę z Emilką, jeśli państwo pozwolą.

– Dlaczego mielibyśmy nie pozwolić?

– Ja tam nic nie wiem, ale lubię, żeby wszystko było w porządku – rzekł Sieniuc i odrzucił szpicem rozkładanego buta resztkę podkowy.

– Możecie być spokojni. Dobrze was opatrzymy. Ale co to Emilka mówiła o panu Platerze?

– Kiedy mówiła?

– No wtedy w nocy. Po burzy.

Antoni Sieniuc zastanawiał się długą chwilę, patrząc gdzieś w bok, w stronę piołunów wysokich jak drzewa w sadzie.

– Ja nic nie powiem pani dziedziczce – odezwał się wreszcie – bo to nie moja sprawa. Ale ludzie mówią, że pan hrabia ma teraz mus z ożenkiem. Jeśli nie zrobi wesela przed czterdziestym pierwszym rokiem życia, to majątek pójdzie na bonifratrów w Wilnie.

– Ach tam, ludzkie gadanie – zachnęła się Helena nadstawiając ucha.

– Ja nic nie wiem i nic nie powiem – Antoni Sieniuc zaczął kręcić cygaretkę w niezbyt czystym skrawku papieru, sypiąc tytoń ze zniszczonego skórzanego kapszuka. – Ale ludzie prawią, że starszy pan hrabia zostawił taki testament. Jak nie ożeni się, to wszystko przepadnie, a zostanie tylko Bohiń na dożywocie.

– Ach, co mnie to wszystko obchodzi – rzekła lekkim tonem Helena. – Chciałam o coś zapytać Antoniego, ale zupełnie zapomniałam. Niech Antoni wieczorem zajdzie na pokoje.

Jednak nie odchodziła. W kuźni dźwięczał młot między długimi momentami ciszy. Po co to śledztwo, myślała, przecież ten typ widzi, dlaczego tu przyszłam. Ach, jakie to wszystko nużące. Zasnąć, zasnąć i nie obudzić się już nigdy. Chryste Panie, co ja plotę. Chciała się przeżegnać, ale Sieniuc stał przed nią i czekał cierpliwie.

– Starsza pani to już pewnie zeszła z tego świata u czubków – odezwał się jeszcze Antoni. – To przeciw niej pan hrabia zrobił taki zapis.

– A dlaczegoż to?

– Żeby nie trzymała syna przy spódnicy całe życie. Przetarła oczy gestem zmęczenia.

– Jak Antoni myśli, dobrze robię idąc za pana Platera? On znowu jął rozkopywać piaszczystą koleinę.

– Ja nic nie wiem i nic nie mówię. Ale może jeszcze znajdzie się ktoś sposobniejszy.

Helena raptem zaśmiała się i przez chwilę miała ochotę klepnąć kowala po pochyłej łopatce.

– Zobaczymy – powiedziała wesoło.

Ruszyła szybkim krokiem z powrotem. Ale kiedy minęła zabudowania folwarku, zaczęła iść wolniej i ta wesołość powoli ją opuszczała.

– To jak z zamkniętymi oczami skoczyć w przepaść – powiedziała cicho sama do siebie. – Dlaczego wszyscy go nie lubią. To nieprawda. Nie wszyscy. Służba go nie lubi.

Szła coraz wolniej przez wysoki łąn usychających traw zwanych łązami Matki Boskiej, bo rzeczywiście z cienkich źdźbeł zwisały grona szarozielonych serduszek jak rześiste i serdeczne łązy.

– I chyba zwierzęta go nie lubią – mówiła do siebie. – Mam jeszcze czas. Sprzed ołtarza też mogę uciec.

I tu znowu po plecach przebiegł lekki dreszcz. Drobnny spazm lęku przed niewiadomym. Mignięcie raptownej zgrozy przed mroczną przyszłością.

Stanąła na brzegu sadu. Za parkiem, trochę w innym miejscu, tkwiła ta sama szczupła, czarna sylwetka. To na pewno Cygan, pomyślała. Trzeba wysłać parobka, żeby przepędził.

Ale nie wysłała parobka, tylko wróciła do domu i w swoim pokoju siadła ciężko na łóżku, aż zachwiał się zżarty przez czas i poplamiony przez ciekące sufity adamszkowy baldachim.

– Znowu robi się gorąco – powiedziała prawie głośno.

Przebierała się w lekkie suknie spoglądając w okno. Trzeba będzie kiedyś zrobić porządek z tymi drzewami, myślała. I ogrodzić przede wszystkim, bo tu każdy może wejść, choćby ten Schickelgruber, który pali ludzi.

Potem wbiegła jeszcze do salonu, gdzie w dzieży drzemały kwiaty. Wybrała jedną różę, prawie czarną, i wpięła ją nad uchem we włosy. To szatański kwiat, przemknęło jej przez głowę. Chryste Panie, kuszę los. Ech tam, niech będzie, co ma być.

On stał przy starym, prawie spróchniałym kasztanie i bawił się brązowym lśniącym owocem. Od razu spostrzegła czerwono-fioletową pręgę na jego lewym policzku. Oplatała kość jarzmową i biegła wzdłuż ucha aż do szyi niczym wielka pijawka opita krwią. Stał przy drzewie, masując wewnątrz dłoni kasztanem, uśmiechał się niepewnie.

– Co ty tu robisz? Chyba w ogóle zwariowałeś – powiedziała gniewnie.

– Tak, pewnie zwariowałem – rzekł półgłosem i znowu się uśmiechnął niezbyt mądrze.

– Mówiłam ci, żebyś nigdy nie wracał. Co się stało, to się nie odstanie. Ale nasze drogi się rozchodzą.

– Boże, jak ty pięknie wyglądasz – powiedział cicho z jakimś ogromnym przekonaniem.

Zmieszała się na chwilę, zaczęła iść ledwo znaczną stecką przez łąkę świeżo skoszoną ostatnim pokosem. On nieśmiało ruszył za nią i tak wolno wstępowali w wielkie jezioro zapachów jesiennego siana, w którym unosiły się słoje woni przeróżnych ziół dojrzałych do ostatka i nieznanych traw ściętych tuż przed śmiercią, traw tajemniczych, kryjących się przed okiem ludzkim przez całe lato.

– Musisz stąd wyjechać – mówiła Helena. – Przecież masz gdzieś swoje miejsce. Przecież to komedia z tą pracą w akcyzie. Twój rodzice czekają na ciebie w Ameryce. Może potrzebują synowskiej pomocy. Jakież ty jesteś nieczuły.

Nawet nie spostrzegła, kiedy ujął ją pod ramię, a właściwie za przegub ręki, jakby chciał poznać jej puls.

– Dlaczego nie odpowiadasz? – spytała.

– Słucham twego głosu. Przynajmniej nasłucham się twego głosu.

– To straszna moja wina – westchnęła z rozpaczą. – Jak mogłam dopuścić.

Szli chwilę w milczeniu. Słysząc było przejmujący głos rzeki.

– Już się zaczął nowy rok – powiedział Elias. – Nasz żydowski nowy rok.

– Co to mnie obchodzi. Puść moją rękę. Skąd masz taką pręgę? – spytała przystając.

I on zatrzymał się tuż przy niej, tak że dotykała go wierzchołkami piersi.

– Hrabia Plater poczęstował mnie bizunem.

– Chryste Panie, od razu się domyśliłam. Dlaczego on ciebie uderzył?

– Sama wiesz dobrze – powiedział niegłęboko.

– Skąd mam wiedzieć? Skąd on może coś wiedzieć?

– W niedzielę ksiądz czytał zapowiedzi.

– Ach, to wszystko się tak splątało – i prawie biegiem ruszyła w stronę już bliskiej rzeki toczącej się spokojnie u stóp niewysokiego urwiska, po którym spelzały czepiając się

rozpaczliwie gliniastego gruntu krzaki wilczych jagód i rosochate drzewo czeremchy.

Usiadła na czarnym bierwionie, które tu leżało od lat, za ciężkie, żeby połakomili się na nie chłopi. Był to pień dębu, co spadł przed tysiącami lat do rzeki, może strącony z dąbrowy przez lodowiec, więc spadł do wody, skamieniał i jakaś powódź wyniosła go na piaszczysty brzeg porośły rzadko siwą, ostrą jak brzytwa trawą.

– Wyjedźmy razem do Ameryki – powiedział siadając obok niej.

– Przecież ty masz gorączkę. Słyszę twój puls – zaśmiała się bez śmiechu. – O czym ty znowu mówisz?

– Jesteśmy sobie sądzeni – powiedział cicho. – Patrz, skąd ja wróciłem. A po drodze jeszcze zajechałem do Grecji.

– Słuchaj, co ty mi tu ciągle opowiadasz. Przecież ja nie jestem zaściankową gąską. Pewnie nie wiesz, bo skąd masz wiedzieć, że ja po powstaniu przez rok nie wyjechałam z domu, jeszcze z Miłowid. Chciałam zrozumieć siebie i cały świat koło mnie. Przez dwanaście miesięcy nigdzie nie ruszyłam się z domu, nigdzie nie wychodziłam, nawet do lasu czy nad rzekę. Cały dzień do późnej nocy czytałam. Przeczytałam wszystkie książki i roczniki pism z okolicy i to wszystko, co mogli przysłać z Wilna albo Kowna. Ty się też naczytałeś, jeśli umiesz czytać, podróżniczych książek,

– Naprawdę byłem w drodze powrotnej w Grecji. Odnalazłem tam pułkownika Borowego, czyli dziś greckiego generała Mineykę. Zaciągnęłem się nawet do jego inżynierskich rot, bo on tam twierdze buduje, ale cały czas mi mówił, jedź w nasze strony, przynajmniej ty jedź, Polska powstanie z niewoli, może właśnie czeka na wszystkich swoich rozproszonych synów, jedź, bo jesteś młody i tam potrzebny nad Wilią, nad Niemnem, może i ja przekradnę się, kiedy usłyszę znak.

Patrzyła przed siebie na przeciwległy brzeg czarnozielony jak mech nasiąknięty wodą na rojstach i na niebo jasnofiołkowe, ale ciemniejące u zenitu, a pod tym niebem ciągnęły niespiesznie na wschód żółtawe obłoki. I na wodzie było trochę tego rozjaśnionego fioletu, kiedy nagle błyskało ciężkie jesienne słońce.

– Po co mi to wszystko mówisz? Już i tak nic nie można zmienić. Już za późno.

Objął ją ramieniem, chciała się wyrwać, ale pomyślała, że to ją zdradzi. Słuchała siebie i jego. Zaczęła leciutko drzeć. I ja mam gorączkę, pomyślała. Wtedy znowu smagneło ją po oczach jakąś bielą, jakby błysnęła gdzieś nad głową bezbarwna błyskawica. Ja chyba umrę, przeleciała szybka, lekliwa myśl. Może to i dobrze.

On przez ramię położył swoją cienką, zupełnie nie żydowską rękę na jej piersi i to dotknięcie sparzyło ją przez perkale i jedwabie. Próbowwała się wyrwać z jakąś raptowną zajadłością.

– Poczekaj, chcę powąchać tę różę. Ale ona nie pachnie. Dlaczego taki piękny kwiat nie pachnie?

Helena szarpnęła się rozpaczliwie do tyłu, upadli na rozgrzany piasek i na szeleszczące cichutko ostre trawy.

– Puść – krzyknęła, waląc go na oślep pięściami po tej głowie ogarniętej zimnym płomieniem, po czole ze śladami wypłowiących piegów. – Precz, bo zawołam oraczy albo kosiarzy. Won, Żydzie, ode mnie.

Ale już było za późno. Zobaczyła przed sobą tę fałdę skóry nabiegłej krwią i chyba pulsującą przyśpieszonym rytmem, zobaczyła jego oczy z tęczęwkami otoczonymi metalicznymi pierścieniami, zobaczyła dużo nieba z zastygłymi raptem chmurami. Ja spadam, pomyślała. Spadam do piekła.

W skroniach dudniło, chwytiała z trudem powietrze pachnące rzeczną wodą i czystymi wodorostami, on znowu coś mówił albo może uspokajał ją i siebie, a potem nagle poczuła, że to się już stało i on jest w niej, i ogarnęła ją raptowna radość, i dziwiła się przez mgnienie tej radości, później zaczęła obejmować ją rozkosz i w tumanie tej rozkoszy wznosiła się coraz wyżej, ale on nieoczekiwanie szarpnął się, jakby chciał wyrwać się z jej ramion i ona zatrzymała się tuż pod zenitem fiołkowego nieba i bardzo długo stygła z bolesnej rozkoszy zawieszonyj gdzieś nad nią, nie spełnionej do końca. A on leżał wtulony w to gorące jej miejsce między ścianą szyi i zakłębnięciem nad obojczykiem. Leżał i bardzo ciężko dyszał, jakby ostatkiem sił wy dostał się na najwyższą górę na świecie.

Leżeli koło siebie bardzo długo i woda ich uspokajała swoim beznamiętnym szeptem. Potem jął się wolno budzić. Czuła jego usta na szyi, brodzie, oczach i wreszcie na swoich ustach. Parę razy chciał coś powiedzieć. Przez zaciśnięte, podbite purpurą powieki widziała, że otwiera usta i z jakąś czułą rezygnacją je zamyka. Potem znowu dostał się pod suknie, poczuła, że i on drży i szuka tej samej drogi co przedtem.

– Nie – powiedziała, nie otwierając oczu i dziwiąc się tej bezsensownej stanowczości. – Nie. Leż spokojnie.

I on usłuchał, stwierdziła z jakimś zaskoczeniem. Nie otwierała oczu, ale widziała, że on także położył się na wznak i patrzy w to samo miejsce nieboskłonu. Czuła pod plecami, i on pewnie czuł to samo, sprężystą, chrzęszczącą trawę, której nie jedzą domowe zwierzęta i której unikają leśne. Ta trawa kiedyś była pewnie drzewem albo może będzie drzewem w dniu Sądu Ostatecznego.

– Mówiłeś, że tu był kiedyś biegun południowy – powiedziała raptem zupełnie naturalnym głosem.

On się poruszył trochę uspokojony tą jej normalnością.

– Myślę, że tu był w ogóle raj, o którym rozpisuje się Biblia. Stąd wypędzono pierwszych ludzi i oni szli wzdłuż tej rzeki aż doszli do Niemna, który płynął na południe, czyli wtedy na północ. I dlatego Wilia jest taka kręta, bo oni kluczyli, zwlekali, oszukiwali Pana Boga i siebie.

Tak im było żal odejść, aż wreszcie zrozumieli, że trzeba odejść, żeby kiedyś powrócić.

– Skąd ty to wszystko wiesz? Może uczą tego w talmudycznych szkołach?

– Ja też dużo czytałem, ale czytałem to, czego nikt nie chciał czytać.

– A są takie książki?

– Nie. Są takie miejsca w każdej książce.

Omackiem poszukała jego głowy. Dotknęła końcami palców odrobinę wilgotnych włosów, włosów jak zimne ognie. I on się zmęczył, pomyślała. Też się zmęczył naszą nieudaną miłością. On wyczuł jej myśli i zbliżył się ustami do ucha, do kosmyka miedzianych włosów Heleny.

– Ona nie pachnie – szepnął z wyrzutem.

– Kiedyś pachniały, kiedy mama je pielęgnowała.

– Za karę wezmę ją na pamiątkę.

Uśmiechnęła się nie otwierając oczu. Pewnie słońce opuszcza się nad las, żeby lepiej przyjrzeć się tym grzesznikom nad brzegiem rzeki, która pamięta pierwszych ludzi na ziemi.

– A ty masz mój kamień z tamtego świata? Milczała chwilę.

– Zgubiłam.

– To niemożliwe.

Wtedy ona nagle otworzyła oczy i usiadła, strzepując z policzków ziarna piasku.

– Przecież widzisz, że wszystko możliwe.

A świat jej się wydał po tak długiej nieobecności jakiś dziwnie czysty, jakby na nowo stworzony.

– No i co dalej? – spytał.

– Nic – powiedziała. – Spróbujemy jeszcze raz rozstać się na zawsze.

– To już niemożliwe.

Podniosła się z ziemi i raptem zatoczyła, jakby tracąc równowagę nad przepaścią. On podtrzymał ją silną ręką.

– Wszystko jest możliwe – powtórzyła.

Zaczęła się wspinać na niewysoki brzeg. Wszędzie już widać było dotknięcie wczesnej jesieni. Krzaki przerzedziły się, trawy pochylły nad ziemią i ze szpar tej pospolitej zieleni, już zrudziałej, wyglądały jakieś dziwne kwiaty o dziwnych kolorach, które z pewnością zakwitły na tę jedną krótką chwilę i już ich pod wieczór nie będzie, kiedy parobcy przyprawdzą do rzeki poić konie.

– Szkoda, żeby w tej rzece nic nie było – powiedział Eliasz oglądając się za siebie. – Może ona zakrywa jaskinię, gdzie czekają następne życia na życie.

Ona raptem zatrzymała się.

– Poczekaj, stój – i podeszła do niego, zaskoczonego jej głosem. Myślał, że chce przytulić się, więc rozwarł ramiona, ale ona tylko szybko włożyła rękę pod jego czamarkę na piersiach

i tak zastygła, patrząc mu w oczy.

– Co to jest? – spytała.

– Nic takiego – powiedział zmieszany.

Wyciągnęła z trudem, a on jej na to pozwalał, błyskający metalicznie bębnekowy rewolwer. Zważyła go na dłoni i włożyła z powrotem w zanadrze wyświeconej czamarki.

– Kim ty jesteś? – zapytała cicho.

– Jestem Żydek z Bujwidz.

Wtedy ona odwróciła się bez słowa i zaczęła iść w stronę starego parku, co stał nieruchomo przed nimi i zasłaniał horyzont.

Potem, jakby zebrawszy myśli, zatrzymała się.

– Słuchaj, Tadziu. Prawda, że tak się chciałeś nazywać? Skinął głową.

– Słuchaj, Tadziu, który tu przybłąkałeś się nie wiadomo skąd. Ja ciebie pożegnam i pójdę swoją drogą, a ty pójdziesz swoją.

On patrzył na nią długo z jakąś nieoczekiwaną powagą.

– Słuchaj, Heleno, powinniśmy pójść razem. Mamy tu na miejscu swoją Amerykę. Wszędzie wśród lasów, nad jeziorami i w rojstach siedzą nasi przyjaciele. Dla nich ty będziesz Heleną, a ja, Tadeuszem. I to wszystko.

– Ach, nie, za późno przyszedłeś.

– Nie mogłem wcześniej.

Wahała się przez chwilę. Pod przedwiecznym niebem sunęły na południe dzikie ptaki i wyglądało to, jakby pod powierzchnią spokojnego morza płynęli w nie znanej misji tajemniczy zakapturzeni ludzie.

– Już mój czas minął – szepnęła. – Kiedyś byłam inna. A dziś jestem stara.

– Co ty mówisz – chciał podejść i ująć ją za rękę, ale ona cofnęła się parę kroków, gdzie był czarny żywopłot opuszczonego parku.

– Żegnaj. Dziękuję ci za tę bezsensowną przygodę – powiedziała cicho.

– Ależ to niemożliwe. To nie może się tak skończyć.

– Ach, mój drogi, mój drogi – powtórzyła, jakby dziwić się i zarazem ciesząc się z tych słów – może to najlepsze zakończenie.

Głowa jego płonęła w tym ukośnym blasku słońca jak pochodnia.

– Bo ja się zastrzelę. Uśmiechnęła się z raptowną czułością.

– Muszę wracać. Wszyscy na nas patrzą. Niebo, ziemia i ludzie na polach, w gumnach, na gościńcach prowadzących w świat.

– Zaczekaj.

Ale ona odwróciła się i zaczęła uciekać co sił w nogach w stronę dworu. On ścigał ją chwilę bez przekonania, a potem ją zostawać pośrodku łąki, między pokosami siana, odurzająco

pachnącego ziołami, może i lubczykiem, jął zostawać z rozpaczą w skamieniałym raptem sercu.

Helena zatrzymała się w bezpiecznej odległości i stała długo, patrząc w jego stronę. Ale ponieważ stała pod słońce, nie widział jej twarzy, lecz czuł, że coś się dzieje strasznego w tym mocnym przedwieczornym cieniu. Gdzieś w folwarku zaczął ujadać pies, jakby chciał zerwać wszystkie łańcuchy. Wtedy ona uniosła białą rękę, może z zamiarem gestu pożegnania albo przesłania ostatniego pocałunku, jednakże dłoń jej zatrzymała się niezdecydowanie na wysokości czoła, na pewno coś się działo na jej twarzy i trwało to wszystko bardzo długo, aż wreszcie odpięła różę z włosów i opuściła ją na ziemię, a później z jakąś determinacją pobiegła w stronę parku i dworu.

Koło domu zwolniła kroku. Nad dachem porośłym jaskrawo zielonym mchem wznosił się jak słup słomianego ognia modrzew szykujący się już do zimowego snu. Miłość to jedna krótka radość, pomyślała. Ach, nie, co ja mówię. Stało się coś okropnego. Jestem chora, tak, na pewno jestem chora i zmęczona.

Na ganku stał ojciec, trzymając za lufę dubeltówkę. Nie wiadomo było, czy czyścił broń, czy ją tylko wynosił ze swego gabinetu. Patrzył na Helenę z natarczywym oczekiwaniem.

Ona zatrzymała się na moment z wahaniem. Ale potem bez słowa ruszyła w mrok sieni. Zdało się jej, że słyszy za sobą ochryply głos ojca – Helena, ale nie odwróciła się i zniknęła w korytarzyku.

Potem stanęła przed tym swoim oknem, obok łóżka z zetłłym baldachimem, i patrzyła znowu na park, lecz nikogo już tam nie było między starymi drzewami. Czy to możliwe, myślała. Życie wlokło się jak furmanka chłopska po piaszczystej drodze, a teraz raptem runęło na łeb, na szyję. Westchnęła i sennymi ruchami jęła rozpinać suknie.

W drzwiach pokazała się Emilka.

– Podać obiad, bo trzymam ciepły w duchówce?

– Nie. Nie trzeba.

– Ale musi coś zjeść. Wszystko jedno trzeba dbać o siebie. Odwróciła się leniwie w stronę kucharki.

– Wiesz co, Emilka, zanieś balię do alkierzyka i nalej ciepłej wody. Chcę się umyć, mocno obmyć się ze wszystkiego.

– A co z obiadem?

– Wiesz co, wiesz co, ja jestem chyba chora.

– To po co kąpać się. Jeszcze się przestudzi i co będzie?

– Nalej wody i zawołaj, jak będzie kąpiel gotowa.

Usiadła na brzegu łóżka. Strzępek materii jak wieczorna ćma spływał wahadłowym ruchem spod sufitu. Emilka wyszła, cicho zamykając drzwi jak w pokoju szpitalnym, i dopiero po chwili słychać było jej białoruski śpiew w kuchni, dzwonienie wiader, chluśnięcia wody. Błysnęło, ale

jeszcze nie ma gromu, pomyślała Helena. Chryste Panie, jak długo będę czekać na rażenie piorunu.

Po kąpieli poszła od razu do łóżka. Zasypiała i budziła się raptownie, jakby przez kogoś potrącana. To serce, pomyślała. Jestem sercowa i uśmiechnęła się do siebie w myślach, i była zdziwiona tym niewczesnym uśmiechem.

A potem, już chyba na początku nocy, obudził ją straszny krzyk człowieka, który zobaczył diabła. Siadła na łóżku, przyciskając koszulę do piersi rozsadzanej przez łoskot serca. To ojciec, ojciec znowu krzyczy po nocach. Ale to nie był ojciec. Ten straszny krzyk powtórzył się gdzieś w głębi borów i gdzie indziej odpowiedział mu podobny. Ryczą jelenie, pomyślała. Wcześniej w tym roku zaczęły. Albo może Schickelgruber woła do Boga o śmierć.

Ja też jestem chory. Rozsadza mnie ciśnienie złych myśli, złych przeczuć, złych lęków. Chociaż to nieprawda. Ja się nie boję, bo nawet najgorsze byłoby lepsze, byleby było krótkie jak mgnienie chwili zapomnienia, zapomnienia na zawsze i na wieczność.

Moje życie to lustro – dotykam chłodnej powierzchni i nie wiem, co jest po drugiej stronie. Czy ja to mówię, czy powtarzam za kimś, kto dawno umarł.

Żyjemy razem ze zmarłymi i jeszcze nie narodzonymi, i nawzajem się nie widzimy. Moja babka, Helena Konwicka, stoi w koszuli przy oknie i patrzy na stary park. Moja babka, której tak dawno tu już nie ma albo jeszcze nie ma, moja babka w tej sekundzie stoi przy oknie i patrzy na stary park.

To moja ostatnia podróż literacka już z zamaconą głową, jakaś bezsensowna wycieczka pociągiem, który nie wiadomo, w którą stronę jedzie. Głowa mi pęka, może również serce trzeszczy w szwach i nie wiem, dokąd jadę do swojej babki, żeby zanurzyć się w dawno zapomnianą pospolitość egzystencji, kiedy było mało ludzi i dużo bogów albo kiedy będzie dużo ludzi i żadnego boga.

Moja babka, Helena, stoi w koszuli przy oknie i trzęsie się od jakiejś gorączki i oblizuje spieczone wargi. To kara za grzechy, myśli pocieszając siebie. W nocy błędziła w mieście strasznie wysokich domów, między którymi żeglowały balony z gondolami pełnymi pasażerów. Jestem chora, powiada do siebie. Chyba to dobrze, że jestem chora. Czy to możliwe, że ja to wszystko przeżyłam. Ale co przeżyłam. Te straszne spotkania z młodym Żydem z Bujwidz. Nikt tu nigdy nie słyszał, żeby szlachcianka spotykała się z Żydem. Jakie to dziwne słowo, Żyd. Przed wymówieniem tego słowa jest zawsze jakaś krótka chwila lęku.

Ktoś zapukał do drzwi. To była Emilka, która teraz, przy chorobie, nauczyła się pukać.

– Pan Puszkin przyjechał – powiedziała z jakimś dziwnym uśmiechem.

– Ach, ja przecież nie mogę przyjąć. Jestem chora.

– On wie, ale nalega. Mówi, że od drzwi powie tylko do widzenia.

– Nie, nie. Jak ja wyglądam – zajrzała do lustra pełnego ciemnych śladów po jakiejś lustrzanej ospie. – Jestem taka blada, usta jak z papieru, włosy zlepione. Przepróż go, Emilka.

– On chce coś powiedzieć. Tylko od drzwi.

Bezradnie opadła na łóżko, przykryła się kołdrą i starą kapą z wizerunkiem dzikich zwierząt.

– No to proś. Jak mi niedobrze, Emilka.

Pan Grigorij Aleksandrowicz stanął nieśmiało w drzwiach i wyglądał tak, jakby wyglądał jego ojciec, gdyby żył tych kilka lat dłużej.

– Przepraszam, że mieszam – odezwał się po polsku z fatalnym akcentem. – Ale chciałem

panią zobaczyć przed odjazdem.

– Wyjeżdża pan? Na zawsze? Nie znalazł pan tu dla siebie miejsca?

– Ja wrócę. Wrócę i tu umrę. Koło tego miasta, którego tak nienawidził car Mikołaj.

– Czy warto rzucać swoich, iść między obcych?

– Mój ojciec bardzo kochał Polaków. Może dlatego ich ukąsił. Bo kochał zazdroszcząc i zazdrościł kochając.

Helena poszukała głową zimniejszego miejsca na poduszce.

– Czego nam można zazdrościć? – westchnęła.

– Ja nie odziedziczyłem po ojcu talentów – rzekł Grigorij Aleksandrowicz, obracając w palcach szary podróżny kapelusz. – Ale myślę, że mnie przyjmiecie między siebie.

– Wie pan, strasznie zachorowałam. Jeszcze trzy dni temu byłam taka zdrowa, w ogóle nie wiedziałam o chorobach.

– Panno Heleno, mam takie wrażenie, że skądś panią znam.

– Ach, jaki pan miły. Tak mi gorąco.

– Już idę. Zaraz odjeżdżam do Santoki, gdzie specjalnie zatrzymają kurier petersburski. Ale musiałem panią jeszcze zobaczyć i powiedzieć, że kiedy panią pierwszy raz zobaczyłem, och, płacząc słowa, piękna panno Heleno. Niedługo wrócę i lepiej wszystko powiem, co chciałem powiedzieć.

– Niech pan wraca – szepnęła Helena – choć nie wiem, czy mnie pan zastanie.

– Co pani mówi – postąpił krok do przodu. – Po co takie słowa? Jesienne przeziębienie. Jutro, pojutrze minie.

– Tak, to jesienne przeziębienie. Napiję się soku-malinowego z herbatą, okryję ciepło nogi i juro, pojutrze wstanę. Ale do czego mam wstawać?

– Wszystko będzie dobrze.

– Ach, może będzie dobrze. Niech pan siądzie na krzeselku choćby na minutę przed podróżą. To wasz zwyczaj.

– Tak, to nasz zwyczaj – rzekł i usiadł na brzeжку krzesła i zaraz znowu wstał. – Do widzenia, Elena Michajłowna, proszę mi wybaczyć, że tak panią nazwę, ale sprawia mi to przyjemność.

– Do widzenia, Grigoriju Aleksandrowiczu.

On uklonił się po rosyjsku, prawie zamiótł kapeluszem podłogę i zniknął w czerni korytarza.

– Wszyscy się ze mną żegnają – szepnęła sama do siebie. – Wcale nie wszyscy, tylko ten biedny człowiek, który za ojca nosi na grzbiecie ciężar dwuznacznej sławy.

Położyła się twarzą do ściany i zamknęła powieki. Ale zaraz wydało się jej, że jakieś drobne, uciążliwe muszki latają przed oczami, więc zaczęła patrzeć na liszajowatą ścianę i to przyniosło ulgę. Odezwał się zegar zza ściany i teraz policzyła skrupulatnie wszystkie jedenaście uderzeń.

Chryste Panie, ile jeszcze godzin do rana. Zrobiło się jej strasznie duszno, odrzuciła kołdrę i kapę. Ale nic nie boli ani nie dokucza. Nie piecze gardło, nie chrypi w piersiach. Tylko gorączka męczy. Oczyszczam się, obmywam się w gorąccze z grzechu i brudu.

Parę razy z dużym wysiłkiem uniosła głowę, żeby spojrzeć w okno. Ale park był pusty i tylko strzępiaste cienie chmur biegły wśród drzew ku wschodniej stronie.

– A jeśli umrę i z tą hańbą znajdę się po drugiej stronie – szepnęła raptem do siebie.

Zrobiło się jej jeszcze goręcej, po prostu nie mogła złapać tchu. Zerwała się z łóżka, pobiegła w głąb korytarza, ale tam otrzeźwiała, słysząc głos ojca, który modlił się albo gadał do siebie za przepierzeniem.

– Zgrzeszyliśmy wszyscy, Mario, i ty zgrzeszyłaś, i niech ci Bóg wybaczy, bo my już nie znajdziemy zmiłowania. Nie podniesie nas Opatrzność z gnoju niewoli. A nasz ród pójdzie na zaturę. Ja zgrzeszyłem i ty, Mario, zgrzeszyłaś, i nasze dziecko grzeszy. Mario, wstaw się za nami, wstawiając się za sobą.

Ogarnęła ją znowu fala popłochu. Uciekła do swego pokoju i zaczęła wołać Emilkę. Przyszła razem z Sieniuciem. On trzymał sito w obu rękach.

– Każ zaprzęgać Konstantemu. Niech jedzie po księdza.

– Ależ co panienka mówi? Na co tu ksiądz?

– Rób, jak mówię. Chcę się wypowiedzieć.

– Panienka jeszcze młoda. To wstyd tak wariować. Wszystko minie i będzie dobrze. Przed panienką całe życie.

– Idźcie już i niech Konstanty jedzie. Chryste Panie, jak mi duszno.

Rzuciła się do okna, chciała je otworzyć zapomniawszy, że nigdy nie było otwierane. Więc padła na łóżko i strasznie dyszała, łapiąc astmatycznie powietrze. Oni popatrzyli na siebie i cichcem wyszli do sieni. Wkrótce usłyszała turkot kół przed gankiem. To Konstanty podjechał, żeby opowiedzieć się po przywyczce dziadziowi.

Przewracała się z boku na bok. Wszystkie strony poduszki i kołdry były gorące. To cudzy dom, myślała, dlatego nic się tu nie udaje. Zbiory marne, bydło pada, powietrze niezdrowe. I na koniec ta katastrofa. I nagle zobaczyła go tuż przed łóżkiem. Stał pochylony lekko z nieśmiałym uśmiechem, lewą stronę piersi pod czamarką wypychał ten rewolwer z sześcioma nabojami. Włosy jego zagasły w tym mrocznym pokoju, po którym biegały nieśmiało leciutkie cienie drzew starego parku. Po co ty za mną chodzisz. Dlaczego mnie dręczysz. Ale on o nic nie prosił i nawet nie wyciągał do niej ręki z cienkimi palcami, które zapamiętała jeszcze z tego pierwszego spotkania, kiedy nagle z zaskakującą bezczelnością dotknął jej dłoni. Przyglądała się chciwie jego twarzy. A przecież ja go skądś pamiętam. Na pewno spotkałam dawniej w tym życiu albo jakimś innym, jeśli takie istnieje.

– Idź stąd, ja tak źle wyglądam, włosy mi się pozlepiały i nie mam siły się uczesać – mówiła

w raptowną ciemność pokoju, która jeła wsączać się przez okno, kiedy nadeszły skądś niskie i ciężkie chmury. – Odejdź i nie wracaj, jeśli potrafisz i jeśli ja potrafię. Ale ciebie już nie ma. Popatrzyłeś na mnie i wyszedłeś na palcach. A ja taka nie ubrana, Chryste Panie, czuję pot na czole i robi mi się zimno.

Wtedy wszedł do pokoju Sieniuc i mocno stękając poniósł do kaflowego pieca wielką naręcz smolnego drzewa.

– A on gdzie zniknął? – spytała Helena.

– Kto?

– No on. Mój kochanek.

Antoni Sieniuc podniósł się od pieca i długo patrzył na Helenę, mrugając oczami. Nawet jego metalowy ząb błyskał jakoś bez przekonania.

– Tu nikogo nie było – rzekł, szukając po kieszeniach zapalek. Helena uniosła się z wysiłkiem na łóżku i przyglądała się swemu pokojowi.

– Prawda. Kto by tu mógł zachodzić. A po co Antoni rozpala w piecu?

– Emilka kazała. Powietrze we dworze mokre, stąd i gorączka, panienko.

– Ale mnie tak duszno.

– Trzeba się wypocić, to przejdzie.

– Jakie to wstrętne pocić się z rozmysłu – opadła na poduszkę i zamknęła oczy. Wiatr za oknem przeleciał wzdłuż ściany i brzęknął niemocno szybą.

Syknął płomień w smolnych trzaskach. Antoni przymknął drzwiczki, słuchał narastającego huczenia we wnętrzu pieca. Już paliły się wszystkie polana.

– A na tym łóżku to spał stary pan Plater – powiedział, zerkając na okno, za którym ożywał park, gdzie biegał północny wiatr.

– Dlaczego on tu spał, a nie w Wołokach? – spytała Helena, nie otwierając oczu.

– Uciekał przed panią, znaczy się przed żoną. Całymi miesiącami mieszkał w Bohini.

Helena milczała, więc i on pomilczał chwilę.

– To był dobry człowiek – odezwał się znowu Sieniuc. – Prawdziwy pan. Syn poszedł w matkę.

– On spał na moim łóżku? Ja śpię na jego łóżku? Zupełnie go nie znałam. Czasem jechał na Bezdany do pociągu albo wracał. Antoni mówi, że to był dobry człowiek.

– Ja nic nie chcę mówić, ale w nim się durzyły wszystkie szlachcianki w okolicy.

Helena uśmiechnęła się, nie otwierając oczu.

– Pamiętam jak przez sen. Nie był tak piękny jak syn.

– Bo to był mężczyzna, a na co mężczyźni uroda.

– Masz rację, po co mężczyźni uroda.

– Pod wieczór przyjdę i dołożę do pieca.

– A pan gdzie?

– Pan poszedł z fuzją nad rzekę.

– Nad rzekę? – spytała i ścisnęło się jej raptem serce.

– Nad rzekę. Może na ptaszki. Ale pan mało strzela. Jak kiedy wreszcie strzeli, to nie daj Boże tura zastrzeli.

– W piecu się pali, a mnie zimno.

– To z gorączki, panienko. Trzeba odpoczywać.

– Tak, odpocznę sobie. Ale po czym mam odpoczywać? Niech Antoni idzie, ja spróbuję zasnąć.

Sieniuć otrzepał dłonie o spodnie i na palcach jął odchodzić w stronę drzwi. Helena odprowadzała go wzrokiem, kiedy położył rękę na klamce, spytała raptem:

– A pan Aleksander brał udział w powstaniu, prawda? Miał swoją partię w okolicy?

Sieniuć odwrócił się i rzekł niewyraźnie:

– Ja nic nie chcę mówić, ale w jakim tam powstaniu brał on udział? Na polowania jeździł po całych nocach i dniach, a przed ludźmi udawał, że on tu jest za komisarza wojennego.

– I mego Piotrusia znalazł – szepnęła Helena.

– Pana Pieślaka to jego wyżły odszukały. Poszły za lisami i znalazły.

– Strasznie Piotruś wyglądał.

– Lepiej nie mówić.

Wyszedł, zamykając cicho drzwi za sobą. Tak dawno nie chorowałam, pomyślała. Kiedy ostatni raz leżałam w łóżku z gorączką. Chyba niedługo po śmierci Piotrusia. Ale czy on istniał naprawdę. Może ja go sobie wymyśliłam, żeby usprawiedliwić swoje wdowieństwo i żałobę na kilka długich lat.

Potem nagle zobaczyła pochylonego nad sobą księdza Siemaszkę.

Widziała te okulary w drucianej oprawie i skośne oczy za nimi, szczotkę szpakowatych włosów nad niskim, pofałdowanym czołem.

– Żle z tobą, dziecka? – spytał, ciężko sapiąc.

– Niedobrze.

– Chcesz spowiedzi?

– Tak, muszę się oczyścić z grzechu.

Nałożył krótką komżę, zarzucił na szyję fioletową stułę. Ze strasznym westchnieniem siadł w nogach łóżka. Chciała się podnieść, żeby przynajmniej na siedząco odbyć spowiedź, ale on przytrzymał ją za ramię.

– Leż, leż. Taki sam ciężar grzechów czy klęczysz, czy leżysz. Ach, on jeszcze musi wysłuchiwać tylu strasznych zwierzeń.

Pomaga ludziom przechodzić nad przepaścią, choć sam może zostanie po tej stronie. Ale

może ja mającę. Czy to mój pokój w Bohini. Kto to klaszcze w kącie. Nie, to trzaskają smolne, spękane polana sosnowe w piecu.

Przeżegnał ją małym krzyżykiem uczynionym końcami grubych palców, pod paznokciami których tkwiły pewnie resztki wosku z uli. I ona się przeżegnała niepewnie, przetykając z trudem ślinę, bo ogarnął ją raptowny wstyd i jakiś lęk, i nagle pożałowała swojego zamiaru. Ale on zakrył dłonią brzydką twarz i słuchał.

Zaczęła mówić powoli, zacinając się, gubiąc słowa. Czekwała na jego reakcję, na gwałtowny gest, niecierpliwe słowa. Lecz on trwał nieruchomo z zakrytą twarzą jak frasobliwy Chrystus wyciosany z ciężkiej dębowej kłody dobytej w dna Wilii. Wyglądało, że usnął albo odleciał z myślami swoimi daleko, może nawet pod Mołodeczno.

Kiedy skończyła, on jeszcze długą chwilę trwał nieruchomo, a potem nie odsłaniając oblicza rzekł cicho:

– Za pokutę przez pół roku odmawiać będziesz wieczorem dziesięć Zdrowaś Mario. Zrozumiałaś, dziecka?

– Zrozumiałam.

Nie patrząc na nią, udzielił rozgrzeszenia i podał koniec stuy do ucałowania. Później odszedł do okna i stał tam długą chwilę przyglądając się drzewom zanurzającym się powoli w wieczornym mroku.

– Jak ty myślisz – odezwał się. – Który alfabet lepiej byłoby wziąć Białorusinom? Nasz łaciński czy ruską cyrylicę?

– Nie wiem, proszę księdza. Nigdy o tym nie myślałam.

Powoli odwrócił się do niej. Zdjął ze szyi stułę, ucałował znak krzyża pośrodku wyhaftowany i zaczął ją składać starannie.

– Praudu każesz. Po co ja ciebie pytam. W dawnych wiekach ich mowę pisano cyrylicą. I tak może byłoby słuszniej. Ale, widzisz, dziecka, oni później uczestniczyli w Odrodzeniu, w Renesansie znaczy się, oni stąd już nie Azjaci, a prawdziwi Europejczycy. I poetów mieli wielkich łacińskich, i Skoryna, choć z heretykami zadawał się, to jednak wielkie zasługi poniósł, i dla Polaków, i dla Białorusów, a nawet dla Moskali. Ty mnie słuchasz?

– Tak, ale mąci mi się w głowie. Czy ja dobrze odbyłam spowiedź?

– Dobrze, dobrze, ach tak, gdzież moja pamięć – szepnął zawstydzony ksiądz. Wziął ze stołu wiatyk i zbliżył się do łóżka chorej z komunią.

– Co ja robię – szepnęła do siebie, odczepiając językiem przyklejony do podniebienia opłatek. – Czy ja naprawdę rozstaję się z życiem. Nie, ja chcę się pozbyć ciężaru, którego już nigdy nie można zrzucić z pleców.

Uniosła powieki i zobaczyła tuż przed sobą oczy schylonego księdza Siemaszki. I nie były to pocziwe, trochę tatarskie oczka dobrodusznego proboszcza, który klepie brewiarz, a potem

biegnie do swoich pszczoł. Patrzyły na nią z uwagą i bez współczucia oczy drugiego człowieka, który też wiedział, co to jest cierpienie. Ta jego żebaczka, co przysłała tu aż z białoruskich Hołyszów, jeszcze się nie obróciła w proch, pomyślała. Jeszcze może wstać i przyjść, żeby straszyć. Ale przecież to tylko my sami siebie straszymy.

– Jeślibym umarła... – odezwała się raptem.

– To co? Ale ty nie umrzesz, jeszcze się pomęczysz razem z nami. To co?

– Sama nie wiem. Nie mam niczego do rozporządzenia. Nie mam ostatniej woli, czy to dobrze, czy źle?

– Odwróć się do ściany i śpij. Wyzdrowiejesz i jeszcze ja zatańczę na twoim weselu.

Tu zmieszał się raptem stary proboszcz rozumiejąc wątpliwą stosowność swoich słów. Zdjął energicznie komżę, zwinął ją w kłębek i wsadził pod pachę.

– Lepiej mi teraz – powiedziała.

– To i dobrze – szepnął unikając jej wzroku. – Pojednanie się z Bogiem przynosi wielką ulgę.

A co jest z twoją wiarą, chciała zapytać, czy wróciła, czy czekasz beznadziejnie na jej powrót chrzcząc dzieci i grzebiąc umarłych, ale zamiast tego wyrzekła niegłośno:

– Zapadam się w ciemność i wracam do jawy. Czy moja spowiedź zadowoli Boga?

Wtedy on dotknął wielką chropowatą dłońią jej policzka i westchnął ciężko. Weszła Emilka, zapaliła lampę. Helena przymknęła powieki, bo raziło ją światło. Zdawało się jej, że słyszy daleką muzykę, ale to pewnie wiatr ganiał liście po pustym parku. Dobrze by było umrzeć, pomyślała. Umrzeć, czyli odpocząć na długo. Ale może lepiej jeszcze pożyć i zobaczyć, co będzie z tym światem, któremu tyle wieków przepowiadają koniec. Ledwo się narodził, a już go straszą śmiercią.

Otworzyła raptem oczy i zobaczyła na podłodze świecący kamyk. To był ten opał Eliasza. Mienił się i błyskał seledynowymi promykami, jakby do wnętrza włożono węgielek ze spróchniałego polana wierzbowego. Ktoś go zrzucił na ziemię. Może ja sama. Rozdepczą go i stanie się grudką piasku. Wstanę i podniosę.

Chciała unieść głowę, lecz głowa opadała natychmiast, jakby ta choroba, co w nią weszła, ważyła kilka pudów. Noc będzie długa i straszna. Wszystkie noce w chorobie są bez końca.

Później, nie wiadomo w którym momencie, zobaczyła Korsakowa. Stał przed łóżkiem w paletku z aksamitnym kołnierzem i przyciskał do piersi czarny kapelusz. Siwe włosy na głowie były zmierzwiłone, w chudych kłakach sterczały na wszystkie strony. Ja go śnię, pomyślała. I jego także śnię bardzo wyraźnie jak na jawie.

– Niech pani nie myśli, że mnie pędzi z miejsca na miejsce moje sumienie – powiedział prawie szeptem i dopiero teraz zauważyła, że brakuje mu już wielu zębów.

– A gdzie Safona Płatonowna? – spytała.

– Safonę Płatonownę zostawmy na boku. Ona nic nie pojmuje. Nie rozumie tego kraju, do którego ją przywiozłem. Pani, Heleno, myśli, że ja spać nie mogę i dlatego jeżdżę od dworu do dworu i ludzi budzę po nocach?

– Ja nic nie myślę. Jestem chora. Mam gorączkę.

– A ja? – spytał rozdzierającym tonem. – Ja też mam gorączkę. Przywiozłem ją jeszcze z tej tureckiej wojny. Leżałem już pomiędzy umarłymi. Pobożny pop mnie znalazł, bo usłyszał mój jęk, a zwrócił on uwagę popa, bo zajęczałem po polsku. Widzi pani, mowa ojczysta wybawiła mnie od śmierci, że tak powiem.

– Czy to już noc?

– Jaka noc? Wieczór. Do godziny duchów jeszcze dużo czasu. A nie – mocował się z zegarkiem wyjętym z kieszonki kamizelki. – Mój chronometr stanął. To zły znak.

Zamknęła powieki, bo bardzo jej ciążyły.

– Ja zaraz pójdę. Już mnie więcej nie zobaczycie – zachwiał się raptem Korsakow. – Przepraszam, nie muszę się narzucać. Orewuar.

Ale zamiast odejść, przysunął sobie krzeselko, usiadł ciężko. Chciała otworzyć oczy i nie mogła.

– Co to ja chciałem powiedzieć? – marudził Korsakow jakby z daleka. – To wszystko fintifluszki. Trzeba spojrzeć w oczy rzeczywistości. Dostyc tych błazeństw.

Ależ męczący i przykry sen, pomyślała. A może naprawdę Korsakow przyjechał. Zestarzał się już zupełnie i dziwaczy się coraz bardziej.

Poczuła zimną i mokłą rękę na swojej dłoni.

– Obudź się, nie śpij – szeptał. – W chorobie nie wolno spać. Bo śmierć przychodzi tylko wtedy, kiedy jej nie widzisz. Zbliża się na jawie, zobaczy twoje otwarte oczy i już się zmieni w starą babę albo w psa z podkulonym ogonem. Ja jadę dalej, już na mnie pora.

Uniosła powieki i chwilę patrzyła na niego. A może moja śmierć zmieniła się w Korsakowa i nie wie teraz, jak odejść i zaczekać w sieni na swoją porę. Spojrzała na podłogę. Opal świecił jak wielki robaczek świętojański.

– To wszystko mrzonki, że tak powiem. Nasze przeznaczenie, to roztopić się w morzu rosyjskim. Zaprzestać oporu i szukać ocalenia jako część wielkiego narodu rosyjskiego. Ja to zrozumiałem pierwszy. W pochodach wojennych na Kaukazie, w Środkowej Azji i na brzegach Czarnego Morza. Zobaczyłem jasno jak na dłoni. Opór, sprzeciwianie się, bunty sprowadzą zagładę. Zagładę mowy, myśli, kultury, całego narodu. Przetrwać w środku, bo na zewnątrz nie będzie ratunku. We wnętrznościach lewiatana, a nie przed jego nosem. Trzeba podać sobie ręce i iść naprzeciw. To jedyna droga. Ja życie swoje poświęciłem. Ja was chcę zbawić. Ja odkupię wasze winy.

Chciała coś powiedzieć, ale poruszyła tylko ustami. On podniósł się z krzesła, stał, opierając

się o słupek baldachimu, wypłowiące jego oczy wyszły z orbit, w kątach ust zółciła się piana, wyciągał ręce z tym pogniecionym kapeluszem i mówił to wszystko w stronę okna, jakby tam była widownia, lecz w czarnej szybie odbijał się tylko on sam i trochę światła lampy.

Potem pewnie usnęła, bo kiedy obudziła się ponownie, Emilka koczerką rozbijała żarzące się głównie w piecu.

– To ty, Emilio? – spytała.

– Tak to ja, na pewno ja – zaśmiała się kobieta.

– Wy śpicie niedaleko mnie, prawda? Emilka milczała chwilę.

– Ja śpię, panienko. Jemu nie wolno do mnie przychodzić. Ja nie taka, żeby zaraz pozwalać.

Będzie ślub, to co innego.

– Będzie ślub – powtórzyła Helena. – Co mnie tak zmogło?

– Przustudziła się panienka. A i niespokojna ostatnio. Wszystko razem się zebrało.

– Przed wieczorem myślałam już, że umrę. Emilka zaśmiała się wesoło.

– Nie tak łatwo umrzeć. Jak człowiek chce, to nie może, a jak już boi się, to śmierć zaraz przychodzi.

– Czy był ksiądz, czy mnie się tylko zdawało?

– Był, a jakże, i potem gdzieś na wieś do chorego pojechał.

– A Korsakow?

– Korsakow marudził, pan przed nim uciekał po wszystkich pokojach. Ale i on pojechał.

– Zostaliśmy sami.

– Zawsze tak było. Smutna pora jesień. Słyszysz, jak wiatr wyje w kominach.

– Nie, to ludzie śpiewają. Idą po nocy i żeby dodać sobie odwagi śpiewają fałszywymi głosami. A dlaczego ten Schickelgruber ludzi morduje?

– Ludzie, powiada, nie zdali egzaminu. Tak prawil jeden student.

– Jaki student?

– A taki jakiś. Może on i nie był student.

– To dlaczego mówisz, że student?

– Czy ja coś mówię, panienko? Mnie wszystko jedno. Byle tylko dobrze było.

– Byle tylko dobrze było – powtórzyła szeptem Helena.

Kiedy wyszła z trudem na ganek, stanęła, obejmując rękami popękana kolumnę i długo patrzyła na ten mały świat Bohini, i nie mogła go poznać. Zdawało się jej, że patrzy przez szkło rozbitej butelki kolorowej. To była kiedyś ulubiona zabawa dzieci: oglądać świat przez soczewkę strzaskanego szkła. I ona teraz patrzyła na zmienione perspektywy dróg i drózek, na ogołoczone drzewa i krzaki. Tylko dziki chmiel rozplenił się przez te dni, jak żółta nić przeszył park, sad, nawet alejkę lipową. Tak, przez ten czas choroby świat zżółkł, podszedł krwawymi zaciekami, gdzieniegdzie szerniał. Nawet modrzew spurpurowiał, jakby go ktoś opryskał jagodowym sokiem.

– Ileż to będzie dni – spytała sama siebie, zstępując ostrożnie ze schodów, z wyciągniętymi jak ślepiec rękami. – Ależ ja jestem słaba. Może to i dobrze, że jestem słaba. Ale przecież wewnętrzne napięcie nie minęło w czasie choroby.

Uniosła głowę, na niebie leżała cieniutka powłoka cirrusów. A gdzie bocian Maciej, pomyślała. Gniazdo było puste, czarne, bez życia. Szkoda, że nie ma Macieja. Wszystko dokądś odchodzi. Tylko my musimy zostać.

Wtedy poczuła czyjąś obecność za plecami. Odwróciła się z wyciągniętymi rękami szukającymi oparcia. Pan Michał Konwicky stał oparty na dubeltówce i przyglądał się córce.

Chciała podejść do niego, lecz on po raz pierwszy od lat poruszył ustami, wreszcie je otworzył, jakby z zamiarem powiedzenia czegoś ważnego.

Helena szła ku niemu z trudem przez żwir podjazdu. Zdawało się, że i on wyciągnie do niej rękę, że ją złapie w locie, podtrzyma i wprowadzi na ganek. Ale on tylko otwierał i zamykał usta, nie mogąc przerwać niemoty.

– Co, ojczy? Co się zdarzyło? Co chcesz powiedzieć?

Pan Michał zajęczał jak stara fisharmonia i wreszcie wychrypiał:

– Żeby już tu jego noga nigdy nie powstała. Ona zatrzymała się przed schodkami.

– Ojczy, czy ty mnie kiedykolwiek kochałeś?

– Ja przestrzegam ciebie i jego.

Kręciło się jej w głowie i ten wyłoczony świat dokoła, cała ta okolica zmieniona nie do poznania w czasie choroby, i to niebo pokryte pleśnią cirrusów, wszystko chwiało się, huštało, a w skroniach waliły kowalskie młoty. Czy ja jestem podobna do ojca czy do matki. Po kim wzięłam te włosy z czerwonym połyskiem i ten charakter samotnika.

– Po latach tylko tyle masz mi do powiedzenia? – spytała. Spozregła raptem, że jego wąsy drżą rozpaczliwie, jakby powstrzymywał szczęknięcie zębów.

– Żeby noga jego więcej tu nie powstała.

Łapiąc z trudem równowagę wchodziła na schodki.

– Papo, co się z tobą działo przez tyle lat? Ojciec zaczął cofać się przed nią jak przed widmem.

– Pamiętaj, córko, i jemu to powiedz.

Chwyliła się kolumny ganku. Poczula drzazgę wbijającą się w skórę dłoni. Jestem już zdrowa, pomyślała. Czuję zwykły codzienny ból. I ogarnął ją nagły strach wobec tego życia, które jeszcze przed nią, które rodzi się nie wiadomo gdzie, czy w niebie, czy w piekle.

– Dlaczego nigdy nie mówiłeś mi o mamie? Ja nie znam swojej matki.

Ojciec cofał się, aż stanął na progu domu. Opuścił lufy dubeltówki przytrzymując jej kolbę łokciem.

– Będzie wielka bieda. Na ztratę idzie nasz ród.

Helenie wydało się, że słyszy ten dziwny odgłos zmęczonej ziemi. Pewnie tylko ja słyszę, przemknęło jej przez opustoszałą, jakby za obszerną głowę. Gorączka wypaliła we mnie wszystko. I poczuła raptowny ból serca, ból serca prawdziwy albo nagle wymyślony.

– A jeśli ja go kocham?

Ojciec patrzył chwilę w zakłęśłe deski podłogi ganku. Potem uniósł głowę i patrząc jej w oczy, odezwał się cicho:

– I dla ciebie, i dla niego lepiej będzie, jeżeli go znienawidzisz. Postąpiła znowu kilka kroków w jego stronę. Ojciec cofnął się w mrok sieni.

– Ojcze, czy ty widzisz, jakie jest moje życie? Czy ty myślisz o mnie kiedy jak inni ojcowie?

Nabrał powietrza w płuca z ciężkim rżeniem. Odezwał się zegar z głębi domu, wybijając jeszcze jedną godzinę.

– Wszyscy umarli. Jesteśmy nieżywi. Taki los. Takie rozporządzenie nieba.

– Ja jeszcze żyję. Słyszysz, ojcze? Wróciłam do życia, choć już jedną nogą byłam po tamtej stronie. Chcę żyć krótki moment tak jak chcę, po swojemu, po mojemu.

Wtedy ojciec podniósł lufy.

– Patrz – przełamał dubeltówkę – mam tu kulę święconą na złe moce. Ta kula ima się nawet diabła.

Zamknął broń i jakby na palcach, jakby nie chcąc kogoś nieznanego obudzić, odszedł w głąb domu.

– Usiądę na powietrzu – rzekła sama do siebie. – Jestem taka zmęczona. Stale mówię o tym zmęczeniu. Szukam ratunku w zmęczeniu.

Patrzyła na wynędzniałe krzaczki koło ganku, na czarne pokrzywy i resztki jesiennych kwiatów. Usiłowała pozbierać myśli, które rozpierzchły się nie wiadomo dokąd, spłoszone przez zwidy przebytej gorączki. Nagle zobaczyła przed sobą tę rudą głowę, chciała krzyknąć, ale to był

tylko refleks jesiennego słońca, co przebiło się raptem przez chmury i przez szcerwieniawy winograd.

– Czy to on jest taki silny, czy ja taka słaba – szepnęła. Znowu zeszła z ganku i bezwiednie zaczęła iść przez stary park.

Zatrzymywała się koło drzew, obejmowała szerniałe pnie jak dobrych znajomych, przykładając ucho do mokrej kory, ale słyszała tylko bicie własnego serca. Wszędzie wisiały girlandy uschniętego dzikiego chmielu. Kręci mi się w głowie, myślała. To od świeżego powietrza. Za długo leżałam w łóżku. Świat nie czekał na mnie. Poszedł swoją drogą. Spojrzę tylko na rzekę.

Potem szła przez łąkę, zrudziała, prawie już nieżywą.

– Strasznie długo chorowałam – powiedziała. – Ale choroba nie minęła.

I nie wiadomo czemu, zaśmiała się nieoczekiwanie. W wielkim karczu z ramionami korzeni sterczących ku niebu smykały jakieś czerwonawe zwierzątka. Były to małe liski pozostawione przy gnieździe bez opieki mamy. Zamiast skryć się najgłębiej w jamie pod wykrotem, zatrzymały się przy tym swoim domu i strasznie ciekawe z dziecinną nieostrożnością obserwowały przechodzącą Helenę. Pomachała im ręką z nagłą wesołością. Dlaczego się śmieje, myślała. Nie ma żadnych powodów do śmiechu. Może dlatego się śmieje.

Zatrzymała się na brzegu rzeki. Tu także królował dziki chmiel. Gdzież on był przedtem. Dlaczego wcześniej nie widziałam tego chmielu. Słał się teraz nawet na krzakach dzikich porzeczek. A w dole płynęła cierpliwie na zachód albo raczej na południowy zachód rzeka Wilia, płynęła w tych stronach bardzo kręto, zataczając skomplikowane pętle jakby na pamiątkę niezdecydowania i rozpaczonych pierwszych ludzi, co odchodzili z raj.

Chwyając się krzaków zsunęła się na dół, prawie na sam brzeg wody. Gdzież to ich miejsce. Zmyły deszcze, zasypały wiatry. Te ostre jak brzytwa trawy żółkły i zmarniały, piasek ściemniał. Pewnie to było pod tym krzakiem, na którym teraz pajak rozpiął srebrną sieć z migocącymi kropelkami wilgoci.

Znowu poczuła się słabo. Z trudem osunęła się na czarny pień rzecznej dębu. Patrzyła na migotliwą toń wody odbijającą fiołkowość nieba przez cienkie jak koronki cirrusy.

– Miłość to jedna wielka zgryzota – powiedziała cicho i chciała jeszcze raz powtórzyć to krótkie zdanie, ale się zawstydziała samej siebie.

Wtedy zobaczyła raptem, że coś płynie nie opodal brzegu. Wydało się jej, że to jeszcze jeden pień, szara kłoda, która się urwała z tratwy. Niemocny prąd obracał ją wolno wokół osi. Zaczepiała dziobem o przybrzeżne krzaki albo zwisające strzępy darni, chwilę mocowała się z przeszkodą i nagle uwolniona płynęła dalej.

Ale to nie była kłoda. Z biegiem rzeki płynęła pusta łódka, jakiej używają tu rybacy, a także przewoźnicy do przeprawy podróżnych w tych okolicach, gdzie nie ma promów. Nie było w niej

wiosła i tylko trochę wody przelewało się na dnie.

Łódka minęła Helenę, wykonując pełny obrót, a potem nieoczekiwanie skierowała się ku brzegowi i tam uwięzła w czarnym karczku rozpościerającym mokre macki nad zrytą wirami wodą. Jeśli się uwolni i popłynie, to wszystko będzie dobrze, przemknęło przez myśl Helenie. Jeśli popłynie w świat, to odwróci się karta mego życia.

Zaczęła teraz wpatrywać się z całej mocy w tę łódkę, co tak pokornie zaryła łbem w płataninie korzeni, i jęła ją w myśli zachęcać do akcji, jęła ją ponaglać, aż wreszcie przeklinać.

Lecz łódka tkwiła nieruchomo. Czasem jej rufa odbiła na krótko od brzegu, zdawało się, że przeważy i wyrwie z niewoli dziób, jednakże po chwili łódka powracała do tej pozycji, w której zakończyła nie wiadomo jak długą podróż.

Później przed domem Helena spotkała Konstantego. Starzec niósł w rozpostartych rękach drut z nanizanymi oślepiająco żółtymi liśćmi tytoniu.

- Łódka bez człowieka płynęła po rzece – rzekła Helena.
- Pewnie zerwała się z przegniwszego powroza.
- Nie wiem, ale to było dziwne. Zatrzymała się przy naszym brzegu i stoi tam.
- Woda zabierze. – Konstanty ruszył w dalszą drogę.
- Czekałam długo, ale woda nie zabrała.

Odszedł w milczeniu, a Helena spostrzegła, że nie ma już tego klonu, co go zwałił piorun. W tym miejscu białaly jak kości wielkie trzaski rozsypane wśród zgniecionych krzaków.

– Pójdę do pokoju i położę się – rzekła sama do siebie. Weszła do sieni bez ochoty, bez ochoty jęła się rozglądać po ciemnym wnętrzu. Zobaczyła schody w prawym rogu. Jeszcze nigdy nie byłam na strychu, pomyślała. Dziesięć lat tu mieszkam i ani razu nie weszłam na górę. Zawsze bałam się tego cudzego domu.

I nagle zaczęła wstępować na trzeszczące, wąskie schody. Zobaczyła przed sobą ogromną przestrzeń podzieloną białymi korpusami kominów, poprzecinaną czarnymi belkami, z których zwisały jakieś zapomniane dawno zioła i zbutwiałe sznury, pewnie od bielizny albo po jakichś niedoszłych wisielcach.

Stary kurz zaczął kręcić w nosie i Helena kichnęła raptem w rękaw sukni. Nogi jej szurały w grubej warstwie liści klonowych, co zaścielały glinianą podłogę strychu. Zobaczyła jakiś kufer pod skosem dachu, a obok niego butle oplecione rozpadającą się wikliną. Butle były różnych kolorów, granatowe, zielone, jasnoniebieskie i srebrzące się, uczynione z zimnego szkła. Płyny, które zawierały, dawno już wyparowały, na pustych ściankach leżał pył, kurz starych strychów, wszystkich strychów świata.

Uniosła wieko kufra i zobaczyła jakieś płytki szklane, otworzone kartonowe pudełeczka z proszkami, stroniczki papieru o połyskliwych powierzchniach. Pewnie stary pan Plater, pomyślała. Tylko on mógł tu próbować nowomodnego wynalazku fotografii. Ale nikogo ani

niczego nie sfotografował. Zaczął i nie skończył. Znowu kichnęła, a tym razem od ostrej woni jeszcze nie zwietrzałych chemikaliów.

Opuściła wieko kufra, które spadając wzbilo wielkie stado drobinek kurzu, co uspokoiły się dopiero pod zwieńczeniem dachu i zaczęły z powrotem płynąć na liściastą podłogę.

W oddali zobaczyła okienko. Małe kwadratowe okienko z czarnym krzyżem ramy nigdy nie pomalowanej farbą. Podeszła ostrożnie, rozsunęła festony starych, omszałych pajęczyn i przez zbitą szybkę spojrzała na świat Boży. Zobaczyła pod sobą alejkę, las jak skotłowany dywan i niebo przesłaniające coraz grubszymi chmurami. Zdawało się jej, że słyszy bardzo daleki głos dzwonu kościelnego z Bujwidz.

Wstrzymała oddech usiłując z tych wątych odgłosów życia wyłowić rzadkie i rozciągnięte dźwięki uderzeń serca dzwonu.

Wtedy usłyszała za sobą szelest ostrożnego stąpania. Odwróciła się błyskawicznie i zrobiło się jej słabo, musiała się oprzeć o chropowate deski ściany szczytowej. Nie otwierając oczu, powiedziała cicho:

- Uciekaj. Ojciec ciebie zabije.
- To niemożliwe. Ja jestem nieśmiertelny.

Uniosła powieki. Tak, stał przed nią pochylony jakby w niedokończonym ukłonie, włosy płonęły chłodnym ogniem, a on uśmiechał się tym swoim uśmiechem, pokazując zdrowe, młode zęby.

- Chryste Panie, jak się tu dostałeś?
- Ja przeskakuję góry, przepływam morza i przenikam ściany. Chorowałaś bardzo? Przeze mnie?
- Dlaczego przez ciebie? Musiałam chorować, bo bardzo dawno nie chorowałam.
- Przyszedłem ciebie uleczyć.
- Sama siebie umiem wyleczyć. Potrafię zamawiać ból zębów, nawet krwotok parę razy zamówiłam.

Podszedł jeszcze bliżej.

- Okropnie tęskniłem – powiedział.
- Nie trzeba tu przychodzić – odwróciła głowę. – Było, minęło. Ja zapomnę, ty zapomnij.
- Przecież możemy wyjechać i zobaczyć, co będzie dalej.
- A co może być dalej? Miłość jest śmiertelna jak wszystko. Nagle objął ją, ona chciała się uwolnić, ale była za słaba.
- Co ty robisz?
- Ach, nic złego. Chcę cię tylko uściskać.
- Nie, nie, jestem jeszcze chora – mówiła, słuchając w sobie wzbierającego gorącego szumu.
- Poczekaj, chcę się tylko przywitać. Ucałuję twoje oczy, usta, piersi.

– Nie, nie, nie wolno – szeptała rozpaczliwie wstrząśnięta tym, co się z nią działo. Taka jestem wyczerpana, taka duchowo napięta, taka na krawędzi, ale na krawędzi czego, myślała w popłochu.

– Ty drżysz.

– Jestem chora, dzisiaj pierwszy raz wstałam.

Ale on nie słuchał. Czowała strasznie gorące usta na brwiach, na swoich wargach, a on już rozpiął suknię na piersiach, już jego jakby rozżarzone ręce wdzierały się pod chłodny materiał, chciała się rozplakać, uciec stąd przynajmniej myślami, oderwać się, ulecieć jak najwyżej, zatopić się w mrozie nieba, uniknąć tego, co nadchodziło nieuchronnie, co było przerażające i straszliwie rozkoszne, co siedziało w niej od dawna, co czekało na wyzwolenie, co pragnęło wybuchnąć i długo gasnąć w przejmującej purpurze i co przyszło teraz raptownie i wstrząsnęło nią, i ona nagle zapomniała o wszystkim, nawet o nim, co trzymał ją zaskoczony w rękach zeszywniała, przegięta do tyłu, zamarła w okrzyku bezgłośnym, okrzyku kończącym się długim, prawie bolesnym westchnieniem.

Potem słała w jego ramionach, on ją przyciskał z całych sił do siebie, wstrząśnięty jej stanem, jej niemotą, jej nieprzytomnością, a ona leżała tak długą chwilę na jego rękach, a później bardzo wolno otwierała oczy, spoglądała spod półprzymkniętych powiek na jego twarz, wreszcie zbliżyła usta do jego policzka i bardzo delikatnie, ale też bardzo czule pocałowała w ślady dawnych piegów koło ucha.

– Co się stało? – spytał trochę wystraszony.

– Ach, nic. Zrobiło mi się słabo – szepnęła zupełnie nie zmartwiona swoją słabością.

– Jaka ty jesteś piękna.

– Ty chyba zwariowałeś?

– Nie. Patrz, ostatni promień słońca padł na ciebie, bo już więcej nie będzie słońca tej jesieni.

– Przecież ja nie widzę siebie.

– Zobacz w moich oczach.

– Tak, jestem w twoich źrenicach.

– Trzeba stąd uciekać przed zimą.

– Ja muszę zostać.

– Dlaczego musisz zostać?

– Sama nie wiem. Ale muszę zostać.

– Trzeba zrywać stare musy. Dostyc tego dobrego.

– Ty tak mówisz, bo jesteś odcięty jak kosa.

– To ja ciebie wyrwę siłą. Gdzie ty byłaś przed chwilą?

– Ach, gdzie ja byłam? Tego nie mogę ci powiedzieć. Ale ci dziękuję.

- Za co mi dziękujesz?
- Już trzeba się rozejść. To wszystko nie może się dobrze skończyć.
- Nigdy jeszcze nie przemówiłaś do mnie po imieniu.
- Żegnaj, Tadziu. Jeszcze raz żegnaj. Ostatni raz żegnaj.
- Ja tu zostanę i będę straszył jak duch.
- Wszystko się zaplatało. Ja sama nie wiem, co będzie.
- Nie potrafię sam stąd wyjść.

Podeszła do niego szybko i pocałowała leciutko w usta.

- Jak wszedłeś, tak wyjdź.
- I co dalej?
- Nic. Koniec. Ostatnia kropka. Potem już tylko okładka.
- Ja się nie poddam.
- Nic nie słyszę. Nic nie słyszę – wołała niegłośnie biegnąc w szurgocie liści do schodów.

Potem na ganku oprzytomniała.

- Chryste Panie, przecież on tam został. Może został na zawsze.

Chciało się jej płakać i śmiać jednocześnie. Poprawiła włosy, sukienkę zapięła, rozglądając się niespokojnie dokoła. Wtedy zobaczyła nieoczekiwanie, że koło stawów stoi Konstanty z bosakiem w dłoniach. Przestraszyła się, że on spostrzegł jej zmieszanie i nieporządek w sukniach. Ale on był zajęty swoimi myślami.

– To łódka tego Moskala Korsakowa – powiedział. – On po nocy na drugi brzeg przeprowadził się, gdzieś śpieszył się i mówią ludzie, że przepadł.

- Ach, przepadł – rzekła z roztargnieniem Helena. – Znajdzie się. On się zawsze znachodził.
- Na każdego bywa jego pora.

Ale ona już wbiegła do domu, skryła się w swoim pokoju, usiadła między balaskami baldachimu i słuchała tego, co się dzieje we dworze. Za ścianami, w kuchni, śpiewała Emilka, gdzieś stukotał nie zamknięty lufcik, czasem coś strzeliło w podłogę albo w ścianach, jak to bywa w starych drewnianych dworach.

– Zniknął – szepnęła z ulgą i żalem. – Jak duch, jak rudy duch się pojawił i jak rudy duch zniknął.

Czarny szyber chmur zamykał niebo na zimę. A właściwie zamykał ziemię. Chronił ją przed złymi mocami na pół roku, kiedy przylatują z północy zawieje, kiedy mróz nadchodzi chrzęszczącym krokiem ze wschodu. Czarny szyber chmur jak żeliwne wieko nasuwał się z północnego zachodu i jego krawędź zaczepiła właśnie o nagi wierzchołek modrzewia. A przed tymi chmurami leciał lodowaty wiatr i kładł na ziemię wysokie trawy i krzaki, pochylał nisko drzewa. W lesie huczało i dudniło, wroga armia przewalała się obok Bohini, pomyślała Helena. Jedna z obcych armii idzie na zachód albo wraca na wschód. Armia duchów. Armia tych, co dawno i niedawno umarli.

Patrzyła w okna za plecami ojca, który jadł bliny na śniadanie. Zwijał je w rulonik i maczał w „pomocze”. Nadszedł czas ciężkich prac przy młócce i wianiu zboża. Kończono też orkę, więc pan Michał przestawiał się z jadłospisu letniego na zimowy. Ojciec co jakiś czas podnosił oczy i przypatrywał się jej chwilę, ona wtedy również przenosiła wzrok na niego. Pan Michał nie wytrzymywał jej spojrzenia i z namysłem przymykał powieki. Zaraz mu powiem, myślała. Jeszcze chwilę i wszystko mu powiem. Za oknami dziki chmiel, dziki szczaw, koło folwarku dzika grusza. Zdziczałe życie. Zdziczały, spowszedniały raj, który już tu nigdy nie wróci.

– Ojcie – odezwała się raptem.

On uniósł siwą głowę o suchej, orlej twarzy i patrzył bardzo jasnymi oczami.

– Ojcie, jestem brzemienna – powiedziała Helena.

Pan Michał chciał przełknąć kęs, który mu uwiązał w gardle, ale nie mógł przełknąć.

– Chcę to dziecko urodzić.

Odezwał się zegar, tak jak zwykle zaczynał wydzwaniać godzinę zupełnie nie w porę. Kiedy trzeba było, zawsze milczał, kiedy nie trzeba, zaczynał natrętnie bić i bił bez końca.

– Nie mam kogo się poradzić. Jestem sama i ty jesteś sam. Mama na pewno nie pozwoliłaby zepsuć dziecka. Muszę je urodzić.

Pan Michał pochylał głowę, żuł przez długą chwilę zwitek blina, potem uniósł twarz, spojrzał przelotnie na córkę, spojrzał tak, jakby chciał ukryć swoje uczucia, później znowu spuścił głowę i trwał z opuszczoną głową bez końca i Helena nie mogła się doczekać, żeby to się wreszcie skończyło. On chyba płacze, przemknęło jej przez myśl. Ale to niemożliwe. On nigdy nie płakał. Chyba tylko po mamie. Może tylko po mamie.

Potem pan Michał skończył jeść, otarł wasy, przeżegnał się i wstał. Na moment się zawahał, jakby chciał coś powiedzieć, ale nic nie powiedział, i poszedł do swego gabinetu.

– Chwała Bogu, już po wszystkim – szepnęła Helena. – Będę mogła wreszcie spać. Może to dziecko nas pojedna.

Chciała zebrać talerze ze stołu, kiedy raptem usłyszała gwałtowny tętent konia. Rzuciła się do okna. Tak, to ojciec leciał galopem pustą aleją, po której wiatr ganiał chmury żółtych liści. Pan Michał siedział krzywo na swoim siwku, a na plecach jego podskakiwała dubeltówka. U wylotu alei, tam gdzie wpadała na gościniec, skręcił w prawo. Chryste Panie, pomyślała Helena, jedzie do Bujwidz. Ale to przecież nic nie znaczy. Tysiąc razy galopował na swoim wierzchowcu do pobliskiego miasteczka.

Ale zaczęły jej drżeć ręce. Przestała sprzątać ze stołu, oparła czoło o zimną szybę. Malwinka pobiegła co sił w cienkich nogach za swoim panem. I ona skręciła w stronę Bujwidz. Konstanty wylazł skądś ze zgaszoną fajką w rękę. Otworzył usta i patrzył w stronę, gdzie zniknął dziedzic.

– Już nic mnie nie obchodzi – powiedziała sama do siebie Helena. – Tak było sądzone. Kto to powiedział. To on tak zawsze mówił. Był i zniknął. Nie, on tam czeka na strychu. On przecież został śród pajęczyn rozpiętych między zimnymi latem kominami.

Nagle odstawiła talerze i pobiegła do schodów w sieni. Zdyszana, bez tchu, jęła wdzierać się na górę po skrzypiących stopniach. Ze ściśniętym sercem wetknęła głowę w czarny otwór.

Ale na strychu nie było nikogo. Wiatr walił łbem w szczytową ścianę strychu i jakieś przeciągi biegły gniewnie pod krzywiznami dachów. Na strychu nie było żywych, ale w lodowatych ciemnościach kryły się pokutne dusze mieszkańców starego domu. Może on się roztopił w mroku, z którego powstał późnym latem, myślała. Może rozpląnął się w mojej pamięci, w której narodził się na początku zniw.

Chciała podejść do tych kufrów z chemikaliami, ale zrezygnowała.

– To nieważne. Teraz wszystko nieważne – mówiła do siebie. – Żeby tylko wiedzieć, po co ojciec skoczył do Bujwidz. Chyba nie zrobi niczego szalonego. Mamo kochana, która spoglądasz na nas z nieba, odwróć od nas zły los.

I przeżegnała się raptem, ale przeżegnała się tylko dlatego, ponieważ zapomniała to uczynić, wstając od stołu. W ojcu wygasło szaleństwo, jeśli kiedyś było. Dlaczego mama umarła tak młodo i dlaczego ojciec modli się do niej codziennie. Może i ja umrę młodo. Nie, nie umrę młodo, jeśli nawet umrę, bo jestem już w latach.

Zeszła na dół i ruszyła szukać chusty wełnianej, którą kiedyś podobno okrywała się matka. Po drodze spotkała w uchylonych drzwiach kuchni uważne spojrzenie Emilki. Ona też miała swoje życie. Jest starsza ode mnie. Coś zostawiła za sobą, o czym nikt nie wie. Może pójdę tam, siądę przy piecu, w którym trzaskają iskrami polana, i opowiem wszystko, żeby było lżej na sercu.

Ale nie poszła do kuchni, tylko otulając się chustą pobiegła przez park w stronę rzeki. Lecz i tam było pusto i smutno. Rzeczka Uzła białym zaciekiem mąciła ciemną toń wezbranej rzeki pełnej rodzących się i ginących wirów. Po drugiej stronie wysoki las przyjmował na czerwonawą pierś uderzenia wiatru, schylał się z godnością i przejmująco wzdychał.

Wtedy wydało się jej, że słyszy daleki strzał. Nie mogła jednak zorientować się, w której stronie padł, bo ze wszystkich stron leciał mroźny wiatr i zewsząd szedł wielki szum, co towarzyszy zawsze na tej ziemi zmianom pór roku.

– Co tam jest po drugiej stronie rzeki – powiedziała zasłaniając się plecami przed wiatrem. – Nigdy tam nie byłam. Pewnie takie same lasy, rojsty, uroczyska i rzadkie sadyby ludzkie. Dokąd śpieszył Korsakow. Może uciekał, może szukał ratunku. Ale nikt go nie gonił i nikt nie dybał na jego duszę. Co mnie to obchodzi.

Z jakimś raptownym uczuciem przykrości zawróciła do domu. Czy to on był taki silny, czy ja taka słaba. Lecz jaki on był. Przecież ja mu się nigdy dobrze nie przyjrzałam. Chryste Panie, to dlaczego tak się stało. Dlaczego myślę o nim dzień i noc. Choroba samotności. Kalectwo odosobnienia. Ludzie zawsze patrzyli na mnie jak na wariatkę. Chciałam być wolna w zniewoleniu. Chciałam być sobą, choć nigdy nie wiedziałam, jaka jestem.

W swoim pokoju zaczęła szukać opalu. Nie podniosła go umyślnie podczas choroby z podłogi. Leżał tam i świecił anemicznie jak gasnąca gwiazdka. A teraz nie mogła go znaleźć. Zgasł i umarł. Lecz kiedy przyłożyła się na łóżku i z poduszki spojrzała na ciemną podłogę, raptem zaświecił jakby większy i mocniejszy.

Podniosła go z ziemi. Zbliżyła się do stołu obracając kamyk w palcach. Kamyk jest prawdziwy, jeśli reszta była zmyśleniem. Ale czy nie mógł tkwić w piasku plaży zapomniany przez pierwszych ludzi w raj.

Nagle zobaczyła jego tabliczkę i rysik. Zapomniał swoich przyborów piśmiennych, uśmiechnęła się raptem. Obok śladów półzatartych liter jąła rysować męską głowę z wielką strzechą włosów. Jeśli go wymyśliłam, to dobrze wymyśliłam. Ale przecież został po nim ten ciężar, co go noszę w sobie. Co go dopiero zaczynam nosić w sobie. Jak to się wszystko skończy. Uniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać. Ale to tylko wiatr udaje życie.

Poszła do saloniku, którego okna wychodziły na podjazd i na alejkę lipową. Jakiś fornał szedł z workiem na plecach. Nad stawem dzieci goniły psa, a potem pies gonił dzieci. Zaraz, zaraz, powinnam zebrać myśli, powtarzała w duchu, tyle razy chciałam zebrać myśli. Ale teraz już za późno. Stało się coś strasznego. A może dopiero stanie się coś strasznego.

Skrzypnęły za nią drzwi. Odwróciła się szybko, lecz to tylko Emilka zajrzała do salonu i zaraz zamknęła drzwi. Ona mnie chyba pilnuje, pomyślała Helena i wstrząsnął nią nagły dreszcz. Ja jestem jeszcze chora. Chyba już zawsze będę chora. Choroba to moja wieża z kości słoniowej. Kość słoniowa to moja wieża. Rozbłysło za oknem. Ale to jedynie w moich oczach.

Zegar bije za ścianą. Nie, on bije tu, w saloniku z meblami w zgrzebnych pokrowcach. On zawsze odmierzał godziny w tym pokoju. On tu został po starym Platerze i liczy czas przepływający leniwie przez Bohinię. Uniosła głowę do góry. Ktoś chodzi tam szurając nogami w zeschniętych liściach. Nie, to wiatr dostał się już na strych i biega między kominami zrywając

niepotrzebne pajęczyny.

Wtedy nagle usłyszała tętent konia. Wyczuła raczej, niż usłyszała. Ciężkim galopem wracał pan Michał ze swojej wyprawy. Siwek zwolnił na widok dworu i zaczął prychać kiwając ciężkim łbem aż do ziemi. Helena tego nie słyszała, bo wiatr jakimś dziwnym buczeniem zagłuszał wszystkie skąpe dźwięki na dworze.

Jeździec skręcił do zabudowań folwarcznych. Helena spostrzegła się, że trzyma w zaciśniętej garści brzeg szorstkiej firanki. Odetchnęła z rozmysłu, ale odetchnęła bez ulgi. Wreszcie zobaczyła ojca. Szedł zmęczonym krokiem w stronę dworu. Pod pachą trzymał kolbę opuszczonej lufą do ziemi broni. Zaczęło jej serce walić z taką siłą o żebra, że pomyślała: usłyszą w całym dworze, w całej okolicy usłyszą, w piekle usłyszą.

Ojciec szedł przez ganek, który dudnił jak most. Później marudził chwilę w sieni, wreszcie zamknął się w swoim pokoju. W sieni Emilka z kimś się naszeptowała, pewnie z Antonim Sieniuciem.

Skradając się poszła pod drzwi gabinetu ojca. Końcami palców jąła obmacywać stare spękane deski. Pamiętała, że gdzieś tu jest szpara, przez którą w nocy pada cienka strużka światła na ciemny korytarz. Jest ta szpara. Widać przez nią skos okna, kant biurka i na podłodze czarny kształt krzyża. Ale to przecież nie krzyż, to ojciec leży na ziemi z rozpostartymi pokutniczo ramionami.

Szarpnęła za klamkę. Drzwi puściły z cichym jękiem. Uklękła obok leżącego i zaczęła szarpać go za kurtę na plecach, na karku, na ramionach.

– Ojczy, co się stało?

Pan Michał leżał nieruchomo. Dopiero teraz spostrzegła na biurku dubeltówkę.

– Papo, dlaczego się nie odzywasz?

Wyglądało, że śpi zmęczony ciężkim dniem. Na zsiniałej skórze karku jaśniało kilka kropel potu.

– Dokąd jeździłeś? Dlaczego leżysz krzyżem?

Ojciec trwał bez ruchu. Nie widać było drgania tętna na brzegu szyi i plecy nie podnosiły się od oddechu.

– Papo, ty jesteś chory, czy coś się stało strasznego?

Nagle zerwała się z podłogi i pobiegła do kuchni. Tam przed obrazem świętym w kącie klęczeli Emilia i Antoni. Kucharka płaczącym głosem ciągnęła litanie, a kowal jej wtórował ochryple.

– Emilko, wstańcie, pomóżcie. Ojciec zachorował. Wtedy oni oboje odwrócili się, a Emilka rzekła niegłośno:

– Nasz pan zabił człowieka.

Helena rzuciła się do drzwi, rozwarła je uderzeniem ciała, przeleciała sień, ganek i już była

przy zabudowaniach folwarcznych. Konstanty wycierał wiechciem słomy zdrożonego siwka.

– Konstanty, zaprzęgaj do bryczki!

On nic nie mówiąc rozdygotanymi rękami jął wyciągać bryczkę z wozowni. Helena sama już prowadziła pierwszego konia, co stał z brzegu w stajni. Pomagała staremu nakładać uprząż, ściągnęła byle jak chomąt, nie dociągnęła popręgu od podsiedziółka i już wskoczyła na kozioł.

– Niech zaczeka, pośpiejem! – wołał Konstanty biegnąc za ruszającą bryczką.

– Ja sama. Nie trzeba. Zostań w domu.

I już gnała przez alejkę, a za bryczką podnosiły się obłoczki złotych i czerwonych liści, jakby kołami wzniecała ogień na wyłożonej krzemieniem drodze. Malwinka także nie wróciła, przemknęła jej przez głowę raptowna myśl. Ach, nie wróciła, to nie wróciła.

Później leciała przez rzekę wrzosów, bo one w pędzie stapały się w jeden rumiany potok, co wlewał się do lasu i sosny, brzozy, samotne osiki stały w powodzi wrzosów.

Dopiero na skraju miasteczka zatrzymała konia, który trząśł się z emocji albo ze zmęczenia. Przywiązała go lejcami do jarzębiny i weszła niepewnie na ten pochyły plac przed kościołem. Zapadał wczesny zmierzch. Gdzież go szukać, pomyślała z rozpaczą. Może u księdza.

Ale wtedy spostrzegła zwalistą postać chodzącą niespokojnie przed kościołem. To mógł być ksiądz Siemaszko, którego własne grzechy i cudze wygnały z domu. Krążył tak w tym gęstniejącym mroku, jakby na kogoś czekał albo jakby nie miał śmiałości wyjść do ludzi, ruszyć w świat.

– Cóż ja mu powiem – szepnęła Helena.

Instynktownie skryła się przy ogrodzeniu najbliższego domu, a to był właśnie sklep „Złote jabłko” kupca korzennego Goldapfla.

I raptem serce jej stanęło, zatrzymało się w biegu jak wrzeczono kołowrotka, bo w oknie zobaczyła migotliwy blask świec. Za szybą słychać było stłumiony głos męski mówiący coś w żargonie żydowskim.

– Może on tu leży i już modlą się za jego duszę.

Ale w sąsiednim domu także chwiały się płomyki świec, w następnym również chybotąło światło na zimnym szkle okien. Stanęła wstrząśnięta pod czarnym krzakiem. Dlaczego wszędzie palą świece i czemu zewsząd sączy się ta jękliwa skarga w niezrozumiałym, od tyłu wieków niezrozumiałym języku.

– Czy chodzić od domu do domu i pytać.

I wtedy raptem uświadomiła sobie, że to płoną we wszystkich domach szabasowe świece, że Żydzi bujwidzcy święcą szabas. A gdzie jest on. Może minął się ze mną i już wygrzewa się przy kominach na strychu w Bohini.

– Ach, mój mąż nie żyje – powiedziała do siebie z jakimś ogromnym zdziwieniem.

Podniosła twarz do góry.

– Boże, czy to prawda.

Ale tam w górze nic nie było oprócz gęstej nieżywej czerni. A ona poczuła nagle na twarzy mokre i chłodne dotknięcie. Ja chyba płaczę, pomyślała. Lecz to były tylko nietrwale, pierwsze płatki śniegu późnej jesieni albo wczesnej zimy.

– Śnieg zaczął padać – mówiła do siebie drętwymi, suchymi ustami wracając do bryczki. – Patrzcie, już śnieg pada.

Nie odwiązując lejców wsiadła do bryczki i wyciągnęła przed siebie nogi.

– To jedziemy. Trzeba wracać – powiedziała, ale dopiero teraz spostrzegła, że jest tu sama, że na koźle nie siedzi stary, strasznie stary Konstanty, co pamięta jeszcze królów Sasów.

Dopiero teraz zaczęła płakać i płakała do woli ukryta w jesiennej nocy, w gęstniejącym i zdradziecko cichym śniegu. Koń chciał się obejrzeć za swoją panią, szarpnął raz i drugi głową, aż zerwał lejce z cienkiego pnia jarzębiny. I z troską wypatrując drogi przed sobą pociągnął bryczkę do domu, do Bohini.

Nazajutrz rano przyjechał isprawnik Dżugaszwili. Ale zanim nadszedł chmurny i zimny ranek, przedtem była straszna noc. Ojciec nie pokazał się przez cały wieczór i Helena zamknęła się w swoim pokoju. Nie rozbierając się, kładła się na łóżku, potem wstawała, zaczynała chodzić dokoła pokoju, przystawać przed oknem zasłoniętym okiennicą. Próbowwała wreszcie się rozebrać, ale nagle zrezygnowała. Mam straszną pustkę w głowie, myślała. Niech się to wszystko uporządkuje. Przyjdzie zaraz ten moment, kiedy zacznę rozumieć.

Wzrok jej biegł ciągle ku sufitowi i dopiero teraz, po tylu latach, spostrzegła białe splekane belki podtrzymujące strop. – Może on tam został, nieśmiertelny Eliasz Szyra. A może lepiej, że nie został. Chryste Panie, uderzyć głową w ścianę i zapomnieć o wszystkim.

Wydało się jej raptem, że ktoś chodzi po domu. Strzela drzwiami, skrzypi na schodach, do kogoś woła ściszone głosem na korytarzu. W końcu usłyszała stukanie do swoich drzwi. Znowu serce skoczyło gwałtownie do góry i zamarło pod gardłem.

– Panienko, proszę przyjść do nas do kuchni. Trzeba coś zjeść. Nie można cały dzień na czczo.

– Dziękuję, Emilko. Idźcie spać. Boli mnie głowa. Muszę odpocząć.

– Lepiej w taką noc być z ludźmi. My czekamy.

– Bóg zapłać, dobrzy ludzie. Ja już sama nie wiem, czy przeżyję do jutrzejszego dnia.

– My czekamy. Samemu zawsze straszno.

Ale ja nie wiem, czy mnie straszno, pomyślała z rozpaczą Helena. Przecież ja niczego nie czuję. Jestem jak kłoda drzewa, jak bryła lodu, jak polny kamień. Przecież powinnam wyć i wygrażać niebu. A ja tylko chodzę i nie mogę się zatrzymać. Idę i idę, aż dojdę na koniec świata.

Raptem uklękła przy łóżku i zaczęła się modlić. Ale ciągle myliła słowa i zapominała

dalszego ciągu. Przecież ksiądz zadał pokutę. Jaką mi zadał pokutę. Ja już nie pamiętam o swojej pokucie.

Chciała się umyć, lecz nie było wody w dzbanie. Zapomniano przynieść w tym nieszczęściu. Przecież ja jestem nienormalna, pomyślała raptem z ulgą. Całe życie byłam inna i wszyscy widzieli moją inność, i wszyscy się bali mojej inności.

Potem zasnęła na stojąco. Po prostu zadrzemała koło okna spoglądając zamykającymi się nieustannie oczami w serduszko wycięte w okiennicy, za którym była granatowa noc przesiewana przez uporczywy i płaczący wiatr. A kiedy się ocknęła, serduszko mżyło szarą jasnością. Zrobiło się jej zimno. Zaczęła drzeć, szcękając leciutko nagle obolałymi zębami.

Wtedy posłyszała stukot końskich kopyt o pierwszą tegoroczną grudę. Z raptowną nadzieją wybiegła na ganek. Cały świat był biały. A właściwie cały świat był szary, choć okrywał go cienki śnieg, pierwszy śnieg nadciągającej zimy. Koło stawów biegały wiejskie czy fornalskie dzieci i jadły garściami nowy smaczny śnieg.

A aleją nadjeżdżał stępa isprawnik w bryczce z podniesioną budą. Obok niego siedział żandarm w błękitnym płaszczu i z baszłykiem na głowie. A Malwinka nie wróciła, pomyślała raptem Helena. Wybiegła za ojcem i nie wróciła. Nad horyzontem, nad lasem, przecierały się chmury i pokazały się łaty nieba, seledynowego nieba z końca jesieni albo początku zimy.

Od zabudowań folwarcznych szedł Konstanty. Nie wiadomo czemu zdjął barankową czapkę i niemocny wiatr czochrał mu resztkę już nie siwych, a zielononiebieskich od starości włosów. Między drzewami przyprószonymi skąpo śniegiem pojawiły się jakieś cienie. Wszyscy żywi ludzie widzą nasz wstyd i nasze nieszczęście, pomyślała.

Bryczka podjechała pod ganek. I pierwszy ciężko zeskoczył isprawnik, przysiadł niezręcznie i chwycił się kozła bryczki, tak mu zeszytniały z zimna nogi, choć okryte były w drodze wilczą burką. Za nim wygramolił się szcękając szabłą i dzwoniąc ostrogami niemłody żandarm. Dżugaszwili odwrócił się dyskretnie i wysiąkał zgrabiałymi palcami nos.

Stado gawronów, czarnych, paskudnych ptaków, wzniosło się nad stawami.

Isprawnik patrzył na ganek przez chwilę i Helenie wydało się, że to ją obserwuje z jakąś nową ciekawością, ale spoglądał ponad jej głową.

– Panie Michale Konwicki – odezwał się zachrypniętym głosem – jesteś pan aresztowany z powodu podejrzenia, że dokonałeś zabójstwa Eliasza Szyry, starozakonnego, zamieszkałego czasowo w miasteczku Bujwidze.

Helena odwróciła się. Za nią stał ojciec w samej tylko koszuli rozpiętej na piersiach niemiłosiernie pozebrowanych i w spodniach do konnej jazdy, w tych samych, w których jeździł do Bujwidz. Słuchał isprawnika i kiwał nieznacznie głową.

– Czy zrozumiałeś pan, co mówię? – spytał jeszcze isprawnik.

– Tak – odparł nieoczekiwanie pan Michał. – Rozumiem i jestem przytomny.

– Nu, tak ubieraj się pan i weź ze sobą jakieś rzeczy, bo przydadzą się w więzieniu. A żandarm robi obysk w twoim pokoju. Ale to tylko dla formalności.

Żandarm posłusznie wszedł na ganek, ciągle objijając po drodze szablę w czarnej pochwie z mosiężnymi skuwkami i dzwoniąc rzęsście ostrogami. Ruszył za panem Michałem w głąb domu.

Wtedy wyszła z sieni Emilka. Schludna jak zawsze, gładko uczesana, choć z podbitymi oczami. Niosła przed sobą na tacy karafkę wódki, dwa kieliszki i pokrajany kiszony ogórek.

Zbliżyła się do isprawnika, dygnęła dworsko.

– Może wasza wielmożność ugości się gorzałeczką? – powiedziała cicho.

Dżugaszwili patrzył łakomie na karafkę nie zrażony tą poufałością miejscowej służby.

– Dobrze byłoby wypić kieliszek, bo zimno okrutnie, a pierwsze zimno, rzecz wiadoma, zawsze niezdrowe, ale jakżeż częstować się, kiedy człowiek urzędowo przyjeżdża.

– Dopraszamy się łaski, wielmożny panie – jeszcze raz dygnęła Emilka.

Ach, ona myśli, biedna, że pomoże swemu panu, pomyślała osowiale Helena. Kiedy to się wszystko skończy i jak się skończy. Czy to możliwe, że ojciec pierwszy raz w życiu wyjedzie z domu i nie wiadomo, czy w ogóle wróci. Antoni Sieniuc pokazał się na progu ze swoją fajeczką. Otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko błyskał zębem podobnym do główki gwoźdźca.

Isprawnik jednak nie wytrzymał pokusy, zdjął rękawicę i nalał sobie spory kieliszek. Pokiwał głową.

– Zabił wywrotowca. Ale wywrotowiec też człowiek. Nie minie Sibiru.

– A co z nim? – spytała raptem Helena i przestraszyła się swego głosu.

– Z kim? – nie zrozumiał isprawnik.

– No z nim?

– A, z nim. Ciało powieźli do Wilna. Będą robić sądową obdukcję. Jemu wszystko już jedno – i przełożył kieliszek do drugiej ręki, żeby móc się przeżegnać.

Strasznie rosyjski ten Gruzin, pomyślała. I Korsakow okrutnie rosyjski. Wszyscy my już pewnie rosyjscy. Gdzieś bardzo daleko odezwał się wystrzał. Ale isprawnik nie zwrócił na to uwagi. Chuchnął przed siebie kłębem pary i nalał drugi kieliszek. Może to Schickelgruber, spytała samą siebie Helena. Niech on wreszcie spali nas wszystkich, nasze domy, nasze lasy, nasze cmentarze.

Ktoś nadjeżdżał kłusem od strony gościńca. To był strzelec Ildefons i od razu odgadła, że to on i po co tu jedzie. Kiedy zbliżył się do ganku, zeskoczył z konia, w milczeniu zsalutował do swojej leśnej czapki i podał Helenie kopertę z hrabiowską pieczęcią. A potem stanął przed gankiem i z chmurną ciekawością rozglądał się po zgromadzonych.

– Masz zaczekać na odpowiedź? – spytała Helena z nagłą złością.

– A nie. Pan nie kazał czekać.

Wskoczył na siodło jak na pokaz i truchtem ruszył z powrotem. Helena zważyła w ręku list. Wiedziała, że Emilka i Antoni przyglądają się chciwie przesyłce. Zwraca słowo, pomyślała Helena. No i chwała Bogu, że zwraca. Moje życie się skończyło.

Wtedy wyszedł na ganek pan Michał w czarnym półkożuszku, ze sporym tobołkiem w rękach. Za nim pokazał się żandarm niosący dubeltówkę dziedzica.

I dopiero teraz pan Michał stropił się, jego wąsy zaczęły drżeć, jął odchrząkiwać gwałtownie i poprawiać futrzaną czapę na głowie. Nagle odwrócił się do córki, chwilę poruszał ustami, a potem rzekł nieswoim głosem:

– Przebacz.

Potem uklonił się zebranym na ganku albo temu modrzewiowemu dworowi, który był przecież cudzym domem, i z westchnieniem zeszedł do bryczki. Po nim wsiadł Dżugaszwili, a na końcu wlaź na kozioł żandarm zerkający na Emilkę, która stała ciągle z tacą w rękach.

– Ruszaj! – burknął isprawnik.

Pan Michał już nie spojrział na swoich bliskich. Bardzo jasnymi oczami patrzył przed siebie na ten siwy, trochę pobielony śniegiem świat. Bryczka stęknęła w resorach i potoczyła się aleją lipową pustą i straszną jak aleja cmentarna.

A ja już muszę zostawić moją babkę, Helenę Konwicką, i jestem szczęśliwy, że mogłem z nią dotrzeć aż do tego momentu, że nie pękło mi serce, że nie eksplodowała mi głowa, że przez całą zimę i wiosnę leciałem pod niebem jak żuraw na północ do swoich stron ojczystych, które karmią moją duszę już tyle lat, albo może zdążyłem pod samym zenitem nieba w nieznanym czasie przed nami.

Jest noc, moja pora, zbliża się godzina duchów wymyślonych przeze mnie oraz duchów rzeczywistych, które mnie szukają cierpliwie w stogu gwiazd i planet.

Chciałem coś powiedzieć ważnego, przez tyle dni i nocy chowałem w zanadrzu duszy jakąś myśl, przestrozę lub słowa pożegnania, bo zbliża się czas pożegnań, więc chciałem coś wyskrobać na ścianie naszej wspólnej pamięci i teraz zapomniałem, i jestem w pół drogi, bo już nie jestem tam, lecz i nie wróciłem już tutaj, i wiszę gdzieś pod niebem, i czekam nie wiadomo na co, i ta konwencja lotu podniebnego, i to patrzenie z góry zawstydzają mnie, bo obok widzę unoszące się pospolite kaczki, wyliniałe psy gończe, a nawet cielne krowy.

Wszystko się jednak dobrze skończyło, bo ja przecież mimo wszystko jestem, bo ja wszak żyję. Ale czy ja mogę być pozytywnym zakończeniem jakiegokolwiek historii?